Zatraceni w Bluszczu

Tom 3 trylogii
Oddana Bez Reszty,
światowego bestsellera
literatury erotycznej 2013

1. miejsce Amazonu
w USA i Wielkiej Brytanii
Top 5 w Niemczech
i 200 000 sprzedanych
egzemplarzy

Czy kobieta może być oddana bez reszty,
nawet hollywoodzkiemu gwiazdorowi
i swojemu mistrzowi?

J. Lerman

Zatraceni w Bluszczu

J. Lerman

Przekład
JOANNA NAŁĘCZ

Korekta
Hanna Lachowska
Barbara Cywińska

Zdjęcie na okładce
© Grachikova Larisa/Shutterstock

Tytuł oryginału
Bound by Ivy

Copyright © by S.K. Quinn
All rights reserved

For the Polish edition
Copyright © 2014 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5123-3

Warszawa 2014. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

Rozdział 1

Sophio Rose – mówi Marc. – Wyjdziesz za mnie?

O mój Boże. O mój BOŻE. Patrzę w piękne oczy Marca, które nigdy jeszcze nie wydawały mi się tak przenikliwe.

Drżącą ręką zakrywam usta.

Mój wzrok opada na wielki brylant w kształcie gruszki, lśniący w palcach Marca. W tym pokoju, w otoczeniu róż i bluszczu, trudno mi wyobrazić sobie wspanialsze miejsce na oświadczyny. Ale to i tak wielki wstrząs.

Ta scena nie mogłaby przypominać baśni bardziej, nawet gdybym tego chciała. Stoję w błękitnej sukni Belle, z szeroką, odstającą spódnicą, a Marc klęczy przede mną – przystojny książę w szytym na miarę czarnym garniturze i sztywnej białej koszuli.

– Marc – szepczę przez palce, uśmiechając się coraz szerzej. Jestem tak zaskoczona, że z trudem układam słowa.

Marc patrzy mi w oczy, a ja mam wrażenie, że zapadam się w jego źrenice.

Znowu spoglądam na pierścionek. Boże, jest piękny. Marc jest piękny. To się dzieje naprawdę. To wszystko prawda.

Klik.

Podskakuję na dźwięk, który wydają drzwi garderoby.

– Kto tam? – wołam.

Marc patrzy na drzwi ze zmarszczonymi pytająco brwiami.

– Zapraszałaś tu kogoś?

Kręcę głową.

Światło pada na podłogę garderoby; widzę bladą, trójkątną twarz jakiejś kobiety.

W pierwszej chwili nie poznaję jej, bo ta twarz w mojej garderobie jest zupełnie nie na miejscu. Ale zaraz potem platynowe włosy, ostry nos i zimne oczy składają się w znaną całość.

To Cecile.

– Ty dziwko. – Te słowa, wypowiedziane niskim, twardym głosem, trafiają mnie prosto w żołądek.

Marc zrywa się i obejmuje mnie ramieniem. Zatrzaskuje pudełeczko z pierścionkiem i wsuwa je do kieszeni.

– To prywatna garderoba Sophii.

Cecile ma na sobie dopasowaną czerwoną suknię i długie białe rękawiczki, a włosy upięte w kok za pomocą ozdobnych szpilek. Oczy ma zaczerwienione i złe, cała jest sztywna z napięcia.

– Giles został oskarżony o porwanie – syczy do mnie Cecile. – Przez ciebie. Z powodu kłamstw, których naopowiadałaś.

– Nie opowiadałam żadnych kłamstw – mówię. – To niebezpieczny człowiek. I jest tam, gdzie jego miejsce.

– Wiedziałaś, kim dla mnie był – mówi Cecile. – I nie mogłaś tego znieść, co? Nie mogłaś znieść, że ja też związałam się z kimś znanym. Więc musiałaś wszystko zniszczyć.

Parskam śmiechem. Nie chcę tego robić, ale jestem tak zaskoczona… Cecile mówi jak obłąkana.

– Wcale nie chciałaś się z nim wiązać – przypominam jej. – Mówiłaś, że to potwór.

– To ojciec mojego dziecka – mówi Cecile. – Ale teraz nie będzie ślubu. Nie będzie małżeństwa. Zostanę samotną matką…

Odwraca się do Marca i cała jej twarz się zmienia, a oczy przybierają wyraz rozpaczy i zagubienia.

– Marc, och, Marc… Dlaczego nie widzisz, jaka naprawdę jest Sophia? To tylko zwykła kłamczucha. Bez klasy. Bez pieniędzy. Ja byłabym dla ciebie znacznie lepsza.

Drobnymi palcami chwyta Marca za koszulę i zaciska dłonie w pięści.

– Proszę. Nie mam teraz nikogo. Jest jeszcze czas. Wybierz mnie.

Sztywnieję.

– Cecile, powinnaś już iść – mówię cicho. Sięgam i odrywam jej ręce od koszuli Marca.

Odsuwa się; teraz jej oczy patrzą na mnie dziko.

Nagle dostrzegam, w jak opłakanym jest stanie. Makijaż, zwykle tak staranny, rozmazał się miejscami, a twarz jest tak mocno przypudrowana, że wygląda jak duch. Suknia też nie leży dobrze; przekrzywiona w talii spódnica sprawia, że biodra sterczą nienaturalnie.

Cecile odwraca się do mnie.

– Zrujnowałaś mi życie! – krzyczy. Oczy niemal wychodzą jej z orbit. – Nie zasługujesz na Marca! Na nikogo nie zasługujesz! Możesz być pewna, że zapłacisz za wszystko, co mi zrobiłaś.

Odwraca się i wybiega z garderoby, zatrzaskując za sobą drzwi. Słyszę szybki stuk jej obcasów na korytarzu.

Chcę pobiec za nią, ale ramię Marca zaciska się na moich barkach jak imadło.

– Zostaw ją.

– Nie mogę tego tak zostawić – mówię, próbując się uwolnić. – Muszę wszystko wyjaśnić.

Marc trzyma mnie mocno.

– Marc, puść mnie.

Ale on nie puszcza. Zamiast tego chwyta mnie mocno za oba ramiona i odwraca do siebie.

– Nigdzie nie pójdziesz, dopóki się nie uspokoisz.

– Myślałam, że… jestem spokojna.

– Gdybyś była spokojna, zdawałabyś sobie sprawę, że niebezpiecznie byłoby iść za kimś w tym stanie. Ona nie wie, co mówi i robi. Mogłaby zrobić ci krzywdę.

Przykładam rękę do piersi i czuję, jak mocno bije mi serce.

Marc przysuwa twarz bliżej mojej.

– To nie jest dobry moment. – Całuje mnie w usta. – Już dobrze?

Biorę głęboki oddech.

– Prawie.

– A teraz powiedz mi, co się tu dzieje – mówi Marc. – Jaki interes ma Cecile w tym, żeby bronić Gilesa Getty'ego?

Rozdział 2

Przesuwam wzrokiem nad ramieniem Marca, po różach i bluszczu, które zajmują cały pokój.

– Jest w ciąży – mówię. – A on jest ojcem jej dziecka.

Brwi Marca podskakują do góry.

– Dobry Boże. Powiedz, że to żart.

– Nie. Mówię poważnie.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej.

– Powiedziała mi to w zaufaniu. Wydawało mi się, że nie ma powodu o tym wspominać.

– Boże. – Oczy Marca chmurnieją. – Co za drań. Nie dba o to, kogo rani.

– Była taka przerażona, kiedy o tym rozmawiałyśmy – mówię. – Rodzina ją wydziedziczy, kiedy ciąża wyjdzie na jaw. Chyba, że Cecile wyjdzie za ojca dziecka.

– To mało prawdopodobne, Getty jest w drodze do więzienia.

– Tak. Miejmy nadzieję, że na długo.

Marc bierze mnie za rękę i przyciska ją mocno do swojej piersi.

– Nie pozwolę mu się do ciebie zbliżyć, już nigdy. Najlepsi prawnicy w tym kraju pracują już nad tym, żeby posiedział za kratkami.

Czuję, jak moje palce ogrzewają się pod wpływem ciepła jego ciała.

– Zawsze będę cię chronił, Sophio. Zawsze.

Drżę. Kiedy jego głos staje się głęboki i niski, jak w tej chwili, moje ciało natychmiast na to reaguje, nawet jeśli umysł szaleje.

– Cecile naprawdę zachowywała się jak wariatka – mruczę. – Chyba coś w niej pękło.

– Wszyscy mamy swoją wytrzymałość. – Marc marszczy brwi, a z jego twarzy znika uśmiech.

– Marc?

– Gdyby coś ci się stało, nie przeżyłbym tego. – Wkłada rękę do kieszeni spodni i wyjmuje pudełeczko z pierścionkiem. Obraca je w palcach. – Nie chcę, żeby ta mała scena zepsuła ci wspomnienie zaręczyn. Zapytam innym razem. We właściwym momencie.

– Nie zapytasz mnie teraz?

– Nie. To powinna być idealna chwila. Cierpliwości, panno Rose. – Wrzuca pudełko z powrotem do kieszeni. – Będzie inna okazja. – Na jego twarzy znowu pojawia się ten charakterystyczny uśmieszek. – Powiedziałabyś „tak”?

– Możliwe.

Marc uśmiecha się teraz i na jego policzkach pojawiają się dołeczki. Drapie się palcem w skroń.

– Miło mi to słyszeć.

Z końca korytarza dobiega muzyka – przyjęcie musiało się już zacząć. Myślę o moim tacie, Jen i wszystkich innych, którzy na nas czekają.

– Czy ktoś wie, że miałeś zamiar mi się dzisiaj oświadczyć?

– Tylko twój ojciec. Poprosiłem go o pozwolenie.

– Był zaskoczony?

– Bardzo, bardzo zaskoczony. I trochę wstrząśnięty.

– Ale zgodził się?

– Powiedział, że jeśli ty będziesz szczęśliwa, on też będzie szczęśliwy.

– To dla mnie ważne, że to zaakceptował.

– O? – Marc unosi jedną brew.

– Moja mama uważała, że akceptacja rodziny jest bardzo ważna. Nie wyszłaby za tatę bez pozwolenia swojej rodziny. A kiedy umierała, powiedziała tacie, że on i ja zawsze powinniśmy się trzymać razem. Nie chciałaby, żebym wyszła za mąż bez jego błogosławieństwa, wiem o tym.

Muzyka na zewnątrz staje się głośniejsza.

– Muszę się przebrać – mówię. W szafie czekają moje najwygodniejsze dżinsy i tenisówki. Nie mogę się już doczekać, kiedy je założę. – Nie bałeś się, że tata może ci odmówić?

Marc ściska mnie za rękę.

– Bałem się strasznie.

Rozdział 3

Przebieram się i razem idziemy do garderoby Leo.

Moja znajduje się w starej części teatru, ale garderoba Leo jest w nowej, nowoczesnej części, bardzo czystej i wyłożonej wykładziną.

Marc marszczy brwi.

– Twoja garderoba powinna być tutaj. W nowszej części. Jest tu lepsze powietrze.

– Chyba nie jestem taką gwiazdą jak Leo.

– Jesteś pod każdym względem równie istotna dla tego spektaklu. Dopilnuję, żeby przenieśli cię tutaj.

– Nie, naprawdę. Wszystko w porządku. Lubię moją garderobę. Prawdę mówiąc, wolę ją od tej, którą ma Leo. Jest bardziej w moim stylu.

Marc unosi jedną brew.

– Byłaś już wcześniej w jego garderobie?

Wyczuwam, że nie jest z tego specjalnie zadowolony.

– Tak – mówię, kiedy wchodzimy do zmodernizowanej części teatru. – Kilka razy. Jasne światła, czerwony dywan, oprawione plakaty z różnych przedstawień. Ładnie. Bardzo w stylu Leo.

Marc zaciska zęby.

– Ufam, że zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen.

Waham się. Marc może mieć nieco inną definicję prawdziwego dżentelmena niż Leo.

– Nie ma nic, o co mógłbyś być zazdrosny – mówię wymijająco.

Oczy Marca ciemnieją.

– Miło mi to słyszeć.

– Pracowałeś z Leo lata temu – dodaję. – Więc powinieneś wiedzieć, jaki to miły facet.

– Wszystko, co pamiętam na temat Leo Falkirka – mówi Marc – to że nie można było na nim polegać i często się spóźniał. Nie powierzyłbym mu niczego, co jest dla mnie ważne. W tym ciebie.

– Leo był nastolatkiem, kiedy go poznałeś. Odkąd go znam, ani razu się nie spóźnił. To porządny chłopak, możesz mi wierzyć.

– Moim zdaniem o tym jeszcze się przekonamy. Zwłaszcza po tym małym przedstawieniu na użytek prasy, które urządził z tobą przed teatrem. Wciągnął cię w tłum rozszalałych fotoreporterów.

– To był wypadek. Nie wiedział, że się potknę.

– Człowiek odpowiedzialny nigdy nie naraziłby cię na coś takiego.

Przez chwilę idziemy w milczeniu.

– Jestem zachwycona pierścionkiem – mówię.

Marc rozluźnia się trochę.

– Należał do mojej babki, a potem do mamy. Oczywiście, kiedy tylko ojciec odkrył, że to prawdziwy diament, sprzedał go. Odnalezienie go zabrało mi cale lata. Ale w końcu znalazłem go w lombardzie w Whitechapel.

Ściskam jego dłoń.

– Jesteś niezwykłym człowiekiem, Marcu Blackwell. Po tym wszystkim, co przeszedłeś… po tym dzieciństwie… stać się takim człowiekiem, jakim jesteś…

– Najniezwyklejszą rzeczą, jaka ma ze mną związek, jesteś ty.

Zbliżamy się do garderoby Leo i słyszymy szum rozmów i cichą muzykę Johnny'ego Casha.

Marc puszcza moją dłoń i otwiera drzwi jednym mocnym pchnięciem. Trochę zbyt mocnym. Nagle wyobrażam sobie, że to twarz Leo, nie mogę się powstrzymać.

Garderoba jest duża, ale w środku jest tyle ludzi, że w tej chwili wydaje się bardzo mała. Między gośćmi przeciskają się kelnerzy w smokingach, roznoszą kieliszki pełne szampana i dolewają do pustych.

– Hej. – Chwytam Marca za rękę. – Bądź miły, dobrze? Leo nie jest twoim wrogiem.

– Nie?

– Nie. On cię podziwia. Uważa, że jesteś kimś wspaniałym.

– Mnie martwi raczej to, co on myśli o tobie.

Wchodzimy do środka; dostrzegam tatę i Jen, ściśniętych razem z Tomem i Tanyą.

Tom mówi coś głośno, a Tanya, tata i Jen słuchają i się śmieją.

Jen wygląda oszałamiająco w kremowej sukience ze złotym haftem. Tanya i Tom także są ubrani wieczorowo – Tanya ma na sobie subtelną czarną sukienkę i naszyjnik z pojedynczym brylantem, a Tom, ekstrawagancki jak zawsze, włożył cylinder, frak i czerwoną muchę.

Mój tata wydaje się trochę skrępowany, w swoich najlepszych dżinsach – tych czarnych, na których nie ma ani jednej plamy – i białej koszuli, którą, o ile pamiętam, kupił sobie na rocznicę ślubu moich dziadków piętnaście lat temu. Ściska kieliszek szampana jak kufel piwa i wpatruje się w drzwi.

Leo i Davina stoją przy wielkim zestawie stereo, przyniesionym, jak się domyślam, na tę imprezę. Leo ryczy ze śmiechu i pociąga szampana z kieliszka.

– Soph! – Jen zauważa mnie pierwsza i przepycha się przez tłum. Jej buty mają tak wysokie obcasy, że każdy krok grozi upadkiem, ale jakoś udaje jej się utrzymać w pionie.

Podchodzi i obejmuje mnie ramionami.

– O mój Boże, byłaś cudowna! Po prostu cudowna! Chodź! Wszyscy chcą ci powiedzieć, jak świetnie ci poszło! – Ciągnie mnie za ramię przez pokój.

Marc idzie za nami, ciągle mocno trzymając mnie za rękę.

Kiedy docieramy do taty, Toma i Tanyi, ściska moją dłoń jeszcze mocniej.

– Sophio! – Dudniący głos Toma prawie mnie ogłusza. – Co za gra! Absolutnie powalająca. Byłaś sensacyjna. Te wszystkie próby naprawdę się opłaciły, prawda? Oboje z Leo byliście na tym samym poziomie. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że on siedzi w tym biznesie dłużej niż ty.

– Byłaś bardzo dobra, kochanie – mówi tata. Wydaje się trochę zmęczony i ciągle zerka na drzwi, jakby na kogoś czekał.

– Byłaś super, Soph. – Tanya ściska moje ramię. – Bardzo mi się podobało. A na ogół nie przepadam za musicalami.

– Tanya – mówi karcąco Tom.

– Co? Przecież to prawda. Nie cierpię musicali.

– Ale chyba nie musisz mówić tego Sophii akurat teraz.

– Nie ma sprawy. – Uśmiecham się. – Traktuję to jako komplement, wierz mi.

– A co ze świętami? – pyta Tanya. – Będziecie musieli występować w Boże Narodzenie, czy jak?

– W samo Boże Narodzenie nie – mówię. – Ale w drugi dzień świąt i Wigilię tak, i potem do końca stycznia.

Tom szeroko otwiera oczy.

– I co ty na to?

– Staram się o tym nie myśleć. Uwielbiam Boże Narodzenie. Ale to tylko jeden rok. I przynajmniej jeden dzień świąt spędzę z rodziną.

– Więc wracasz na ten dzień do domu? – pyta Jen.

– Oczywiście. Zawsze spędzam święta w domu.

– No, nigdy nie wiadomo. Sława mogła cię zmienić.

– Nie jestem sławna. Jestem znana. Niestety.

– Sławna czy nie – mówi Tom – ale domyślam się, że zanim styczeń dobiegnie końca, znajdziesz się na dobrej drodze do sławy.

– A co wy dwoje robicie w święta? – pytam, bo chcę jak najszybciej zmienić temat.

Spoglądają na siebie, a Tanya uśmiecha się nieśmiało.

– Moi rodzice spędzają w tym roku święta w Hiszpanii, więc pomyślałam, że pojadę z Tomem do jego rodziny. Mają posiadłość w Surrey, więc jest mnóstwo miejsca.

– Nasze pierwsze wspólne Boże Narodzenie – mówi Tom.

– Boże, jestem przerażona – mówi Tanya. – A ty?

– Ani trochę.

– A jeśli nie spodobam się twojej rodzinie? Jeśli nie będą rozumieli, co mówię?

– Będą tobą zachwyceni. A ja mogę tłumaczyć. Teraz znam już północny.

Tanya przewraca oczami.

– To nie jest obcy język!

– Obcy nie, kochanie. Egzotyczny.

Tanya się śmieje.

– Będzie mi was brakowało w święta – mówię.

Jen kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Nie martw się, nie będziesz samotna. Przyjadę do ciebie na drinka w Boże Narodzenie, jak zawsze.

– A pan Blackwell nie pojawi się u was na indyku? – pyta Tom.

Rozdział 4

Nie… nie wiem – mruczę i zerkam, zakłopotana, na Marca.

Nie spytałam go jeszcze o święta i naprawdę nie mam pojęcia, jakie ma plany. Ja chcę pojechać do domu, ale nie wiem, czy Marc będzie miał ochotę pojechać tam ze mną.

– Musi pan być bardzo dumny z Sophii, panie Blackwell – mówi z uśmiechem Tanya. – W końcu to pana studentka.

– Jestem ogromnie dumny – mówi Marc. – Ale zawsze wiedziałem, jaka jest utalentowana. – Przesuwa kciukiem po wnętrzu mojej dłoni.

Wstrzymuję oddech, bo czuję ten dotyk w całym ciele. Czuję, że się czerwienię, i rzucam mu spojrzenie, które mówi „spokojnie, tygrysie".

Odpowiada mi ruchem brwi, oznaczającym „będę robił, na co mi przyjdzie ochota".

– Jak idzie PR? – pyta Jen Marca.

– Nie jest idealnie. Ale mam nadzieję, że niedługo wyjdziemy na prostą. – Nacisk jego kciuka na moją dłoń jest coraz mocniejszy.

– Powinniśmy powiedzieć tacie, że jeszcze się nie zaręczyliśmy – szepczę, ale mój głos słabnie, w miarę jak Marc zwiększa ucisk. Próbuję wysunąć rękę, zanim zrobi się zbyt gorąco, ale on trzyma mnie mocno.

– Nie ma problemu – mówi Marc, spokojnie i rzeczowo.

Jego dotyk sprawia, że miękną mi kolana.

– Zanim sprawy wymkną się spod kontroli – dodaję głosem, który zaczyna się łamać.

– Nie chciałbym, żeby cokolwiek wymknęło się spod kontroli – mówi Marc, unosząc brwi w ten charakterystyczny, rozkładający na łopatki sposób.

Przełykam, czując cudowny, pulsujący ból w dłoni. Chcę zamknąć oczy i jęknąć, ale zamiast tego mocno zaciskam wargi.

Marc puszcza moją dłoń, przesuwając palcami w górę ręki. Mocno chwyta mnie za nadgarstek.

Czuję mrowienie na skórze, drżę i nagle pragnę go tak bardzo, że ledwo trzymam się na nogach.

Do diabła z tym.

Marc przyjmuje kieliszek szampana, chłodny, opanowany i spokojny.

Żałuję, że nie mam jego samokontroli.

– Panie Rose – mówi Marc, upijając mały łyk szampana i patrząc mojemu tacie w oczy. – Czy Sophia i ja moglibyśmy zamienić z panem kilka słów?

– Słów? – Tata odrywa wzrok od drzwi.

– Chcieliśmy tylko chwilę z tobą porozmawiać – mówię.

– Och. Porozmawiać. Tak. – Tata znowu rzuca okiem na drzwi. – A o czym?

– Może usiądziemy? – proponuje Marc, wskazując ruchem głowy kanapę na tyłach

pokoju.

Tata wyciąga kieliszek do kelnera, który natychmiast go napełnia.

– Tak. Oczywiście.

Marc prowadzi nas przez tłum do sofy z rzeźbionego, złoconego drewna, obitej czerwonym jedwabiem.

Tata otrzepuje dżinsy, a dopiero potem siada na brzegu sofy, jakby bał się, że ją zmiażdży.

Ja też siadam, ale Marc stoi.

– Wszystko w porządku? – pytam tatę. – Wydajesz się… jakiś nieswój.

– Och, po prostu… Genoveva miała tu być.

– A kto zajmuje się Sammym?

– Opiekunka.

– Z Genovevą wszystko w porządku?

Tata jednym łykiem wypija szampana.

– O ile wiem, tak.

Rzucam Marcowi pytające spojrzenie.

– Jeśli to nie jest odpowiedni moment…

– Absolutnie nie – mówi tata, znowu patrząc na drzwi. – O czym chcieliście ze mną rozmawiać?

– Ja… Chcieliśmy ci tylko powiedzieć, że jeszcze się nie zaręczyliśmy.

– Zaręczyli? – Tata mruga, wpatrując się w swój pusty kieliszek. – Och. No tak. Nie, nie spodziewałem się, że… To znaczy, jesteś zdecydowanie za młoda i znacie się od pięciu minut…

– Można powiedzieć, że ktoś nam przeszkodził.

Tata szeroko otwiera oczy.

– Sophio, ty nie… To znaczy, czy ty chciałaś się zgodzić?

– Tak, zgodziłabym się.

– Ale… Sophio, zawsze byłaś taka rozsądna.

– Tato, co ty chcesz powiedzieć?

Oczy taty znowu uciekają w stronę drzwi.

– Szczerze mówiąc, uważam, że powinnaś poczekać rok czy dwa, zanim pomyślisz o czymś tak długoterminowym jak małżeństwo.

– Ale dałeś Marcowi pozwolenie.

– Oczywiście. To twoja decyzja, nie moja.

– Ale tato, czy ty nie rozumiesz? Ja nie chcę od ciebie pozwolenia, tylko błogosławieństwa.

– To trochę trudniej mi dać… wszystko stało się tak szybko. A ty jesteś taka młoda. Nie chcę, żebyś została zraniona.

– Nigdy nie zraniłbym Sophii – mówi Marc. Trzyma ręce w kieszeni i ma zmarszczone brwi.

– Tato, wydajesz się taki zmęczony – mówię. – Czy wszystko jest w porządku?

– Och, po prostu… – Rzuca okiem na Marca. – Sprawy rodzinne.

– Zostawię cię, żebyś mogła porozmawiać z ojcem – mówi Marc, nie wyciągając rąk z

kieszeni. – Idę na spacer.

– Marc…

– Niedługo wrócę. – Marc całuje mnie lekko w policzek.

Patrzę, jak wychodzi z pokoju; jak jego smukłe ciało porusza się pod ubraniem i jak zawsze ogarnia mnie niedowierzanie, że ten hollywoodzki aktor, z tą przystojną twarzą i pięknym ciałem, to mój chłopak.

Odwracam się do taty.

– Więc o co chodzi?

Rozdział 5

Tata wbija wzrok w swój kieliszek i obejmuje kryształową czaszę obiema rękami.

– Pokłóciłem się z Genovevą. To wszystko. Nic wielkiego. Posłuchaj, dałem Marcowi pozwolenie, ale… nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że się zgodzisz.

– Tato, naprawdę mam wrażenie, że nie jesteś dzisiaj sobą…

– On wydaje się taki kontrolujący, kochanie. Bardzo opiekuńczy. To, jak na ciebie patrzy… To wszystko jest takie intensywne. – Tata wpatruje się w drzwi. – Nie chciałbym, żebyś popełniła błąd. I cierpiała.

Spoglądam tam gdzie on.

– Tato… więc gdzie jest Genoveva? Dlaczego jej tu nie ma?

– To twoje przyjęcie. Pomówmy o tobie.

– Już mówiliśmy. – Upijam łyk szampana. – Ale rozmowa nie była najprzyjemniejsza.

– Sophio, jeśli naprawdę chcesz wyjść za Marca, nie będę cię powstrzymywał.

– Nigdy nie wyszłabym za mąż bez twojego błogosławieństwa. Wiesz o tym. Po tym, co powiedziała nam mama…

– Wrócę do domu, a ty baw się dobrze. Porozmawiamy o tym innym razem.

– Wszystko w porządku, tato?

– Jestem po prostu zmęczony, kochanie. Przyjedziesz na święta do domu?

– Oczywiście. Gramy w Wigilię, ale zaraz po spektaklu przyjadę do domu i razem spędzimy pierwszy dzień świąt, jak zawsze.

– On też przyjedzie? Marc?

– Nie wiem. Jeszcze go nie pytałam.

Tata się waha.

– On jest o tyle od ciebie starszy.

– Kocham go, tato. Chcę z nim być. To się już nie zmieni. Jeśli Marc zechce ze mną przyjechać, nie będzie ci to przeszkadzało?

– Oczywiście, że nie. – Tata wstaje. – Do zobaczenia w Wigilię. Baw się dzisiaj dobrze, to twój dzień. I nie martw się o mnie. – Całuje mnie w głowę. – Dobra robota, kochanie.

Patrzę, jak tata zmierza do drzwi, ale zanim do nich dociera, Jen zapędza go do rogu. Pewnie próbuje się dowiedzieć, o czym tak długo rozmawialiśmy. Jest taka wścibska – idealna na piarowca.

Czuję, jak kanapa obok mnie ugina się lekko.

– Hej, ślicznotko, skąd taka smutna mina?

Odwracam się i patrzę na Leo. Ciągle trzyma w ręce butelkę szampana i teraz pociąga z niej długi łyk.

– Co jest? Gdzie pan Blackwell? Tropi wampiry?

– Poszedł na spacer?

– Na spacer? Przy świetle księżyca? I nie zabrał ze sobą miłości swojego życia? Nie widziałem jeszcze, żeby jakiś mężczyzna tak szalał za kobietą. Nie odrywa od ciebie oczu.

– Jest opiekuńczy.

– Więcej niż opiekuńczy. Kiedy tu przyszedł, myślałem, że oderwie mi głowę. Co ja takiego zrobiłem?

– Nie podobało mu się, że byłam już kiedyś w twojej garderobie – przyznaję. – Nie wie, czy może ci ufać. Ale przekona się, że tak.

– Czy to znaczy, że teraz moja garderoba to strefa zakazana?

– Oczywiście, że nie. Nie robię wszystkiego, czego życzy sobie Marc. Nie jest moim właścicielem. Nie ma powodu, żebym się z tobą nie widywała. Marc nie ma żadnych powodów do zazdrości.

– Nie? – pyta Leo żartobliwie, ale przysuwa się trochę bliżej.

Śmieję się i klepię go po ramieniu.

– Nie! Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Wiesz o tym.

– Cóż, chyba nie mogę rywalizować z panem Blackwellem. – Leo unosi mój podbródek i przybiera poważny ton. – Och, Sophio, Sophio? Gdzieżeś ty?

Czuję na sobie czyjś wzrok. Odwracam się i widzę Marca, który stoi w drzwiach garderoby.

Leo także się odwraca i opuszcza rękę.

– Uch, och.

Marc podchodzi do nas tak szybko, że kelnerzy i goście rozstępują się przed nim na boki.

– Sophio. – Marc patrzy groźnie na Leo. – Czy on ci się narzuca?

– Nie. Oczywiście, że nie. Po prostu rozmawiamy.

– Żeby z tobą rozmawiać, nie musi cię dotykać. – Głos Marca jest twardy i gniewny.

– Leo tylko żartował.

– Więc niech sobie żartuje z kimś innym. Z kimś, kto nie jest już zajęty.

– Hej. – Leo wstaje. – Tylko rozmawialiśmy. Bez urazy, dobrze? Ona na razie świata poza tobą nie widzi.

– Na razie? – Marc wyraźnie gotuje się ze złości.

– Marc. – Kładę dłoń na jego piersi.

Ponad ramieniem Marca widzę, że patrzy na nas tata, a wyraz jego twarzy wskazuje, że nie jest zachwycony tą sceną.

Odciągam Marca od Leo.

– My tylko rozmawialiśmy.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście, że tak. No… pomijając to z tatą. Porozmawiam z nim o tym w czasie świąt. Mam nadzieję, że do tego czasu będzie znowu sobą.

Marc obejmuje mnie ramieniem.

– Ja też z nim porozmawiam. Będę z nim rozmawiał tak długo, aż zrozumie, jak bardzo cię kocham.

– Och, Marc – wzdycham. – Dlaczego życie nigdy nie jest proste? Ja chcę tylko być z

tobą. Dlaczego tata nie widzi, że zostaliśmy dla siebie stworzeni?

– Zobaczy. Ale ty wyglądasz na zmęczoną. Powinienem zabrać cię do domu.

– Ale na razie nie zdążyłam nawet z nikim porozmawiać.

– Wykończysz się, Sophio. To był długi dzień.

– Muszę przynajmniej podziękować wszystkim za to, że przyszli. – Nie mogę powstrzymać ziewnięcia i szybko zasłaniam dłonią usta.

– Chodź – mówi Marc. – Pożegnaj się z gośćmi. Zabieram cię do domu.

Rozdział 6

Żegnam się ze wszystkimi, a potem idę z Markiem do limuzyny.

W samochodzie czeka Keith; czyta kryminał w miękkiej oprawie i pojada słodycze z torebki. Na nasz widok salutuje żartobliwie i wyskakuje z samochodu, żeby otworzyć przed nami drzwiczki.

– Jaśnie pani. – Kłania się przede mną. – Byłaś wspaniała. Cudowna. Pod koniec prawie się popłakałem. Proszę nikomu nie mówić.

– Widziałeś spektakl?

– Za nic bym go nie opuścił. Marc dopilnował, żebym dostał dobre miejsce.

– Myślałam, że bilety zostały wyprzedane.

– Pan Blackwell kupił mnóstwo miejsc – mówi Keith, mrużąc oko.

– Może to dzięki niemu sprzedali tyle biletów – mówię ze znużonym uśmiechem. – Bo kupił wszystkie.

– W żadnym razie – mówi Marc, pomagając mi wsiąść do samochodu.

W środku opieram się o jego ramię i dociera do mnie, jak bardzo jestem zmęczona. Marc siada prosto, obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie. Czuję, jak jego pierś porusza się przy moim policzku. Jest mi ciepło i bezpiecznie.

– Marc? – mówię. – Chciałam cię o coś wcześniej zapytać. O Boże Narodzenie. Jakie masz plany?

– To zależy od ciebie – mówi Marc. – I od tego, czego ty chcesz.

– Chcę być z tobą – mówię. – Ale zawsze wracam na święta do domu, żeby zobaczyć się z tatą i Sammym. I Jen – ona też wtedy przychodzi. Tak się zastanawiam… Miałbyś ochotę spędzić ten dzień ze mną? U mojego taty?

– A czy będę tam mile widziany? – Głos Marca rezonuje głęboko przy moim policzku.

– Tata powiedział, że nie ma nic przeciw temu – mówię, przygryzając paznokieć. – Więc jak? Przyjedziesz?

– Jeśli uważasz, że nie stworzy to nieprzyjemnej sytuacji. Nie chciałbym, żeby twój tata uznał to za brak szacunku wobec niego.

– Ja… tata powiedział, że nie ma nic przeciw temu.

– Tylko tyle?

– On naprawdę nie był dzisiaj sobą.

Światła Londynu migoczą przez przyciemnione szyby, a ja czuję, że oczy same mi się zamykają.

– Szkoda, że nie mogę odwiedzić taty jutro – mówię. – Upewnić się, że wszystko w porządku. Ale obiecałam Leo, że jeszcze popróbujemy.

Marc sztywnieje.

– Nie wspominałaś o tym.

– Nie? A miałam zamiar. Zapomniałam. Leo poprosił mnie o to podczas antraktu. Chce omówić reakcje publiczności i zobaczyć, czy możemy je jakoś wykorzystać.

– Przynajmniej raz zachowuje się jak profesjonalista. – Głos Marca brzmi zgryźliwie, ale jestem zbyt zmęczona, żeby się tym przejąć. Zamiast tego opieram się o niego i znowu zamykam oczy. Wkrótce zapadam w sen.

Rozdział 7

Kiedy otwieram oczy, jestem w domu Marca, który wnosi mnie na schody. Czuję, jak włosy kołyszą się pod moją głową. Sennie przesuwam oczami po architektonicznych rycinach wiszących na ścianach wzdłuż schodów.

Muszę coś zrobić z tym miejscem, myślę sennie. Dodać mu serca, duszy. Wprowadzić tu trochę roślin. Trochę ciepła.

Teraz jesteśmy już na podeście.

Marc otwiera drzwi sypialni ramieniem i zanosi mnie do łóżka. Łokciem odsuwa kołdrę i kładzie mnie na jedwabnym prześcieradle. Podnoszę wzrok na jego przystojną twarz i widzę w błękitnych oczach troskę.

– O co chodzi? – pytam.

– Jesteś zmęczona – mówi Marc niskim głosem. – Ale Boże… gdybyś wiedziała, co miałbym ochotę z tobą robić w tej chwili…

Czuję, jak narasta we mnie znajome ciepło. Ciągle jestem trochę obolała po tym, co robiliśmy wcześniej w garderobie, ale tak bardzo go pragnę.

– Nie jestem aż tak zmęczona – mówię, tłumiąc ziewnięcie.

Marc obchodzi łóżko dookoła, zdejmując marynarkę. Rzuca ją na krzesło.

– Jesteś – mówi. – Jesteś zmęczona. Zdecydowanie zbyt zmęczona na to, co mam na myśli.

– A co masz na myśli? – mruczę.

– To może poczekać.

Ciepło zmienia się w gorąco.

– Nie muszę zaraz zasypiać. – Staram się nie ziewać.

– Nie. Teraz śpij. Im szybciej się wyśpisz, tym szybciej będę mógł wypieprzyć cię tak, jak chcę. – Marc staje w nogach łóżka, rozwiązuje mi sznurówki i zsuwa buty ze stóp. Nie tak jak wtedy, w hotelu, kiedy jego ruchy były celowo uwodzicielskie. Teraz porusza się szybko i zdecydowanie, zrzucając moje buty na podłogę.

Potem rozpina mi dżinsy i zsuwa je z nóg, zatrzymując się tylko na moment, żeby spojrzeć na moją nagą skórę. Zaraz potem odwraca wzrok i nakrywa mnie kołdrą.

– Podnieś ręce.

Podnoszę, a on zdejmuje mi sweter przez głowę.

Nie sądzę, żeby próbował mnie podniecić, ale dotyk jego dłoni sprawia, że zaczynam go pragnąć.

Kładę się na łóżku.

– Marc. Ja nie śpię. Naprawdę.

Podchodzi do okna sypialni, rozluźniając krawat i zrzucając buty. Potem patrzy w ciemne niebo nad Londynem.

– Nie kładziesz się? – pytam.

Marc się odwraca.

– Miałem zamiar poczekać, aż zaśniesz – mówi. – Żeby mnie nie kusiło.

– Może cię kusić – mówię.

Marc się uśmiecha.

– Gdybyś wiedziała, co zaplanowałem, nie mówiłabyś tak. Wierz mi. Jesteś zbyt zmęczona.

– Nie jestem.

Marc podchodzi i przysiada na łóżku, a potem wyciąga rękę i głaszcze mnie po policzku.

– Moim zadaniem jest dbać o ciebie. W tej chwili dbam o twoje zdrowie, a nie twoją przyjemność.

– Pocałuj mnie – mówię.

– Sophio…

– Proszę.

Dłoń Marca zatrzymuje się na moim policzku. Jego oczy płoną. Potem powoli pochyla się i przyciska wargi do moich ust w długim pocałunku na dobranoc.

Uwielbiam dotyk jego warg. Ale zanim jestem w stanie zastanowić się, co robię, rozchylam wargi i zaczynam całować go namiętnie, a potem chwytam go za ramiona i przyciągam do siebie mocniej.

– Boże – jęczy Marc, oddając pocałunek i przyciskając mnie do materaca. – Sophio, możesz tego żałować.

– Nigdy.

Marc rozpina koszulę i zrzuca ją. Całuje mnie coraz gwałtowniej, wsuwa palce we włosy, zaciska je w pięść i ciągnie. Wsuwa kolano między moje nogi, napierając na mnie całym ciężarem ciała.

Skóra na głowie mrowi, ale on ciągnie mnie za włosy jeszcze mocniej, aż zaczynam jęczeć.

– Och, Marc.

– Nie zrobię tego, co zaplanowałem, teraz – mruczy Marc z ustami przy moich ustach. – Jesteś na to zbyt zmęczona. Ale muszę zobaczyć, jak masz orgazm.

Całuje mnie i jeszcze bardziej zaciska palce. Ból wędruje w dół, aż do szyi, głowę mam całkowicie unieruchomioną. Jego ciało wciska mnie w łóżko, jestem teraz zdana na jego łaskę i niełaskę.

Marc wciska mocniej kolano między moje nogi i przygważdża ręce do materaca jedną dłonią, podczas gdy drugą trzyma mnie za włosy. Jestem teraz tak wilgotna, że na pewno mam prawie przemoczone majtki.

– Och, Marc, proszę – błagam. – Proszę, wypieprz mnie.

Marc wsuwa dłoń między moje nogi, a ja jęczę i wstrzymuję oddech, kiedy odsuwa majtki na bok i jednym szybkim, silnym ruchem wkłada we mnie trzy palce na raz.

– Och – jęczę.

Wsuwa je we mnie i wysuwa, kilka razy. Potem dokłada czwarty palec, a ja nie czuję już nic, poza narastającą przyjemnością. Czuję się jednocześnie obolała i pełna, i to jest

cudowne uczucie.

– Powiedz, jeśli to za dużo – szepcze Marc.

Czuję, jak jego kciuk także się we mnie wsuwa i zapadam się w materac z bólu i przyjemności.

– To… chyba mogę to wytrzymać… na razie.

Marc wsuwa rękę głębiej, cały czas patrząc mi w oczy.

Przełykam i kręcę głową, wiedząc, że jeśli przekręci dłoń tak jak przedtem, nie zniosę tego. Ale on tego nie robi. Nie rusza się w ogóle, tylko patrzy na mnie płonącymi oczami.

– Pewnego dnia będziesz błagała, żebym włożył ci tam całą rękę – mówi. – Ale nie dzisiaj.

Wyciąga rękę tak szybkim ruchem, że zostaję z uczuciem pulsującej, rozpaczliwej pustki.

– Proszę, wypieprz mnie, Marc – błagam.

Rozdział 8

Marc rozpina spodnie i puszcza moje włosy, żeby je zdjąć. Zdejmuje też bokserki; widzę, jaki jest wielki i twardy, zanim znowu wspina się na mnie.

Sięga do szufladki nocnej szafki po prezerwatywę, rozrywa folię i naciąga lateksową tubę.

Rozchylam nogi, a on jęczy, kiedy dotyka mojej wilgotnej skóry.

– Znakomicie się pani dostosowuje, panno Rose. Znakomicie.

Drażni się ze mną przez chwilę, pocierając członkiem dookoła.

– Wypieprz mnie – mówię znowu. – Proszę. Proszę.

Marc wchodzi we mnie. Głęboko, aż do końca, dalej, niż sięgał palcami, dociera do mrocznych, czułych miejsc, od których całym moim ciałem wstrząsają dreszcze.

– Och – jęczę, czując, jak mnie wypełnia. Marc napiera na mnie, na całe moje ciało, pociera o mnie twardym kroczem, a ja jestem jak schwytana w pułapkę, przyszpilona do materaca. Kiedy tylko zaczyna się poruszać, wiem, że zaraz skończę. Ale on, tak jak wcześniej, nieruchomieje na moment, drocząc się ze mną.

– Żałuję, że nie mam twojej samokontroli – szepczę.

Oczy Marca płoną, kiedy odpowiada przez zaciśnięte zęby:

– Niewiele mi jej zostało, możesz mi wierzyć.

Znowu wsuwa mi rękę we włosy i ciągnie mnie za nie tak jak przedtem.

– O Boże! – krzyczę, kiedy zaciska palce mocniej.

Zaczyna się poruszać i z każdym ruchem szarpie mnie za włosy mocniej, aż moja głowa zaczyna poruszać się w tym samym rytmie i cudowny ból spływa mi z czaszki na szyję.

Ból sprawia, że nie zaczynam szczytować od razu, ale Boże… ta przyjemność. Z każdym pchnięciem, każdym szarpnięciem za włosy, coraz bardziej się w nim zatracam, jak zawsze.

Marc nie odrywa ode mnie wzroku, poruszając się tam i z powrotem. Moja głowa porusza się razem z nim, ciało przeszywa prąd.

Kiedy wsuwa drugą dłoń pode mnie i chwyta mnie za pośladki, dość mocno, by zostawić na nich sine ślady, nie jestem w stanie wytrzymać ani chwili dłużej. Mam ochotę krzyczeć na głos, jak mi z tym dobrze.

– Och. Och – jęczę. Patrzę mu w oczy i widzę, że on też jest już blisko.

– Sophio – jęczy. Jego oczy zachodzą mgłą, palce wbijają się w pośladki z taką siłą, że niemal unoszą mnie nad łóżkiem.

A potem jednym potężnym pchnięciem, uderzając dokładnie tak jak należy, wysyła mnie na drugi brzeg.

Mam orgazm.

Moje ciało faluje wokół niego. Rozkosz obejmuje wszystko, od czubka głowy po palce stóp. Rozpływam się. Moje ciało całe wydaje się naładowane elektrycznością – moja głowa, szyja, krocze.

Czuję pulsujące fale rozkoszy i słyszę, jak oddech Marca staje się chrapliwy, aż wreszcie on też kończy, z czymś pomiędzy krzykiem i jękiem.

Napiera na mnie jeszcze mocniej, jeszcze głębiej we mnie wchodzi.

Potem jego oddech zwalnia, ciało opada miękko na moje. Teraz jego nos niemal styka się z moim, przymknięte powieki drżą lekko. Zbliża usta do moich warg i składa na nich najdelikatniejszy, najsłodszy pocałunek. Po całym moim ciele rozlewa się ciepło.

Marc obejmuje mnie ramionami i obraca na bok, tak że teraz leżymy obok siebie. Delikatnie kładzie dłoń na mojej głowie, tam, gdzie wcześniej ciągnął mnie za włosy, i głaska lekko.

– Nie przesadziłem?

– Nie – mruczę. – To było przyjemne.

– Wiedziałem, że ci się spodoba.

Nie mówimy już nic więcej. Jestem zbyt zmęczona, żeby rozmawiać. Albo myśleć. Czuję tylko ciepło ramion Marca i jego ciała. Wtulam się w niego i zapadam w głęboki sen.

Rozdział 9

Następnego ranka budzi mnie dotyk słońca na twarzy. Instynktownie czuję, że Marca już obok mnie nie ma. Otwieram oczy i odwracam się, żeby spojrzeć na puste, zimne miejsce.

Jest piękny, rześki dzień zimowy; na niebie za szprosami okien świeci blade słońce.

Wstaję z łóżka, czując, jak jedwabna kołdra zsuwa mi się z nagich nóg. Ciągle mam na sobie majtki i czarną koszulkę w kolorowe gwiazdki. Na wspomnienie ubiegłej nocy robi mi się ciepło w brzuchu.

Co też Marc zaplanował dla mnie dzisiaj?

Drżę na samą myśl o tym, co to może być.

W kącie pokoju stoi brązowy kufer, a na nim bielizna i ubranie na zmianę. Moja bielizna i moje ubranie. Uśmiecham się.

Marc sprowadził dla mnie rzeczy z Ivy College po incydencie z Gilesem Gettym i przeznaczył na nie jeden pokój w swoim domu. Jest tam też łóżko, ale oczywiście nigdy w nim nie spałam.

Zawsze śpię w sypialni Marca.

Czasami budzę się rano i widzę Marca leżącego obok mnie. Nigdy nie śpi i patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym była figurką z porcelany, która w każdej chwili może spaść i się potłuc. A czasami Marc wstaje przede mną i przygotowuje dla mnie ubranie. Potem spotykamy się na dole w kuchni, na śniadaniu.

Kiedy budzę się w pustym łóżku, czuję się trochę dziwnie. Myślę, że w przypadku Marca zostawianie mnie śpiącej w łóżku jest pozostałością po czasach, kiedy nie potrafił odpuścić. Kiedy absolutnie cały czas musiał mieć nad wszystkim kontrolę. Ale teraz umie już odpuszczać. Przynajmniej na ogół.

Już mam wyjść z łóżka, kiedy słyszę skrzypnięcie drzwi i zostaję nagrodzona widokiem nagiej piersi Marca Blackwella, który ma na sobie tylko szare dresowe spodnie.

Niesie srebrną tacę ze śniadaniem, a jego miękkie brązowe włosy wydają się trochę wilgotne. Kiedy podchodzi bliżej, czuję zapach szamponu i wody kolońskiej.

– Punkt siódma na nogach. – Marc rzuca mi ten swój krzywy, zabójczy uśmiech, ten, który sprawia, że żeńskiej części publiczności w kinach miękną kolana. Ma idealne zęby, a usta, to, jak wyginają się w uśmiechu… Nie wiem, jak to określić, ale powiedzmy, że ten uśmiech naprawdę na mnie działa. – Jest pani bardzo przewidywalna, panno Rose.

– Marc, nie zdążyłam jeszcze wziąć prysznica. – Czuję się nieświeża i chciałabym umyć zęby, zanim zbliży się do mnie bardziej. Kiedy budzimy się razem, nie przejmuję się tym za bardzo. Ale dzisiaj on już się umył, więc ja też chciałabym wziąć prysznic.

– Lubię, kiedy nie jesteś umyta. – Marc kładzie tacę na brzegu łóżka. – Lubię twój zapach. – Jego niski głos trafia mnie we wszystkie właściwe miejsca. – Chcę, żebyś się dzisiaj porządnie najadła. Będziesz potrzebowała dużo energii.

– Och? – Unoszę jedną brew. – A do czego?

– Jaka byłaby z tego zabawa, gdybym ci powiedział? Jedz.

Na tacy stoi miseczka owsianki obsypanej pestkami dyni, chrupiącymi kawałkami bekonu i polanej syropem klonowym. Pod szklanym kloszem widzę jajka Benedykta przybrane zieloną pietruszką. Jest też miseczka świeżych truskawek i jogurt. Rany. Prawdziwa uczta.

Obok owsianki i jajek stoją dwie szklanki z rżniętego kryształu – w jednej jest sok z grejpfruta, a w drugiej gałązka bluszczu.

Uśmiecham się na widok zielonych listków.

– Zerwałeś go w swoim ogródku? – pytam.

– W twoim – mówi Marc, siadając obok mnie na łóżku i odgarniając mi włosy do tyłu. – Nie ma chyba wątpliwości, do kogo on teraz należy.

Uśmiecham się szeroko.

– Uwielbiam go. Tyle jeszcze chciałabym w nim zrobić.

– Spisz wszystkie rośliny, których potrzebujesz. I narzędzia. Poproszę Rodneya, żeby się tym zajął. A teraz jedz.

– Wszystko wygląda wspaniale – mówię. – Ale… jest tego tyle. Nie wiem, czy dam radę wszystko zjeść.

– Wczorajszy wieczór był długi, więc musisz się zregenerować. Mam plany na ten ranek. Plany, które wymagają energii. – Marc unosi jedną brew.

Żołądek przewraca mi się w brzuchu na wspomnienie planów, o których wczoraj mówił. A kiedy tylko przestaje się przewracać, przysuwam do siebie tacę.

Chwytam srebrną łyżkę i zanurzam ją w owsiance.

– Mniam, mniam – mruczę i wkładam ją do ust. Teraz dopiero dociera do mnie, jaka byłam głodna. – Pyszna. – Owsianka jest podlana śmietanką i ciepłym syropem klonowym. Smakuje bardziej jak deser niż śniadanie, ale zdaje się, że tego ranka dokładnie to jest mi potrzebne. Marc ma rację – poprzedniego dnia zużyłam wiele energii, na różne sposoby.

– Spróbuj z bekonem – mówi Marc, podnosząc chrupiący kawałeczek.

– Nigdy wcześniej nie jadłam bekonu z owsianką – przyznaję. – Pasują do siebie?

– Lepiej, niż sobie wyobrażasz. – Marc zbliża bekon do moich ust, a ja odgryzam kawałek. Ma rację, oczywiście. Pasuje doskonale do gęstej owsianki i syropu klonowego. Pochylam się i odgryzam jeszcze kawałek, tuż przy jego palcach.

– Ostrożnie, panno Rose – mówi Marc z uśmiechem.

– Ty możesz sprawiać mi ból, a ja tobie nie? – odpalam.

– Nie sprawiam ci bólu. Sprawdzam twoje granice, żeby dać ci więcej przyjemności. – Marc wbija we mnie pociemniałe oczy. – Chętnie przełożyłbym cię przez kolano i spuścił lanie przy pierwszej okazji. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego? – skrzeczę, przełykając bekon.

– Ponieważ miałabyś przy tym orgazm za orgazmem.

– Skąd wiesz?

– Widzę to w tej chwili w twoich oczach. A skoro już o tym mowa, masz zaczerwienioną szyję i dekolt, i mówisz o ton wyżej niż zwykle. Ale zaplanowałem dla

ciebie dzisiaj coś więcej niż lanie. Wierz mi. Specjalnie zamówiłem jedwabny sznur.

Och. Boże. Mam żądzę wypisaną na twarzy, wiem o tym. W pewnym sensie irytuje mnie, że Marc potrafi mnie tak łatwo podniecić, mówiąc o laniu i wiązaniu.

Nie mam pojęcia, czy podniecałby mnie taki mroczny, perwersyjny seks, gdybym nie spotkała Marca – czy może podoba mi się to właśnie z jego powodu. Zresztą to chyba bez znaczenia. Kocham go, a ta miłość obudziła we mnie różne rzeczy.

Teraz, kiedy Marc trochę odpuścił, kocham go tak bardzo, że czasami aż nie mogę oddychać.

Kiedy się kochamy, czuję, jakbyśmy byli jedną osobą. Ufam mu całkowicie. Bez reszty. Absolutnie. Chcę być jego częścią, zawsze. Fakt, że on czerpie przyjemność z dominacji nade mną, i fakt, że lubię, kiedy on nade mną dominuje, pokazują tylko, że naprawdę zostaliśmy dla siebie stworzeni.

Słyszę brzęczący dźwięk i widzę białe światło, błyskające przez szarą bawełnę spodni Marca.

Marc marszczy brwi, wyciąga telefon i patrzy na ekranik.

Czuję, że też marszczę brwi, bo on nagle wydaje się taki poważny. Nie ma śladu po tym pięknym, seksownym uśmiechu, z którym wszedł przed chwilą do pokoju.

– Marc?

Nie odpowiada. Zamiast tego odczytuje coś z ekranika.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Marc wstaje.

– Dokończ śniadanie. Muszę się tym zająć. Niedługo wrócę – mówi i wychodzi z sypialni.

Patrzę na zatrzaśnięte drzwi i zastanawiam się, co się, u licha, znowu dzieje.

Rozdział 10

Siedzę przez chwilę, patrząc na drzwi, i zastanawiam się, jaką Marc mógł dostać wiadomość. Ale po kilku minutach rozkoszny zapach śniadania zaczyna drażnić mój zmysł powonienia, i znowu czuję głód.

Boże, umieram z głodu. Naprawdę.

Zaczynam wyjadać łyżeczką owsiankę z miseczki, chrupiąc paski bekonu i obracając w ustach kremowe płatki z ciepłym syropem.

Po owsiance podnoszę klosz i srebrnymi sztućcami zabieram się do jajek Benedykta.

Mmm. Sadzone jajka i sos holenderski są pyszne, a pod nimi kryje się solona szynka na dwóch miękkich angielskich bułeczkach. Kiedy zaczynam jeść, jestem pewna, że nie dam rady zmieść wszystkiego, ale udaje mi się to bez trudu; resztki sosu wycieram kwadratowym kawałkiem świeżo upieczonego muffina.

Zjadam też truskawki i jogurt i popijam wszystko szklanką najlepszego, najklarowniejszego soku z różowych grejpfrutów, jaki kiedykolwiek piłam.

Marc, jak zwykle, wie, czego chcę i potrzebuję, lepiej niż ja sama.

Po śniadaniu odsuwam tacę i kładę się na materacu. Moje ciało jest odprężone i syte, ale umysł zaraz zaczyna swój bieg z przeszkodami. Dlaczego Marc tak nagle wyszedł?

Nie mogę sobie wyobrazić, że mógłby znowu wrócić do swoich dawnych, mrocznych zwyczajów. Jesteśmy teraz tak blisko. Serce mówi mi, żebym się nie martwiła – przynajmniej nie o to, że Marc znowu stanie się zimny i daleki.

Głowa jednak zaczyna analizować wszelkie możliwe powody, dla których w ogóle jesteśmy razem. W końcu mógłby mieć każdą kobietę, jakiej by zapragnął.

Pamiętam zdjęcia Marca z pięknymi modelkami i aktorkami z Hollywood. Oczywiście to było na długo przed tym, zanim się poznaliśmy. Ale Boże, żałuję, że kiedykolwiek widziałam te zdjęcia. W porównaniu z tymi kobietami, jestem nikim.

Zamknij się, Sophio. Doprowadzisz się do szaleństwa.

Zamykam oczy i próbuję odepchnąć od siebie okropne uczucie niepewności. Ale czasami jest to takie trudne. Z moim pochodzeniem ciężko mi uwierzyć, że naprawdę mogę zostać tam, gdzie jestem – w domu miliardera, który w dodatku jest zabójczo przystojny. Och, i nie powinnam zapominać, że gram główną rolę w dużym musicalu na West Endzie u boku Leo Falkirka.

Boże, życie jest czasem szalone.

Słyszę szybkie, twarde kroki na schodach i się prostuję.

Drzwi sypialni otwierają się z trzaskiem.

Marc podchodzi do mnie, odsuwając włosy z czoła.

– Marc? – Opuszczam nogi na ziemię.

– Sophio, coś się wydarzyło. Myślę, że teraz będzie najlepiej, jeśli pojedziesz na kilka

dni do ojca.

– Jadę do niego jutro. Po wigilijnym przedstawieniu. Dzisiaj miałam przećwiczyć jeszcze z Leo kilka piosenek, pamiętasz? W teatrze.

Twarz Marca chmurnieje. Kołysze się na piętach przez chwilę, a potem odwraca do mnie.

– Doskonale. Ale po dzisiejszym spektaklu pojedziesz prosto do ojca. Keith cię tam zawiezie. Dzisiaj wyślę tam twoje rzeczy.

– Marc, co się dzieje?

– Nic, czym musiałabyś się martwić. Ale najlepiej będzie, jeśli teraz zatrzymasz się na trochę u ojca. O której masz się spotkać z Leo?

– Nie wiem. Znasz Leo, zawsze mówi „poczekamy, zobaczymy". Uznaliśmy, że zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

– Zadzwoń do niego teraz i sprawdź, czy może się z tobą spotkać w ciągu godziny. Jeśli się zgodzi, pojedziesz do teatru i zostaniesz tam aż do przedstawienia. – Marc znowu zaczyna chodzić po pokoju.

– Marc. To szaleństwo. Chcesz, żebym pojechała i spędziła tyle czasu z Leo? Wczoraj wieczorem zachowywałeś się, jakbyś był zazdrosny.

– Zazdrosny? – Brew Marca zaczyna drgać. – O Leo Falkirka? Czy jest coś, o co mógłbym być zazdrosny? – Jego głos jest niski i złowieszczy.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Chronię cię przed innymi mężczyznami – warczy Marc. – Zwłaszcza tymi nieodpowiedzialnymi. Nie podobało mi się, że Leo dotykał cię wczoraj wieczorem. I nie podoba mi się, że podejmował cię w swojej garderobie, z dala od innych. Wszystko mogło się tam wydarzyć.

Śmieję się.

– Ale się nie wydarzyło.

– Ty mogłaś nie chcieć, żeby do czegokolwiek doszło, a on wręcz przeciwnie.

– To znaczy?

– To znaczy, że o Leo Falkirku wiem tylko jedno – to chłopiec w ciele mężczyzny. Nie wierzę, że potrafi się zachowywać odpowiedzialnie.

– Cóż, ja wierzę – mówię, wstając. – To dobry człowiek.

Marc podchodzi bliżej i staje nade mną.

– Jeśli kiedykolwiek dotknie cię wbrew twojej woli, zabiję go.

Czuję, że Marc podnosi dłoń do moich włosów, ale odwracam się, więc jego palce trafiają w próżnię.

– Nie zrobiłby tego. Mówiłam ci już. Znam go.

Między brwiami Marca pojawia się pionowa zmarszczka.

– Jak dobrze go znasz? – W jego głosie pobrzmiewa niebezpieczna nuta.

– Wystarczająco, żeby wiedzieć, że nigdy nie zrobi mi krzywdy.

Cisza. Dopiero po chwili dociera do mnie, jak Marc mógł odebrać te słowa, ale kiedy dostrzegam ból w jego oczach, jest już za późno. Straciłam go, przynajmniej w tej chwili.

– Marc…

– Zadzwoń do Leo i sprawdź, czy może się z tobą spotkać. Musisz opuścić ten dom tak

szybko, jak to możliwe. Mam sprawy do załatwienia.

Robi mi się niedobrze.

– Nie chciałam… kiedy mówiłam o krzywdzie… Poruszyłeś we mnie struny, których nikt wcześniej nie dotykał.

Marc odwraca się do mnie tyłem.

– Zostawię cię teraz, żebyś mogła się ubrać. I zadzwonić. Twój telefon jest na toaletce. – Rusza do drzwi. – Zadzwoń, kiedy dotrzesz już do teatru, żebym wiedział, że jesteś bezpieczna.

– Marc – mówię i słyszę, jak płaczliwie brzmi mój głos. – Proszę. Co się dzieje?

Marc odwraca się do mnie, teraz widzę jego piękny profil. Boże, jest taki przystojny. Taki charyzmatyczny. I znowu słyszę w głowie ten okropny głos – głos mojej paranoi. Jest już tobą zmęczony. O to właśnie chodzi.

– O nic, co zrobiłaś – mówi Marc, nie patrząc na mnie. – Tylko… wierz mi, tak będzie teraz najlepiej. W taki sposób chcę zapewnić ci bezpieczeństwo. – Idzie do drzwi.

– Zaczekaj! – wołam do jego pleców, czując łzy pod powiekami.

– Porozmawiamy później. – Marc wychodzi; drzwi sypialni zamykają się za nim z trzaskiem.

Rozdział 11

Biorę prysznic i ubieram się, a w głowie kłębią mi się nieprzyjemne myśli. Dzieje się tu coś dziwnego – dziwnego i złego. I bardzo nie podoba mi się, że nie wiem, co to jest.

Już ubrana dzwonię do Leo i pytam, czy możemy się spotkać od razu.

Leo odpowiada bez wahania, że tak, i dodaje, że przyniesie do teatru pączki i kawę.

Schodzę na dół, gdzie już czeka na mnie Keith. Ma na sobie uniform szofera z szarą czapką; na mój widok dotyka palcami daszka.

Włosy, ciągle jeszcze wilgotne po prysznicu, opadają mi na ramiona. Dopóki nie wyschną, wyglądam zawsze jak dzikuska. Ale jeśli wysuszę je suszarką, koszmarnie się puszą.

– Dzień dobry, panno Rose! – woła Keith.

Uśmiecham się.

– Daj spokój Keith. Wiesz przecież, że jestem po prostu Sophia.

– Wiem. Tak sobie żartuję. Zdaje się, że mam przyjemność odwieźć cię dzisiaj do teatru?

Dziwnie jest widzieć Keitha w domu Marca. Do tej pory widywałam go tylko w samochodzie albo w garażu, ale domyślam się, że wchodzi do domu dość często. Marc nie należy do ludzi, którzy każą swoim pracownikom czekać w zimnych garażach.

Bardzo lojalny pracodawca. Czy nie tak wyraził się o Marcu Keith? Jest lojalny także w stosunku do Denise, dba o nią od lat. Zresztą sama widziałam, jaki jest lojalny – w stosunku do swoich studentów i college'u.

Czy oświadczył mi się z lojalności? – pyta cichy, wredny głosik. Może obawia się, że zrujnował mi reputację i teraz chce postąpić jak należy.

Boże, co jest dzisiaj ze mną nie tak?

– Marc chce, żebym tam pojechała, więc chyba pojadę – mówię, uśmiechając się z przymusem.

– Nie sprawiasz wrażenia dziewczyny, która zrobi wszystko, co jej powie Marc. Prawdę mówiąc, jestem pewny, że właśnie dlatego Marc tak za tobą szaleje. Masz własne zdanie i głowę na karku.

– Na ogół. – Śmieję się. – Ale przy Marcu łatwo stracić głowę.

Schodzimy do garażu, a mój umysł ciągle pracuje na najwyższych obrotach.

Kiedy wyjeżdżamy z domu, dostrzegam przy bramie ochroniarzy w czarnych strojach.

– Wiesz może, co robią tu ci ochroniarze? – pytam Keitha, kiedy skręcamy na ulicę.

– Nie mam pojęcia – mówi Keith, wjeżdżając w ruchliwą główną drogę. – Nie było ich tu, kiedy przyjechałem. Ale na pewno nie ma się czym przejmować. Marc należy do tych,

którzy wolą zapobiegać, niż leczyć.

– Uch… Keith… – mówię. – Czy my nie jedziemy w przeciwną stronę?

– Rozkaz Marca – mówi Keith. – Od dzisiaj będziemy jeździli do teatru różnymi drogami.

– Och. – Przygryzam paznokieć. – Keith, co się dzieje? Marc chciał, żebym jak najszybciej opuściła dom. Potem ci ochroniarze przy bramie, i ta inna droga, którą masz jechać… Myślałam, że ten dom jest bezpieczny.

– Jeśli czegoś się nauczyłem w czasie, kiedy tu pracuję, to że Marc zawsze ma dobry powód, żeby coś robić.

– Skoro jesteś pewny…

– Och, jestem pewny. – Oczy Keitha zachodzą mgłą. – Wiesz, lata temu, kiedy zaczynałem dopiero pracować dla Marca, on poprosił mnie, żebym jechał z nim na premierę drogą, która wydała mi się głupia. Uczył się przemówienia na tylnym siedzeniu limuzyny, a ja pomyślałem, że on nie zna Londynu tak jak ja. Pojadę najkrótszą drogą, a on jeszcze mi podziękuje, że dojechaliśmy szybciej. Więc pojechałem najkrótszą drogą i zgadnij, co się stało? Paparazzi zablokowali ulicę i spędziliśmy godzinę w korku, podczas gdy oni walili nam w szyby aparatami. Marc wiedział, że tam będą, oczywiście. Zaplanował dla nas inną drogę, tylko mnie się wydawało, że wiem lepiej.

– Był zły? – pytam.

– Nie. Powiedział tylko, że to dla mnie nauczka i że w przyszłości mam mu zaufać. I zawsze ufam.

Rozdział 12

Pod teatrem Keith podjeżdża pod same drzwi od strony kulis, tak że zaledwie kilka cali dzieli nas od ochrony. Potem wysiada i sprawdza legitymacje ochroniarzy. I dopiero później wypuszcza mnie z samochodu.

Ciągle przeszywa mnie dreszcz strachu, kiedy patrzę na te drzwi, ale pomału uczę się zostawiać przeszłość za sobą.

– Dziękuję, Keith – mówię, wychodząc z samochodu.

– Marc prosił, żebym odebrał cię dzisiaj po spektaklu – mówi Keith. – I zawiózł prosto do twojego ojca.

Znowu przygryzam paznokieć.

– Marc będzie z tobą? Kiedy tu po mnie przyjedziesz?

– Nie wspominał o tym. Ale nie martw się. Jestem pewny, że na długo nie spuści cię z oka. Nie widziałem jeszcze, żeby tak za kimś szalał. A znam go od dawna.

W teatrze wchodzę na widownię i widzę, że Leo jest już na scenie, z kubkiem parującej kawy w jednej ręce i lukrowanym pączkiem w drugiej. Obok niego stoi pudełko pełne różowych, brązowych i żółtych pączków.

– Moja partnerka! – Leo wskazuje miejsce obok siebie. – Przyniosłem ci espresso. Odniosłem wrażenie, że powinnaś wstawać wcześniej.

– Dzięki. – Siadam na scenie, podnoszę maleńki kubeczek z espresso na wynos i obejmuję gorącą tekturkę palcami.

– Pączka? Wziąłem jeden w kształcie serduszka, specjalnie dla ciebie. – Leo popycha pudełko w moją stronę stopą w klapku. Jego stopy są złotobrązowe i trochę szorstkie na krawędziach – stopy surfera.

Myślę o tym, co powiedział wcześniej Marc, o tym, że Leo jest nieodpowiedzialny. Domyślam się, że kiedy był nastoletnim aktorem, mógł być trochę zbyt beztroski. I w pewnym sensie nadal jest. Ale to nie znaczy jeszcze, że jest złym człowiekiem.

Kręcę głową.

– Dzięki, ale zjadłam naprawdę obfite śniadanie.

– Śniadanie miłości, co? – mruczy Leo, odgryzając kawałek pączka.

Nie odpowiadam.

– Uch, och. Znowu się pokłóciliście?

– Właściwie nie – mówię. – Ale coś jest nie tak.

– Czy to ma coś wspólnego z całą tą dodatkową ochroną wokół teatru? – pyta Leo. – Zgarnęli mnie dzisiaj, zanim zdążyłem wejść do środka. I musiałem podać jakieś głupie hasło przy drzwiach i pokazać prawo jazdy.

Śmieję się.

– O co chodzi? – pyta Leo.

– Sama chciałabym wiedzieć. – Upijam łyczek espresso i się krzywię. Jest dla mnie za mocne, ale kofeina robi swoje. Jestem z pochodzenia Włoszką, więc powinnam lubić mocną kawę, ale tak nie jest.

Moja mama uwielbiała espresso. Pamiętam, jak kupiła wielki srebrny ekspres do kawy do naszej maleńkiej kuchni. „Brakuje mi włoskiej kawy", powiedziała. Może raz go użyła. Potem tylko obrastał w kurz na kuchennej szafce, tak jak toster, maszyna do lodów i tysiąc innych gadżetów.

– Wyglądasz dzisiaj przepięknie, Sophio – mówi Leo.

Czerwienię się.

– Leo…

– Och, daj spokój. Musisz przecież wiedzieć, że jesteś piękna, w ten naturalny, disnejowski, słodki sposób. Musiało ci to mówić tysiące mężczyzn.

– Nie bardzo. – Upijam kolejny łyk espresso i znowu się krzywię.

– Za mocna dla grzecznej dziewczynki? – Leo uśmiecha się szeroko.

– Kto powiedział, że jestem grzeczna?

– Ja – mówi Leo. – Ale znowu, zadajesz się z Markiem Blackwellem, więc chyba nie możesz być naprawdę taka słodka i niewinna. Hej, jeśli znowu się kłócicie…

– Nie kłócimy się. Powinnam do niego zadzwonić. Obiecałam, że dam mu znać, kiedy już będę w teatrze. – Wyjmuję komórkę, ale Leo wyciąga rękę i wyrywa mi telefon z dłoni.

– Leo! – krzyczę. – Oddaj mi to!

– O nie. Nie pozwolę, żebyś znowu co pięć minut sprawdzała, czy Książę Pan przypadkiem nie dzwonił. Zatrzymam telefon do końca naszej próby.

– Leo, ja mu obiecałam, że…

– Mówię serio, Sophio. Nie będę próbował z kimś, kto nie może się skoncentrować na pracy.

– Boże! – Kręcę głową, sfrustrowana. Nie miałam nigdy młodszego brata, ale zaczynam rozumieć, jak to jest, kiedy się go ma. – Leo, oddaj telefon. Obiecałam Marcowi, że zadzwonię. Będzie się martwił.

– Powinien. Skoro jesteś ze mną.

– Oddaj mi telefon, Leo. – Próbuję mu go odebrać, ale podnosi go wysoko. Tracę cierpliwość. Wchodzę na scenę i podcinam mu kolana. Leo przewraca się i pociąga mnie za sobą, lądujemy razem na podłodze, ja na Leo, i próbuję wyrwać mu komórkę.

– Dobrze już, dobrze. – Leo śmieje się, wyciągając długie ramię tak, że znowu nie mogę dosięgnąć telefonu. – Dogadajmy się. Dostaniesz telefon, żebyś mogła zadzwonić do swojego nadopiekuńczego chłopaka. Ale potem zabieram go znowu do końca próby, dobrze? Nie chcę, żebyś ciągle sprawdzała, czy nie dzwonił. To rozprasza.

– W porządku, umowa stoi – mówię, usiłując złapać oddech.

Leo podaje mi telefon.

– Proszę. Pomogę ci wstać. – Obejmuje mnie ramieniem i siada, przy okazji sadzając mnie sobie na kolanach.

Przez chwilę nasze twarze są kilka centymetrów od siebie; czuję twarde mięśnie jego ramion i szerokiej piersi.

– No, no, panno Rose, rumieni się pani – mówi Leo.

Wstaję szybko, zakłopotana, bo czuję, że naprawdę się zaczerwieniłam. Potem odwracam się plecami do Leo i dzwonię do Marca, ciągle zdyszana po tej szarpaninie.

– Sophia. – Marc odbiera natychmiast.

– Już jestem – mówię. – Dotarłam do teatru. – Zerkam przez ramię. – Jestem z Leo.

– Wiem – mówi Marc cichym, złowieszczym głosem.

– Tak?

– Cały czas monitoruję twoje ruchy. Dla twojego bezpieczeństwa.

– Och. – Przełykam, myśląc o tym małym incydencie z Leo i modląc się, żeby Marc nie widział tego przez jakieś kamery czy coś w tym rodzaju. – Więc… po co prosiłeś, żebym zadzwoniła?

– Tam, gdzie chodzi o twoje bezpieczeństwo – mówi Marc – wolę sprawdzić wszystko dwa razy.

– Powiesz mi teraz, co się dzieje?

– Sophio, możliwe, że zupełnie nic. Nie chcę, żebyś się tym martwiła. Ale dopóki to sprawdzam, lepiej, żeby nie było cię w moim domu. Na razie tylko tyle mogę ci powiedzieć.

Cisza.

Chcę mu powiedzieć, że go kocham i za nim tęsknię. Że nie mogę się doczekać, kiedy mnie znowu dotknie. Że nie mogę znieść rozłąki z nim. Ale jestem przerażona jego nagłym gniewem i zimnem. Więc zamiast tego mogę powiedzieć tylko:

– Kiedy cię znowu zobaczę?

– Niedługo, obiecuję.

I połączenie jest przerwane.

– Teraz możesz oddać mi telefon – mówi Leo, zrywając się na nogi. – Mamy umowę, pamiętasz?

Wzdycham.

– Świetnie.

Niechętnie oddaję mu komórkę.

Leo zaciska na niej palce.

– Przechowam ją gdzieś, gdzie nie będziesz mogła się do niej dobrać. Wtedy wreszcie skupisz się na mnie i tylko na mnie.

Rozdział 13

Cały dzień ćwiczę z Leo. Pijemy kawę i gorącą czekoladę, zamawiamy świeże kanapki z szynką i ciasto z delikatesów w Soho i rozmawiamy o różnych rzeczach zupełnie bez znaczenia.

W porze obiadu idziemy do China Town, gdzie jemy chrupiące naleśniki z kaczką, smażony ryż i wołowinę z czarną fasolką.

Dwaj ochroniarze idą za nami i czekają pod restauracją, kiedy jemy. Ale mimo to miło spędzamy czas.

Leo opowiada mi o drodze, jaką przeszedł, żeby zostać gwiazdą filmową – o różnych pracach, których się imał, od sprzedawania desek surfingowych po robienie koktajli owocowych. Opowiada o mamie artystce i ojcu, który przez pewien czas był burmistrzem.

Ja też opowiadam mu trochę o swojej rodzinie i śmierci mamy, kiedy byłam mała.

Kiedy Leo znowu pyta o ochroniarzy, kusi mnie, żeby powiedzieć mu Gilesie Gettym i porwaniu, ale coś we mnie sprawia, że słowa nie przechodzą mi przez gardło. Nie jestem gotowa, żeby o tym mówić. Jeszcze nie.

Jen wie, że coś się stało, ale nie zna szczegółów. Po porwaniu zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że w teatrze doszło do czegoś złego i że nie wiem, czy dam radę wystąpić na premierze. Poza tym Jen nic właściwie nie wie, ale rozumie mnie dość dobrze, żeby poczekać aż będę w stanie powiedzieć jej więcej.

Jen wie za to, że Marc nalegał, żebym się zatrzymała u niego i że się mną opiekuje. Powiedziałam jej o wszystkich terapeutach, z którymi mnie umawiał, i to jej wystarczyło. Dopóki ma pewność, że ktoś o mnie dba, nie musi wiedzieć nic więcej.

Leo i ja nie pracujemy zbyt ciężko na próbie, bo wiemy, że wieczorem czeka nas kolejne duże przedstawienie.

Kiedy zbliża się jego rozpoczęcie, jesteśmy dobrze przygotowani, ale pełni energii i w dobrej formie. Publiczność reaguje na nas dobrze, udaje nam się poprawić większość rzeczy, które naszym zdaniem szwankowały trochę na premierze.

Jak zwykle czas mija szybko, kiedy gram, i ani się obejrzę, a kłaniamy się z Leo ostatni raz i schodzimy ze sceny.

Mam nadzieję, że Marc będzie na mnie czekał za kulisami, ale nie ma go tam. Jest za to Keith – ku memu zdumieniu.

– Keith, co tu robisz? – pytam, podnosząc spódnicę kostiumu i podchodząc do niego.

– Przyjechałem po ciebie.

– Marca tu nie ma? – pytam ostrożnie.

– Nie. Przykro mi. Wiem, że nie mogę go zastąpić.

– Jestem pewna, że możesz – mówię. – Dziękuję, że po mnie przyjechałeś.

Podchodzi do nas Leo.

– A gdzie twój książę?

– Miałam nadzieję, że go zobaczę. Ale… chyba ma swoje powody, żeby tu dzisiaj nie być.

– Gdybyś była moją dziewczyną, czekałbym na ciebie po każdym spektaklu.

Patrzę na niego z ukosa, unosząc jedną brew.

– Wątpię – mówię. – Wyglądasz mi na faceta, który stałby tu z wielkim bukietem kwiatów przez kilka pierwszych wieczorów, a później by się znudził i zaczął flirtować z którąś z tancerek.

– O, okrutna. – Leo się śmieje.

– Czy teraz mogę dostać z powrotem swój telefon?

Leo przewraca oczami.

– Jasne. Jest u mnie w garderobie. Zaraz ci go przyniosę.

Rozdział 14

Na moim telefonie nie ma żadnych wiadomości ani nieodebranych połączeń, więc czuję, że nie chodzi tylko o bezpieczeństwo. Dlaczego Marc nie zadzwonił, choćby po to, żeby sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku?

Trzymam telefon na kolanach przez całą drogę do domu, ale on milczy. Kiedy dojeżdżamy do mojej wioski, zasięg jest coraz słabszy, aż w końcu zatrzymuje się między jedną kreską a brakiem usługi. Rada gminy zdołała zablokować ustawienie masztu telefonii komórkowej na naszym terenie, więc ciągle mamy zasięg tylko wtedy, kiedy wiatr wieje z właściwej strony.

– Keith – mówię, kiedy zatrzymujemy się przed domem. – Czy Marc powiedział ci coś więcej o tym, co się dzieje?

– Nie. Wiem tylko, że bardzo wzmógł dzisiaj ochronę. Dostałem chyba sto wiadomości o nowych procedurach i hasłach.

Już mam wysiąść z samochodu, kiedy Keith podnosi rękę, żeby mnie zatrzymać.

– Zaczekaj. Mam cię odprowadzić do drzwi. Nowe instrukcje.

– W porządku. – Teraz naprawdę ogarnia mnie niepokój. Cała ta ochrona i fakt, że Marc nie dzwoni. Kiedy nie jesteśmy razem, moje ciało wyrywa się do niego, a na myśl o tym, że nie spędzimy tej nocy razem… odczuwam niemal ból. Muszę do niego zadzwonić.

Keith obchodzi samochód, żeby otworzyć przede mną drzwiczki, ale w tej samej chwili dostrzegam jakiś czarny kształt poruszający się w ogródku przed domem.

– Co to? – pytam bez tchu.

– Ochroniarze – odpowiada Keith, pomagając mi wysiąść. – Będą wszędzie dookoła domu twojego taty i na drogach, które tu prowadzą. Jedno dobre, że drogi w takich małych miejscowościach łatwo monitorować, nie to, co w Londynie.

Wysiadam z samochodu na lekko drżących nogach.

Keith zatrzaskuje za mną drzwiczki.

– Jestem pewny, że nie ma się czego bać. Ale zawsze lepiej zachować ostrożność, niż później żałować.

Kiwam głową i idę żwirową dróżką w stronę domu. Okna są ciemne i po chwili uświadamiam sobie, że tata nie ma pojęcia, że się dzisiaj pojawię. W ciągu całego tego dziwnego dnia – kiedy na dodatek Leo zabrał mi telefon – zupełnie zapomniałam do niego zadzwonić.

Pukam lekko do drewnianych drzwi i czekam na odpowiedź.

Cisza.

– Wszystko w porządku? – pyta Keith.

– Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu – mówię, zaskoczona.

– Może wszyscy śpią.

– Nie tata. Pracuje na zmiany jako taksówkarz. To nocny marek. Zazwyczaj kładzie się spać koło trzeciej albo czwartej nad ranem. Możliwe, że jest w pracy, tylko że zwykle w ciągu tygodnia nie pracuje tak długo.

Pukam jeszcze raz i krzywię się, słysząc w ciemności ten głośny dźwięk.

W środku słyszę jakiś trzask, a potem Sammy zaczyna płakać.

– Co jest? – szepczę do siebie.

Drzwi się otwierają i staje w nich tata, zaspany, z zaczerwienionymi oczami.

– Tato? – mówię. – Spałeś?

– Och, cześć, kochanie. Nie wiedziałem, że to już Wigilia.

Teraz wiem już na pewno, że coś jest nie tak.

– To jeszcze nie Wigilia – mówię, zerkając na Keitha. – Przyjechałam dzień wcześniej. Czy mój bagaż jeszcze nie przyszedł?

Tata drapie się po głowie.

– Och, coś przyszło. Po prostu pomyślałem, że to prezenty od ciebie.

Mruga, a ja zauważam, że ma trochę nieprzytomne spojrzenie.

– Piłeś? – pytam.

Tata znowu mruga.

– Tylko kilka piw.

Odwracam się do Keitha.

– Bardzo dziękuję za podwiezienie. Teraz już sobie poradzę, naprawdę.

Keith zerka na tatę.

– Na pewno?

– Na pewno – mówię stanowczo. – Nie martw się o mnie. Wracaj do rodziny.

– Jeśli jesteś pewna…

– Absolutnie pewna. Jedź. Wracaj do domu.

Keith waha się, a potem kiwa głową.

– Cóż, skoro tak mówisz. Wszędzie dookoła jest mnóstwo ochroniarzy. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Dobrze? Mogę tu wrócić w pół godziny.

– Dobrze.

Keith wraca do samochodu.

Odwracam się do taty.

– Chodź. Wejdziemy do środka i powiesz mi, co się dzieje.

Rozdział 15

W domu jest ciemno, a w srebrnym świetle księżyca kanapy wyglądają jak jakieś ciemne stwory. Czuję zapach starego piwa i brudnych skarpetek, i coś jeszcze, czego nie czułam w tym domu od bardzo dawna – od czasu kiedy umarła mama.

Smutek.

Sammy ciągle płacze, ale tata zdaje się nie zwracać na to uwagi.

Chodzę po domu z coraz bardziej ściśniętym żołądkiem, potykając się o butelki po piwie i sterty ubrań.

– Tato – mówię. Płacz Sammy'ego słabnie i po chwili przechodzi w ciche kwilenie, aż wreszcie całkiem ustaje. Domyślam się, że mały musiał znowu zasnąć.

Odwracam się i patrzę na bladą, pooraną zmarszczkami twarz taty. Włosy sterczą mu na wszystkie strony, oczy ma nabiegłe krwią i teraz, kiedy próbuje chodzić, widzę, że na pewno jest trochę pijany. I wydaje się pokonany, tak samo jak wtedy, kiedy zmarła mama.

Przypominam sobie tamten okropny czas i na moment robi mi się słabo. Tata za dużo pił, nie dbał o siebie, był przygnębiony. Dom był w strasznym stanie. Ja próbowałam jakoś poradzić sobie z tym wszystkim i utrzymać to, co zostało z naszej rodziny, razem, choć sama miałam w piersi wielką czarną dziurę rozpaczy po mamie.

Ciągle brakuje mi mamy, nawet teraz. Niewiele jest dni, kiedy o niej nie myślę w ten czy inny sposób.

– Wszystko jest w porządku, kochanie – upiera się tata, ale głos ma cichy i zmęczony. – Po prostu mnie obudziłaś, to wszystko. – Brzęczy kopnięta przez niego przypadkiem butelka, tata potyka się i z trudem utrzymuje równowagę.

– Nie, nie jest. – Włączam światło i zaraz żałuję, że to zrobiłam. Nie wiem, czy kiedykolwiek dom wyglądał tak koszmarnie. Wszędzie leżą sterty brudnych ubrań. Na blacie stoją brudne kubki i talerze. Po workach ze śmieciami koło kosza łażą muchy. Patrzę na nie z obrzydzeniem – kto ma zimą muchy w domu?

Na stole stoi pusta butelka po whisky, a koło fotela cała bateria butelek po piwie.

– Och, tato. – Odwracam się do niego i dopiero teraz widzę, jak okropnie wygląda. Oczy ma całkiem czerwone, skórę białą jak ściana, a na sobie tę samą koszulę i spodnie, w których był na przyjęciu.

– Spałeś w tych rzeczach? – pytam.

– Tak. – Tata drapie się po głowie i spogląda na brudną koszulę. – Byłem dzisiaj zbyt zmęczony, żeby się przebrać. To… to był długo dzień.

– I dzisiaj, i wczoraj, i przedwczoraj, z tego co widzę. Gdzie jest Genoveva?

– Zrobiła sobie przerwę.

– Tato. – Krzyżuję ręce na piersi. – Powiesz mi sam, co się tu dzieje, czy mam wyciągnąć to z ciebie siłą?

Tata wzdycha i opada ciężko na kanapę.

– Genoveva odeszła – mówi, podnosząc z podłogi pustą butelkę po piwie i próbując jeszcze coś z niej wypić. Dopiero po kilku sekundach dociera do niego, że butelka jest pusta. Wtedy rzuca ją z powrotem na podłogę.

Toczy się w moją stronę, więc ją podnoszę.

– Czy Sammy bawi się w tych wszystkich śmieciach?

– Nie. – Tata trze oczy. – Jedna dziewczyna z miasteczka zabiera go na pół dnia, kiedy jestem w pracy. Jest niezła. I tania. Sammy ją nawet lubi. A tu wcale nie jest tak źle.

– Nie jest źle? – Próbuję upchnąć butelkę w przesypującym się koszu, ale w końcu daję za wygraną i stawiam ją na lepkim kuchennym blacie. – Tato, tu jest strasznie. Sammy nie może przebywać w takim brudzie. Czy Genoveva wie, jak tu wygląda?

– Ja… Ona nie odbiera moich telefonów. Cały czas mi się wydaje, że w każdej chwili może stanąć w drzwiach, ale minął już tydzień…

– Och, tato… – Staję za kanapą i obejmuję go ramionami. – Dlaczego mi nie powiedziałeś? Przyjechałabym i została z wami. Pomogłabym ci.

– Nie dałabyś rady, skarbie. Masz na głowie teatr i tak dalej.

Obejmuję go mocniej.

– Tak mi przykro. Powinnam była do ciebie zadzwonić. Byłam… – myślę o tym dziwnym, trudnym tygodniu po incydencie z Gilesem Gettym – …dość zajęta. Ale mimo to powinnam była pomyśleć o tobie. Czułam, że coś jest nie tak, ale nie zdawałam sobie sprawy, że sytuacja jest tak poważna. Ty też powinieneś mi coś powiedzieć. Wiesz przecież, ile dla mnie znaczycie, ty i Sammy. Rzuciłabym wszystko, żeby wam pomóc.

Tata uśmiecha się ze znużeniem.

– Właśnie dlatego nic ci nie mówiłem.

– Ale co się stało? – pytam. – Z Genovevą? Pokłóciliście się czy co?

– W pewnym sensie. – Tata wzdycha. Bierze kolejną pustą butelkę i zaczyna skubać etykietę.

– Tato?

– Ona… ma kogoś innego.

– Och, nie.

– To lekarz. Mieszka w sąsiedniej wsi. Jest żonaty.

– Och, nie.

Tata kiwa głową.

– Okropnie się czuję ze względu na jego żonę. Oni mają troje dzieci. Trzy złamane serca.

– Więc gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem. Słyszałem, że z nim. W jednym z jego letnich domków. Mam tylko nadzieję, że odzyska rozum i wróci do nas. Sammy jej potrzebuje. Ja też jej potrzebuję.

– Biedny Sammy. Nie ma pojęcia, co się dzieje.

– Tak jak i ja.

– Wszystko się ułoży – mówię, zbierając butelki. Stawiam je w rzędzie dookoła kosza, tak jak po śmierci mamy. – Czas leczy rany.

– Ona wróci – mówi tata. – Jestem tego pewny. Potrzebuje tylko czasu, żeby

zrozumieć, jaki błąd popełniła. – Opiera głowę na dłoniach.

Kładę mu rękę na ramieniu.

– Mam nadzieję, tato.

Ale w głębi serca jakoś tego nie widzę. Genoveva i tato często się kłócili, ale ona nigdy dotąd się nie wyprowadziła. A jeśli jeszcze spotyka się z kimś innym…

– Sammy tęskni za nią jak szalony – mówi tata. – Dlatego wiem, że nie mogła odejść na dobre. Nigdy nie zostawiłaby go na zawsze.

Nie wiem, co mam mu na to powiedzieć. Prawdę mówiąc, Genoveva zawsze wydawała mi się trochę zimna. Zawsze staram się widzieć w ludziach to, co najlepsze, ale w przypadku Genovevy było to czasami trudne. A w tej chwili, kiedy patrzę na zrozpaczonego tatę, jest to naprawdę trudne.

Wina zawsze leży po obu stronach, przypominam sobie. Ale znając Genovevę – a naprawdę ją znam – może tym razem rzeczywiście leży tylko po jednej.

– Och, tato. – Obejmuję go ramionami. – Zrobię ci gorącego mleka i zabiorę się do sprzątania.

– Nie. – Tata kręci głową i podnosi się ciężko. – Musisz być wykończona. Przyjechałaś aż z Londynu. Jutro razem się do tego zabierzemy. Odpocznij trochę. Obojgu nam się to przyda.

Jego skóra jest blada i cienka – niemal przezroczysta.

– Dobry pomysł – mówię, bo wiem, że jutro postaram się, żeby tata nie wchodził mi w drogę. Tam, gdzie w grę wchodzi sprzątanie, zwykle bardziej przeszkadza, niż pomaga, a sądząc z tego, jak wygląda, naprawdę przyda mu się sen. – Idź i prześpij się trochę.

Rozdział 16

Tata idzie w końcu na piętro, a potem ja też cicho wspinam się na schody i zaglądam do pokoju Sammy'ego. Śpi mocno w swoim łóżeczku, z rączkami wyciągniętymi wysoko nad główką.

Kiedyś była to mój pokój i cieszę się, że teraz sypia w nim Sammy. To idealny pokoik dla dziecka, bo z powodu pochyłego sufitu dorosła osoba z trudem może się w nim wyprostować. Genoveva, oczywiście, zmieniła wszystko, tak że pokój w niczym nie przypomina już mojej dawnej sypialni. Małe wróżki, które namalowałam wokół kominka, zostały zmyte, a lawenda, którą posadziłam na parapecie – wyrzucona. Stare meble, które wyszperaliśmy z tatą na pchlim targu, Genoveva zastąpiła białymi mebelkami do samodzielnego składania.

Przez chwilę patrzę, jak Sammy śpi, ale kiedy zaczynam się wycofywać, skrzypi jakaś deska i Sammy mruczy coś i pociera nos.

– Mama – mówi, nagle zupełnie rozbudzony.

Podchodzę do niego.

– Już dobrze, Sammy – szepczę, nagle wściekła na Genovevę. – Nic się nie martw. Ja się tobą zajmę, póki mama nie wróci. – Gładzę go po pleckach, aż znowu zamyka oczy, a potem śpiewam mu kołysankę, którą kiedyś śpiewała mi mama – *Gdzieś, ponad tęczą*.

Sammy szybko usypia, a ja cicho schodzę na dół.

W salonie dzwonię do Marca.

Odbiera po pierwszym sygnale.

– Sophia.

– Marc. Ja… Czy wszystko w porządku? Nie zadzwoniłeś…

– Dzwoniłem i dzwoniłem – warczy Marc. – Dlaczego wyłączyłaś telefon?

– Nie wyłączyłam.

– Dzwoniłem przynajmniej ze dwadzieścia razy. Za każdym razem słyszałem, że abonent jest nieosiągalny. Myślałem, że oszaleję z niepokoju. Pojechałem nawet do teatru, ale moi ochroniarze powiedzieli mi, że wyszłaś. Z Leo.

– Poszliśmy na obiad. Nie było mnie może godzinę.

– Gdyby nie to, że była tam ochrona… Sophio, nie lubię, kiedy nie ma z tobą kontaktu.

Nagle doznaję olśnienia.

– Czekaj… Mój telefon był w garderobie Leo, na tyłach teatru. Tam nie ma zasięgu. Więc pewnie dlatego nie mogłeś się dodzwonić.

– W garderobie Leo? – warczy Marc.

– Skonfiskował mój telefon – wyjaśniam. – Żebym mogła się skupić na pracy. W

przeciwnym razie ciągle sprawdzałabym, czy nie dzwoniłeś.

– Zabrał ci telefon? – Marc jest wściekły.

– To znaczy… niezupełnie. Sama się na to zgodziłam. Miał rację. To by mnie rozpraszało.

Słyszę oddech Marca. Ciężki i chrapliwy.

– Marc?

– Nigdy więcej nie dawaj Leo swojego telefonu.

Pocieram oczy, nagle bardzo zmęczona.

– Marc, robisz z igły widły.

– Idź się prześpij. Niedługo się zobaczymy.

– Kiedy? – pytam. – Jutro Wigilia.

– A ty masz cały dzień wolny. Aż do wieczornego przedstawienia o ósmej.

– Skąd to wiesz?

– Znam twój rozkład dnia.

– Ale skąd?

– Sophio, to moje zadanie, dbać o ciebie. Nie przyszło ci do głowy, że sprawdzę, kiedy masz próby i spektakle?

– No dobrze, ale jak to zrobiłeś?

– Jeden z moich ludzi jest świetny w wydobywaniu informacji z komputerów.

Wzdycham.

– Mogłeś mnie po prostu zapytać. Powiedziałabym ci wszystko, co chciałbyś wiedzieć.

Marc się śmieje.

– Jak na przykład to, że wybierasz się na obiad z Leo Falkirkiem?

– Wymyśliliśmy to nagle. Oczywiście, że bym ci o tym powiedziała. To żadna tajemnica. – Opadam na kanapę, nagle strasznie zmęczona. – Posłuchaj, jestem zbyt zmęczona i nie mam w tej chwili siły na twoją zazdrość. Mamy tu mały kryzys.

– Co się dzieje? – pyta niespokojnie Marc.

– Genoveva odeszła. Muszę się trochę zająć tatą.

– Chcesz, żebym tam kogoś posłał? Obsługę? Rodneya?

– Nie, dam sobie radę. Tata nie lubi, żeby ktoś obcy kręcił się po domu, kiedy ma kłopoty. W tej chwili potrzebuje rodziny.

– Jesteś bardzo dobrą córką.

– Po prostu opiekuję się swoim ojcem, to wszystko. Jak każdy. Co zaplanowałeś na jutro?

Cisza.

– Chciałem zabrać cię na zakupy. Ale skoro tata cię potrzebuje…

– Zakupy?

– Prezenty świąteczne.

– Kupiłam już wszystkie prezenty świąteczne – mówię. – Parę miesięcy temu. Lubię załatwiać takie rzeczy z wyprzedzeniem. – Nie dodaję: „bo tak jest znacznie taniej”.

Marc się śmieje.

– Jaka zorganizowana. Ale nie miałem na myśli twoich prezentów. To ja chcę kupić prezenty tobie i twojej rodzinie.

– Och, Marc. – Czuję, że zaczynam mięknąć. – To… urocze. Naprawdę. Ale proszę, nie rób sobie kłopotu. Nam wystarcza, że jesteśmy razem w święta. A jeśli chodzi o mnie, to, że będziemy razem, to dla mnie najlepszy prezent świąteczny.

– Nie wyobrażam sobie, że mógłbym pojawić się w twoim rodzinnym domu w święta bez prezentów.

Uśmiecham się do telefonu.

– Rozumiem. Chyba na twoim miejscu czułam to samo. – Waham się. – Ale… jak chcesz kupić prezent dla mnie, skoro będę z tobą?

– Bardzo łatwo – mówi Marc. – Wybierzesz sobie dokładnie to, co ci się spodoba.

– Ale wtedy nie będzie niespodzianki.

Marc się śmieje.

– Zapomniałem. Ty lubisz niespodzianki.

– Owszem.

– Lubi mi pani rzucać wyzwania, prawda, panno Rose?

– Ty to powiedziałeś.

– Doskonale. A więc będzie niespodzianka.

Czuję trzepotanie w brzuchu.

– Marc… ale nie kupuj mi nic zbyt kosztownego, dobrze? To znaczy, mnie nie byłoby stać, żeby kupić ci coś drogiego, więc daj mi tylko jakiś drobiazg.

– Ja nie chcę, żebyś kupowała dla mnie prezent – mówi Marc.

– Dlaczego?

– Nie bardzo umiem przyjmować prezenty.

– Ale ja chcę ci dać prezent. To będzie dla mnie przyjemność.

Chwila ciszy.

– Nigdy nie powstrzymywałbym cię przed niczym, co sprawia ci przyjemność.

Rozdział 17

Następnego ranka wstaję wcześniej niż zwykle, bo budzi mnie płacz Sammy'ego. Rozpaczliwy, przeciągły krzyk, który rozdziera serce i sprawia, że zrywam się na równe nogi.

Potykam się o zabawki i ręczniki w korytarzu, a potem wpadam do jego pokoju. Sammy podciągnął się na nóżki i zapłakany stoi w łóżeczku.

– Sammy, Sammy – mówię i czuję, jak moja twarz łagodnieje. – O co tyle krzyku? – Wyjmuję go z łóżeczka, a on chwyta mnie za włosy pulchnymi rączkami, a potem wtula się w moje ramię i uspokaja trochę.

– Sammy? – Tata wpada do pokoju w bokserkach i podkoszulce.

– Już w porządku, tato. Wracaj do łóżka. Przygotuję dla niego mleko.

Tata przeciera oczy.

– Na pewno, kochanie?

– Jasne. Tobie przyda się jeszcze trochę snu. Idź, ja sobie poradzę.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie.

– Cóż. W takim razie zbudź mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

– Dobrze – mówię, doskonale wiedząc, że tego nie zrobię.

Podchodzę z Sammym do okna. Na zewnątrz ciągle jest dość ciemno, ale niebo szarzeje już i zaczyna świtać.

– Popatrz Sammy – mówię. – Niedługo wstanie słoneczko. Już Wigilia, czy to nie wspaniałe? Jutro przyjdzie Święty Mikołaj i przyniesie ci mnóstwo zabawek.

Przed domem porusza się nagle jakaś ciemna sylwetka. Odskakuję od okna.

– Co to… – Mocniej obejmuję dziecko. Serce wali mi jak młotem, ale kiedy przyglądam się uważniej, widzę, że ciemna postać to tylko jeden z ochroniarzy Marca. – Uch. No, już dobrze. To tylko ochroniarze.

Ale są bardzo aktywni jak na tak wczesny ranek. Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

Idę z Sammym do pokoju gościnnego, biorę telefon z nocnego stolika i dzwonię do Marca.

– Sophia. – Marc wydaje się całkowicie rozbudzony, jakby siedział przy telefonie i czekał, aż zadzwonię. – Wcześnie wstałaś. Wszystko w porządku?

– Sammy mnie zbudził. Wszystko w porządku, tylko okropnie wystraszyłam się jednego z twoich ochroniarzy, który chodził wokół domu. Powiesz mi w końcu, co się dzieje?

– Już ci mówiłem. Nic takiego…

– Marc – mówię surowo. – Po prostu… powiedz mi, proszę. Jeśli nie wiem, czego się

spodziewać, niepokoję się bardziej. Czy to ma jakiś związek z Gettym?

– Pośrednio.

Serce zaczyna mi bić szybciej.

– Wypuścili go?

– Nie. Jest ciągle w areszcie.

– Tak? – Jestem zdezorientowana. – Więc o co chodzi? I jak on może mieć z tym coś wspólnego?

– To ma coś wspólnego z… ludźmi, których zna. Posłuchaj. Chcę, żeby to były dla ciebie miłe święta. Nie chcę, żebyś rozmyślała o czymś, co prawdopodobnie jest zupełnie nieistotne. Po prostu zaufaj mi, robię wszystko po to, żebyś była bezpieczna. Po świętach, jeśli nadal nie będę pewny, czy jesteś bezpieczna, wszystko ci powiem. Dobrze?

– Po świętach?

– Po świętach. Ale do tego czasu chcę, żebyś zapomniała o tych ochroniarzach.

– To będzie raczej trudne.

– Wiem. – Chwila ciszy. – Jak się ma twój tata?

– Jeszcze nie wiem. Wysłałam go do łóżka, żebym mogła zająć się Sammym i domem.

Na dźwięk swojego imienia Sammy porusza się w moich ramionach, więc muszę zmienić trochę pozycję, żeby nie upuścić telefonu.

– Może przyślę ci kogoś do pomocy – mówi Marc.

Wzdycham.

– Nie ma potrzeby. Naprawdę. Jak mówiłam, tata nie przepada za obcymi. Teraz potrzebuje rodziny. Najlepiej byłoby, gdybym mogła tu trochę zostać.

– Mogę przynajmniej przysłać ci Rodneya, żeby pomógł w pracach domowych?

– To naprawdę nie zabierze mi dużo czasu. Najwyżej kilka godzin.

– Nie chcę, żebyś się męczyła. Wieczorem grasz w teatrze. Chyba że chcesz, żebym skontaktował się z Daviną. Mogę jej powiedzieć, że potrzebujesz przerwy ze względów osobistych.

– Nie mogę tego zrobić. Ludzie kupili bilety. Nie mogę ich zawieść.

Marc śmieje się cicho.

– Gdybym to ja grał w tej sztuce, powiedziałbym to samo. Ale kiedy słyszę to od ciebie, to co innego. Teatr może poczekać. Twoje dobro jest ważniejsze.

– Ale ja sobie poradzę – upieram się. – Naprawdę. I nie mogę się doczekać wieczornego przedstawienia. Naprawdę dobrze mi się pracuje z Leo.

– Cieszę się, że to słyszę – mówi Marc i znowu słyszę w jego głosie tę złowrogą nutę.

– Marc, nie ma powodu, żebyś był zazdrosny.

– Nie jestem zazdrosny. Chcę cię chronić.

– Jakkolwiek by to nazwać, o Leo nie musisz się martwić.

– Zdaje się, że w tej kwestii będziemy się różnili.

– Naprawdę chciałabym, żebyś mu już odpuścił tę wpadkę z paparazzi. On naprawdę chciał dobrze.

– Staram się, Sophio. Wierz mi. To, co do ciebie czuję, jest dla mnie zupełnie nowe. Czasami trudno mi poradzić sobie z tym, jak silne są te uczucia.

– Nowe?

– Miłość jest dla mnie czymś nowym. Wiesz o tym.

Zerkam na Sammy’ego, który usnął na moim ramieniu.

– Dla mnie też – mówię.

Marc milczy przez chwilę.

– Kocham cię, Sophio – mówi potem. – Zawsze.

– Zawsze?

– Zawsze – odpowiada Marc cicho. – Twoje potrzeby zawsze będą najważniejsze. Jeśli teraz chcesz być z tatą, pojadę na zakupy sam.

Och, kiedy pomyślę, że się dzisiaj nie zobaczymy… Ale skoro tata mnie potrzebuje, tak musi być.

– Ciężko mi, kiedy nie jesteśmy razem – mówię.

– Wiem – mówi Marc. – I wcale nie robi się lżej.

Sammy zaczyna się wiercić, a ja kołyszę go przez chwilę, aż znowu się uspokaja.

– Cóż, nawet jeśli się dzisiaj nie zobaczymy, spędzimy razem przynajmniej pierwszy dzień świąt – mówię. – Pewnie nie tak zwykle spędzasz święta, w jakimś małym domku na wsi, gdzie diabeł mówi dobranoc.

– Jeśli będę tam z tobą, nigdzie indziej nie chciałbym być.

Rozdział 18

Kiedy wychodzę z pokoju, słyszę chrapanie taty i cieszę się, że znowu zasnął. Lepsze to, niż gdyby miał zejść na dół i plątać mi się pod nogami, kiedy wezmę się do porządków.

– Chodź, Sammy – mówię, schodząc na dół po skrzypiących schodach. – Przygotuję ci mleko.

Na dole, w kuchni, odkrywam, że tuba do przygotowywania mieszanki jest pokryta zeschłymi resztkami. W zlewie dostrzegam butelkę i domyślam się, że tata musi ją myć każdego ranka.

Sadzam Sammy'ego w wysokim krzesełku, szoruję porządnie butlę, a potem sterylizuję ją jeszcze w garnku z wrzącą wodą. Nakładam na garnek pokrywkę.

– To cud, że się jeszcze nie rozchorowałeś – mruczę, oblewając butelkę zimną wodą, żeby ją schłodzić. Potem mieszam mleko z letnią wodą z czajnika. – Ale… tata nie został stworzony do takich rzeczy.

Jak Genoveva mogła zostawić go samego z dzieckiem w taki sposób? Przecież musi zdawać sobie sprawę, że on nie ma pojęcia o opiece nad dzieckiem.

Wyciągam Sammy'ego z krzesełka – teraz całą pupę ma w okruchach – i układam go sobie w ramionach, żeby podać mu mleko. Potem szukam pieluchy, bo ta, którą ma na sobie, jest przemoczona.

W pokoju Sammy'ego są tylko puste worki po pieluchach, ale odkrywam zmiętą, szarą pieluchę wciśniętą pod jego wózek, i przebieram go.

Myję zęby szczoteczką bez pasty i twarz wodą bez mydła, a potem decyduję, że przede wszystkim muszę iść z Sammym do sklepów.

Sammy nie ma żadnych czystych ubranek, więc ubieram go w zimowy kombinezon z plamą z ketchupu na przodzie, wkładam do wózka i wychodzę do supermarketu na zakupy.

Pół godziny później wracam do domu z plastikową reklamówką, pełną najpotrzebniejszych rzeczy. Kupiłam gotowaną fasolkę, krojony chleb, herbatę i jajka na śniadanie dla taty, mleko, mleko modyfikowane, pieluchy, słoiczki dla dzieci i wilgotne chusteczki dla Sammy'ego. Wzięłam też worki na śmieci, papier toaletowy, płyn do mycia naczyń, mydło i pastę do zębów.

Wycieram krzesełko Sammy'ego, a potem sadzam go w nim z grzechotką i owsianką.

Kiedy Sammy jest już najedzony, robię sobie kubek gorącej herbaty i zabieram się do pracy.

Im dłużej sprzątam, tym więcej odkrywam rzeczy do zrobienia. Na przykład mycie talerzy uświadamia mi, jak brudna jest suszarka na naczynia, więc muszę przerwać, żeby

ją wyszorować. Kiedy wynoszę śmieci, okazuje się, że tata nie wystawiał kubła na kółkach przed dom od czasu, kiedy odeszła Genoveva, więc muszę wytoczyć go na chodnik razem z kilkoma workami pełnymi śmieci.

Dwa razy napełniam pralkę ubrankami Sammy'ego, zanim mogę się zabrać do rzeczy taty. O dziesiątej jestem spocona, brudna i włosy sterczą mi na wszystkie strony. Ale dom wygląda znacznie lepiej, więc jestem zadowolona.

Salon jest czysty na tyle, że Sammy może po nim raczkować, i świetnie się bawi, podciągając się na kanapę i gryząc zabawki, które dla niego umyłam i wysuszyłam.

Słyszę, że w pokoju taty skrzypi już podłoga i robię śniadanie dla nas dwojga – fasolka na tostach z jajkiem sadzonym na wierzchu.

Tata schodzi na dół i jego twarz rozjaśnia się na widok wysprzątanego pokoju i śniadania na stole.

– Dobrze znowu mieć cię w domu, kochanie – mówi, wzruszony. – Nie radziłem sobie sam. Co zresztą było chyba widać. – Podchodzi do stołu.

– W porządku, tato. Przechodzisz trudne chwile.

– Jesteś najlepszą córką, jaką może sobie wymarzyć ojciec. Wiesz o tym, prawda?

– Och, to chyba przesada. Powinnam była przyjechać wcześniej.

Tata siada przy stole.

– To wygląda wspaniale, kochanie. Pierwsze porządne śniadanie od tygodnia.

– Więc co jadłeś? – pytam, choć w pewnym sensie boję się odpowiedzi.

– Tanie kanapki z bekonem z tej budki przy fabryce.

– A Sammy?

– Mleko i trochę mojej bułki z bekonem.

– Później jeszcze raz pójdę na zakupy. Kupię jakieś porządne jedzenie.

– Możesz spisać kilka posiłków, które mógłbym przygotowywać dla Sammy'ego? – pyta tata. – Wiesz, coś prostego? Coś, co nawet ja będę umiał przygotować.

Uśmiecham się. Mój tata potrafi skomplikować przygotowanie najprostszej potrawy. Kiedyś próbował zrobić na obiad kiełbaski z tłuczonymi ziemniakami. Nadal wzdrygam się na myśl o miejscach, w których znajdowałam potem ziemniaki.

– Oczywiście, tato, ale na razie nie musisz się martwić. Zostanę tu jeszcze kilka dni.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Nie zostawię was samych.

– Ale ciągle będziesz grała w tych przedstawieniach, prawda, skarbie?

– Tak. Nie mogę zawieść publiczności. Ale zostawię ci dokładne instrukcje, co Sammy ma zjeść na kolację. Jest ktoś, kto może z nim zostać, kiedy jesteś w pracy?

– Na razie nie pracuję. Muszę się najpierw ogarnąć.

– Szkoda, że nie zadzwoniłeś do mnie wcześniej. Co ty sobie myślałeś? Że przyjadę na święta i nie zobaczę, w jakim stanie jest dom?

– Pomyślałem, że do tego czasu posprzątam.

– Optymista, jak zawsze. – Uśmiecham się i jestem bardzo zadowolona, że w odpowiedzi tata też uśmiecha się ze znużeniem.

– Coś w tym rodzaju.

Rozdział 19

Sprzątam ze stołu po śniadaniu, potem rozwieszam pranie, a resztę poranka spędzam, rozkładając do szafek zakupy i bawiąc się z Sammym.

Przygotowuję prosty lunch, składający się z zupy i kanapek – Sammy dostaje pszenne rogaliki z marmite, a tata i ja z serem i piklami, które popijamy kubkami mleka z miejscowego gospodarstwa.

Podczas jedzenia przyglądam się tacie i uświadamiam sobie, jak bardzo się cieszę, że jestem tu i mogę się nim zaopiekować.

Ubiegły tydzień musiał być dla niego naprawdę stresujący. Tata nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu domu i gotowaniu.

Kocha Sammy'ego całym sercem, ale nie potrafi nawet dobrze zmienić pieluchy ani zapamiętać, ile powinien dostać mleka – w ogóle nie radzi sobie z obsługą takiego malucha.

To naprawdę nie jest jego wina. To tak, jakby kazać mi jeździć jego taksówką. Nie wiem przecież, jak włączyć licznik, nie znam najlepszej drogi z głównej ulicy do dworca kolejowego.

– Szkoda, że nie miałam czasu kupić ci choinki – mówię, patrząc na pusty kąt, w którym zwykle stawialiśmy świerk. – Byliśmy już wcześniej na zakupach, ale choinek już zabrakło.

Tata przeżuwa kawałek kanapki z serem.

– Przykro mi, skarbie. Chciałem kupić choinkę, ale jakoś Wigilia nadeszła szybciej, niż mi się wydawało. Więc kiedy przyjedzie twój chłopak?

– Marc? Mam nadzieję, że dziś wieczorem. Po spektaklu. Dziwnie będzie go tu gościć. Ale miło, mam nadzieję.

Zapada krępująca cisza.

– Jesteś na mnie zła? – pyta tata. – Że nie dałem wam jeszcze swojego błogosławieństwa?

– Nie zła – mówię. – Tylko… trochę zdezorientowana. Bardzo go kocham, a on mnie. Nie wiem, jak możesz tego nie widzieć.

Tata wzdycha.

– Genoveva i ja szybko zamieszkaliśmy razem. A teraz mi się wydaje, że wcale jej nie znałem. Żeby tak zostawić własne dziecko… Ona nie jest kobietą, za jaką ją uważałem. Nie zniósłbym, gdybyś musiała przeżywać kiedyś to, przez co ja teraz przechodzę. Ty i Marc… To wszystko wydaje się zbyt… sam nie wiem. Nagłe. On jest dużo starszy od ciebie i tak krótko się znacie. Nie chcę, żebyś popełniła błąd.

– Kiedy wiesz, to wiesz. Czy nie tak zawsze mówiliście z mamą? Że byliście młodzi, ale oboje wiedzieliście, że chcecie być już zawsze razem?

– I ty też tego chcesz? Z tym całym Markiem? Chcesz z nim być na zawsze?

– Bardziej niż czegokolwiek innego. – Spuszczam wzrok na kanapkę. – To niezwykły człowiek. Niezwykły. Czasami się zastanawiam, co on robi z kimś takim jak ja.

Tata się śmieje.

– Nie widziałaś, jak on na ciebie patrzy? On za tobą szaleje.

– Ale może pewnego dnia zorientuje się, że nie jestem nikim szczególnym.

Tata odkłada kanapkę i sięga przez stół, żeby wziąć mnie za ręce.

– Jesteś kimś bardzo, bardzo szczególnym, Sophio Rose. Jesteś jedną z najbardziej niezwykłych osób, jakie istnieją.

– Dzięki, tato, ale ty możesz nie być obiektywny.

– Widzę, że jemu na tobie zależy. Ale może powinnaś trochę zwolnić, to wszystko. Wziąć to na spokojnie. Nie ma pośpiechu. Żeby tak od razu mówić o ślubie… To mi się wydaje trochę szalone.

– A mnie nie. Mnie się to wydaje na miejscu. Ale potrzebuję twojego błogosławieństwa, nie tylko pozwolenia. Bez jednego i drugiego nie mogłabym za niego wyjść.

– Nie powiedziałem, że nie dam wam błogosławieństwa, jeśli już chodzi o ścisłość. Ale… najpierw muszę się upewnić co do niektórych rzeczy.

– Takich jak?

– Będziemy mogli pogadać o tym z Markiem jutro. Co on pije? Brandy? Porto?

– Whisky, chyba. I szampana. Ale on w ogóle mało pije.

– Miło mi to słyszeć. – Tata pociąga łyk mleka ze swojego kubka. – To jakie masz na dzisiaj plany? Jest Wigilia – nie zaplanowałaś czegoś z Jen?

Skręcam w palcach pasmo włosów.

– Marc miał mnie zabrać na zakupy, ale muszę nastawić jeszcze jedno pranie, więc… Pomyślałam, że zostanę tu z tobą i dotrzymam ci towarzystwa.

Tata wzdycha.

– Wiem, że może zaprzeczę temu, co sam powiedziałem, ale nie chcę, żebyś siedziała tu i sprzątała przez całą Wigilię. Idź ze swoim chłopakiem i baw się dobrze. Mówiłaś, że on chce cię zabrać na zakupy?

– Tak.

– Ale ty przecież nie znosisz zakupów?

– To takie inne zakupy – mówię. – Pomagam mu wybrać prezenty.

Tata odsuwa od siebie pusty talerz.

– Idź i zabaw się trochę, skarbie. Nie ma sensu, żebyś tu ze mną siedziała.

Pochylam się, żeby wytrzeć Samowi buzię.

– Na pewno? Nie będziesz się czuł samotny? Dasz sobie radę z Sammym?

– Jutro będę cię miał tu przez cały dzień. To wystarczy.

– Jesteś pewny?

– Całkowicie.

– Dobrze. Zostawię ci na wierzchu parę przekąsek dla Sammy’ego. I kolację dla was obu, i czyste butle na noc.

– A teraz idź i baw się dobrze.

– Zadzwonię do Marca.

Rozdział 20

Marc mówi, że podjedzie po mnie limuzyną o trzeciej po południu.

O wpół do trzeciej krążę po ogródku; co minutę zerkam na zegarek i patrzę, jak upływają kolejne sekundy.

Kiedy limuzyna wreszcie podjeżdża przed dom, czuję trzepot w piersi, jakbym miała w środku gniazdo pełne ptaków.

Wybiegam z domu, narzucając płaszcz na ramiona.

Ale zanim dobiegam do samochodu, drzwiczki z tyłu otwierają się i Marc wysiada.

Ma na sobie dopasowany czarny garnitur, czarną koszulę i czarny krawat, gęste włosy opadają mu na czoło.

Podchodzi do mnie dwoma wielkimi krokami, podnosi do góry i wtula twarz w moją szyję.

– Boże, pięknie pachniesz. – Głęboko wciąga powietrze.

– Tęskniłam za tobą – szepczę, ściskając go równie mocno.

Marc chwyta mnie mocniej i zanosi do limuzyny. W środku sadza mnie na siedzeniu, a sam klęka przede mną i obejmuje mnie ramionami.

– Doprowadzałem się do szaleństwa, rozmyślając o tobie – mówi.

– Och? A co o mnie myślałeś?

– Myślałem o tobie, związanej, zakneblowanej, błagającej, żebym cię wypieprzył.

Przełykam.

– A mówią, że nie ma już romantyzmu.

Marc uśmiecha się zabójczo.

– Czy może być coś bardziej romantycznego, niż sprawić, żebyś miała orgazm za orgazmem?

Limuzyna wyjeżdża na drogę, a ja kołyszę się w ramionach Marca.

– Zdajesz sobie sprawę, w jak niebezpiecznej sytuacji właśnie się znalazłaś? – pyta Marc.

– Myślałam, że twoim zadaniem jest mnie chronić.

– Przed wszystkimi poza mną.

– Na szczęście nie chcę, żebyś mnie chronił przed sobą – mruczę. – A tak dokładnie, jak wielkie zaplanowałeś dla mnie niebezpieczeństwo?

– W ogóle niczego nie zaplanowałem – mówi Marc. – Poza tym, żeby cię wypieprzyć na tylnym siedzeniu limuzyny.

– Tutaj? – mówię szeptem.

– Wcześniej nie narzekałaś.

– Narzekałam, o ile pamiętam.

– Och, no tak. – Marc odsuwa moje włosy z ramion i zaczyna przesuwać ustami po

mojej szyi.

Drżę.

– Nasza pierwsza kłótnia – mruczy w moją skórę. – Bardzo miło ją wspominam.

– Co jeszcze wspominasz? – szepczę, czując, jak topnieję pod dotykiem jego warg.

– Że pieprzyłem cię tamtej nocy, choć przysiągłem sobie, że tego nie zrobię. Że byłem zdumiony tym, jak zupełnie nie mogę ci się oprzeć. Że złamałaś moją samokontrolę.

– Ciężko było cię złamać – mówię, czując, jak wstrząsają mną dreszcze. Marc nie przestaje muskać wargami mojej szyi, a potem przyciska je do gardła i ssie delikatnie.

– Och – wyrywa mi się; dotyk Marca robi swoje.

Marc ssie mocniej, przesuwając po mojej skórze językiem. Potem zsuwa mi płaszcz z ramion i zwija go za moimi plecami.

Pod spodem mam długi czerwony sweter i jak zwykle wąskie dżinsy, tym razem czarne. Ale nie włożyłam trampek – jest na to za zimno. Zamiast nich wybrałam krótkie botki z szarego zamszu.

Marc wsuwa obie dłonie pod moje pośladki i przyciąga mnie do siebie, unosząc się trochę, tak że jego krocze napiera na moje.

Jednym eleganckim ruchem zdejmuje krawat i przytrzymuje go przede mną.

– Wyciągnij nadgarstki.

Rozdział 21

Marc, naprawdę? Tutaj?

– Ale już – warczy Marc.

O Boże. Tak mnie to podnieca, kiedy zaczyna nade mną dominować.

Posłusznie wyciągam przed siebie ręce, a Marc bierze je i pociera kciukami delikatną białą skórę nadgarstków. Przyciska miejsca, w których czuć puls, aż wydaję cichy jęk.

Ciągle patrzy mi prosto w oczy z taką intensywnością, że wszystko mi w środku topnieje.

Potem, nie spuszczając ze mnie wzroku, ściska moje nadgarstki razem, chwyta je mocno jedną silną dłonią i zaczyna muskać ich zewnętrzną stronę krawatem.

– Zwiążesz mnie? – pytam szeptem, podniecona do granic wytrzymałości.

– A chcesz, żebym to zrobił? – pyta Marc, uśmiechając się lekko.

– Tak.

– Więc powiedz mi to.

– Chcę, żebyś mnie związał.

Marc jęczy, jego oczy stają się dzikie i zachodzą mgłą. Rozchyla usta.

– Boże, uwielbiam, kiedy to mówisz…

Patrzy w dół na moje nadgarstki i obwiązuje je krawatem, a potem mocno ściska razem. Zaczyna robić skomplikowany węzeł z jednym luźno zwisającym końcem krawata.

– Ten też można łatwo rozwiązać? – pytam, głosem bardziej chrapliwym niż kiedykolwiek.

– Oczywiście.

– Musiałeś być świetnym harcerzem.

– Zabawne, nigdy się nie zapisałem.

– Więc gdzie się nauczyłeś tych węzłów? – pytam.

– Ktoś mnie nauczył.

– Kto?

– Pewna kobieta.

– Och.

Marc wsuwa palce w rękawy mojego czerwonego swetra, powoli i delikatnie.

– Wszystko w porządku. To nie tak, jak myślisz. Jako nastolatek pracowałem w teatrze za kulisami, jeśli akurat nie grałem. Pomagałem ustawiać dekoracje, przesuwać sprzęt i tak dalej. Ciągle trzeba było coś wiązać. Inspicjentka udzieliła mi pierwszych lekcji wiązania supłów.

Zsuwa dłonie z powrotem na moje nadgarstki.

– Bardzo mi się to później przydało.

– Na pewno – mruczę, czując jego palce przez chłodny jedwab krawata.

– Boże – jęczy Marc, patrząc na moje związane ręce. – Wyglądasz cudownie, związana w taki sposób.

Czuję, jak pulsuje między moimi nogami.

Wbija we mnie te zabójcze błękitne oczy, a potem jednym szybkim ruchem unosi moje ramiona nad głowę.

– Och!

Związał mi ręce dokładnie tak, jak trzeba, więc kiedy znajdują się w górze mam wrażenie, że tam właśnie powinny być.

W tej części samochodu musi być haczyk na garnitur, bo kiedy Marc je unosi, moje nadgarstki zahaczają o coś, a kiedy cofa ręce, zostają w górze.

Poruszam rękami w prawo i w lewo, żeby sprawdzić swoją teorię i odkrywam, że nie mogę się uwolnić.

Oczy Marca ciemnieją.

– Czy to źle, że lubię patrzeć, jak usiłujesz się uwolnić?

– Byłoby źle, gdybym sama tego nie chciała. – A chcę. Boże, naprawdę chcę. Związana, na oczach Marca, który obserwuje mnie jak gotujący się do skoku tygrys, bezsilna i całkowicie zdana na jego łaskę… Już czuję, jak jestem wilgotna, a Marc właściwie mnie jeszcze nie dotknął.

Marc dyszy ciężko i patrzy na mnie głodnymi oczami – i wiem, że ja patrzę na niego tak samo.

Kiedy samochód skręca i rzuca mnie trochę w jedną stronę, jego oddech staje się jeszcze cięższy. Zaraz potem Marc wydaje cichy jęk i rzuca się na mnie. Zdejmuje mi buty, rozpina dżinsy i zdziera je ze mnie razem z majtkami. Podciąga mi sweter do góry, a potem stanik, i zaczyna bawić się moimi piersiami. Ściska je razem i obejmuje wargami sutki.

Czuję między nogami, jaki jest twardy – jego spodnie muszą być napięte do granic możliwości.

– Och, Marc – jęczę, czując jego ciepłe usta i silne palce na swoich piersiach.

W odpowiedzi odsuwa się trochę, wyjmuje z kieszeni prezerwatywę i sam zdejmuje spodnie. Patrzę, podniecona, jak zakłada ją, rozciągając cienką gumę na wszystkie strony.

Dyszę tak ciężko, że wydaje mi się, że zaraz zemdleję. Nie wytrzymam chyba ani chwili dłużej bez niego w środku.

– Marc, proszę – jęczę cicho.

Samochód znowu skręca, rzucając mnie na Marca. Związana, padam na niego bezwładnie.

Marc przyciska do mnie swoje ciało, zbliża usta do mojego ucha i dyszy:

– Chciałem cię trochę podrażnić. Kazać ci czekać. Ale zupełnie nie mogę ci się oprzeć, Sophio Rose. Zupełnie.

Wchodzi we mnie do końca jednym szybkim ruchem, a ja wstrzymuję oddech i wydaję jęk przyjemności.

Potem zaczyna poruszać się tam i z powrotem, bez wysiłku, gładko. Jego oddech z każdą chwilą staje się szybszy.

Jestem w świecie przyjemności, skrępowana, zniewolona, podczas gdy on robi, co chce. Ale tak się składa, że ja chcę tego samego.

O Boże, o Boże.

Wchodzi we mnie coraz mocniej, coraz głębiej, przy każdym ruchu przyciskając do mnie krocze, tak że rozkoszne mrowienie obejmuje cały mój brzuch.

Po kilku silnych pchnięciach, kiedy brakuje mi tchu z przyjemności, Marc wycofuje się, dysząc, i odgarnia włosy z czoła.

– Marc… proszę…

Ale zanim jestem w stanie zaprotestować, on pochyla głowę i wsuwa ją między moje nogi. Obwodzi miejsce, w którym był jeszcze przed chwilą, językiem, doprowadzając mnie niemal do szaleństwa. Ale to doznanie zbyt intensywne. Zbyt mocne. Prawie bolesne.

– To za dużo – błagam. – Proszę, przestań. Nie wytrzymam tego.

Marc unosi głowę.

– Wiem dokładnie, ile wytrzymasz.

– Marc, proszę. – Związana, muszę wytrzymać przyjemność, która przeszywa moje ciało. Wiję się i miotam, ale Marc po prostu przytrzymuje mnie mocno jedną ręką i nie przestaje mnie torturować.

– Och. Och, Marc. Przestań, proszę.

Powoli te intensywne doznania przechodzą w fale gorąca, pełznące w górę moich ud.

– Zaraz skończę – jęczę. – O, Boże, Marc. O Boże. – Czuję, że mam zaczerwienioną szyję i policzki; drżące powieki opadają mi na oczy.

Marc odsuwa się ode mnie.

– Jeszcze nie.

Przyklęka tak, że jego krocze znajduje się na tym samym poziomie, co moje. Widzę jego wielki twardy członek, kilka centymetrów ode mnie.

Boże, chcę go poczuć w sobie. Pragnę tego do bólu. Ale on we mnie nie wchodzi. Zamiast tego wsuwa mi dłonie pod pośladki i przyciąga mnie do siebie, tak że opadam plecami na siedzenie.

Podbródek niemal dotyka mi teraz piersi, a ramiona mam wyciągnięte maksymalnie do góry.

Marc rozchyla mi nogi. A potem pośladki i teraz już wiem, co chce zrobić.

Rozdział 22

Marc – dyszę. – Chyba żartujesz. W samochodzie?

– Jesteś już na to gotowa – mówi Marc. – A w tej sytuacji chyba nie bardzo możesz protestować.

– A gdybym zaprotestowała, posłuchałbyś mnie?

Marc marszczy brwi.

– Wiesz, że tak. Powiedz, żebym przestał, a przestanę.

Zagryzam wargę, czując, jak moje pośladki pulsują na myśl o tym, że może we mnie wejść.

– Nie przestawaj.

Marc przysuwa się bliżej, rozszerza mi pośladki rękami i wchodzi między nie.

– Wycofam się, jeśli to za dużo.

– Oooch – jęczę, kiedy zaczyna powoli wsuwać się głębiej do środka.

– Przyjemnie?

– T-tak.

Marc wchodzi głębiej i przymyka oczy.

– O Boże. Och, Sophio, nie mogę… – Urywa i oddycha głęboko. – Czekaj – mówi, bardziej do siebie niż do mnie. I po chwili: – Dobrze. Dobrze. – Zaczyna znowu wchodzić we mnie tak powoli i ostrożnie, że choć czuję nieco bolesny opór, jest to przede wszystkim przyjemne.

Marc wsuwa mi kciuk między nogi, tam, gdzie jeszcze przed chwilą był jego język, i zaczyna przyciskać go i obracać, aż całkowicie odchodzę od zmysłów.

– Och. Och. Marc. Och.

Kiedy zaczyna wsuwać go do środka i wysuwać, nie jestem w stanie wytrzymać dłużej.

– Och, Marc. To już. Już.

Rozkosz obejmuje miejsca, do których nigdy wcześniej nie docierała; zagarnia całe moje ciało w sposób, jakiego dotąd nie znałam.

Mam wrażenie, że zostałam zanurzona w ciepłym syropie. To, co w tej chwili dzielimy, jest tak intymne… czuję, że Marc jest mi bliższy niż kiedykolwiek.

Marc jęczy i wchodzi we mnie ostatni raz, jęczy mi do ucha, krzyczy moje imię i owija sobie ręce moimi włosami.

– Sophia. Och, Sophia! – krzyczy, kiedy moje ciało pulsuje wokół niego i fala miękkiego ciepła rozlewa się po nim od szyi aż po palce u stóp.

– Kocham cię – udaje mi się powiedzieć, miękkim, niskim głosem.

– Boże. Ja też cię kocham – mówi Marc.

Zostajemy tak przez chwilę, wtuleni w siebie. Potem czuję, jak Marc wysuwa się ze mnie. Sięga do góry i jednym szybkim ruchem uwalnia moje ręce i rozciera je, żeby

przywrócić krążenie.

Całuje zaczerwienioną skórę i gładzi nadgarstki. Potem zdejmuje prezerwatywę, wkłada ją do papierowego kubka i wrzuca do małego kosza na śmieci pod jednym z siedzeń. Później bierze mnie w ramiona i przytula mocno do siebie.

– Nie sądziłem, że możemy być jeszcze bliżej. Ale tym razem zatraciłem się w tobie jeszcze trochę bardziej.

– Wiem – odpowiadam szeptem, z ustami przy jego szyi, rozkoszując się jego siłą i ciepłem. – Czułam się bliżej ciebie niż kiedykolwiek.

Po chwili Marc pomaga mi włożyć majtki i dżinsy i sam zapina spodnie. Potem zakłada na szyję krawat, tak swobodnie i naturalnie, jakby wisiał przed chwilą w jego szafie.

Śmieję się.

– Masz zamiar teraz włożyć ten krawat?

– Oczywiście. Właśnie stał się moim ulubionym. – Marc siada obok mnie i przyciąga mnie do siebie. – Wszystko w porządku? Nie posunąłem się za daleko?

– Nie, było tak jak zawsze – mówię i czuję, że się uśmiecham. – Najpierw myślę, że to za daleko, a potem okazuje się, że w sam raz.

– Przy tobie zatrzymanie się tak, żeby było w sam raz, jest coraz trudniejsze – mówi Marc. – Boję się, że któregoś dnia nie będę w stanie się powstrzymać.

– Ja się nie boję – mówię. – Ufam ci.

Marc patrzy na mnie.

– Czym sobie zasłużyłem, na kogoś tak idealnego?

Samochód wjeżdża do centrum Londynu; obejmujemy się ramionami i patrzymy na migające za oknami budynki.

Rozdział 23

Limuzyna zatrzymuje się w końcu na pięknym kamiennym placu z fontanną na środku, w samym sercu Londynu. Wokół placu rosną wysokie drzewa; ich pierzaste gałęzie są obwieszone eleganckimi czerwonymi latarenkami i małymi białymi lampkami.

– Gdzie jesteśmy? – pytam Marca, kiedy pomaga mi wyjść z samochodu i włożyć płaszcz.

– Na Sloane Square.

– To w Chelsea, prawda?

– Zgadza się.

Pamiętam, że kiedyś widziałam film dokumentalny o Sloane Square. Był o kobietach nazywanych „łowczyniami ze Sloane" – dziewczynach, które mieszkają w eleganckich apartamentach w Chelsea, robią zakupy w drogich butikach przy Sloane Square i szukają bogatych mężów.

Rozglądam się dookoła. Świetnie ubrane kobiety w stroje z Vogue'a przechadzają się po chodniku, potrząsając wspaniałymi, lśniącymi włosami i torebkami od znanych projektantów. Instynktownie podnoszę rękę do swoich niesfornych kosmyków i zaczynam skręcać jeden z nich.

– W porządku – mówi Marc, obejmując mnie ramieniem. – Nie denerwuj się.

– Wyglądam, jakbym się denerwowała?

– Trochę.

– Chyba po prostu czuję się tu trochę nie na miejscu.

– Kiedy to pod każdym względem twoje miejsce.

– Nic o tym nie wiem. Ci… ci ludzie tutaj są tacy eleganccy. Piękni. Mają klasę. A ja w tych swoich dżinsach…

– Wierz mi, masz więcej klasy i urody niż każda z tych kobiet.

Mijamy wielką choinkę obwieszoną ceramicznymi ozdobami w kształcie pierników i migoczącymi światełkami. Jest piękna, ale ma odcięte korzenie, a pień wetknięty w pojemnik z lodowatą wodą.

– Zawsze mi smutno, kiedy widzę drzewo bez korzeni – mówię do Marca. – U nas w rodzinie kupujemy zawsze całe drzewko i po świętach sadzimy je w ogrodzie albo w lesie. Tyle że w tym roku tata nie miał czasu kupić choinki. Szkoda. Chciałabym, żebyś zobaczył nasz dom przystrojony na święta. Jest wtedy taki przytulny.

– Jeśli tylko ty będziesz w tym domu, nie dbam o dekoracje.

Schodzimy z głównego placu w węższą ulicę, po której jeździ mnóstwo taksówek.

– Dokąd idziemy? – pytam.

– Mój przyjaciel ma tu sklep. Sklep z zabawkami. Pomyślałem, że mogłabyś pomóc mi kupić tu coś dla Sammy'ego.

Zatrzymujemy się przed lśniącą witryną, pełną pięknych, ręcznie robionych zabawek z drewna. Okno jest osadzone w budynku z czerwonej cegły, a na ścianie wisi złoty szyld z napisem „Zabawki Petera”.

Patrzę z zachwytem na wystawę. W tych zabawkach jest coś prawdziwie magicznego. Są z litego drewna i widać, że wykonał je ktoś, kto kocha to, co robi. Domki dla lalek, wózki, klocki, rowerek na trzech kołach… nawet ciężarówka wyładowana ręcznie malowanymi kłodami drewna. Jestem pewna, że Sam uwielbiałby się nią bawić.

– To idealne miejsce, żeby kupić coś dla Sammy’ego – mówię. – Nie mogę się doczekać, kiedy wejdziemy do środka.

– Podoba ci się? – pyta Marc, kiedy zaglądam przez okno. – Peter sam robi większość tych zabawek. On to naprawdę kocha.

– Zachwycają mnie.

– Dobrze. Wejdźmy do środka.

Rozdział 24

Kiedy wchodzimy do sklepu, nad naszymi głowami odzywa się dzwonek, w środku unosi się cudowny zapach drewna i trocin. Podłoga jest zasłana wiórkami drewna, na stolikach z pniaków i półkach z surowych, nieokorowanych desek stoją drewniane zabawki. Mam wrażenie, że weszłam do wydrążonego pnia drzewa.

Wysoki, szczupły mężczyzna o białych włosach i w okrągłych okularach podchodzi do nas dużymi krokami, podciągając rękawy pasiastej koszuli.

– Marc. Jak się masz, do diabła?

– Peter. – Marc ściska jego dłoń. – Cieszę się, że cię widzę.

Marc obejmuje mnie ramieniem i Peter spogląda na mnie z ciekawością.

– A niech mnie. Marc Blackwell, w biały dzień, z młodą damą. Musisz być kimś bardzo wyjątkowym.

– To jest Sophia Rose – mówi Marc, obejmując mnie mocniej. – I tak, jest dla mnie kimś bardzo wyjątkowym. Naprawdę.

– Miło mi to słyszeć – mówi Peter. – Najwyższy czas, żebyś znalazł sobie dobrą kobietę.

– Nie ma lepszej od Sophii.

– Dobrze, dobrze. No, pozwólcie, że poczęstuję was sherry. W końcu idą święta. – Peter idzie na zaplecze i wraca z butelką sherry lustau i trzema kryształowymi kieliszkami.

Stawia je przy kasie, nalewa hojnie sherry do wszystkich i dwa podaje nam.

– Dobra, prawda? – mówi, pociągając łyk z kieliszka. – Od listopada czekałem na jakąś okazję, żeby ją otworzyć.

– Cieszę się bardzo, że jej dostarczyliśmy – mówi Marc, upijając łyk.

– Dziękuję. – Próbuję sherry, jest pyszna. Wytrawna, świeża i niezwykle rozgrzewająca, idealna na taki zimowy dzień. Tak gładko spływa w gardło, że prawie nie czuję alkoholu, ale gorąco w żołądku upewnia mnie, że jest inaczej.

– Cóż, w czym mogę wam dzisiaj pomóc? – pyta Peter, pociągając kolejny łyk. – Znowu coś dla siostrzeńca? Czy meblujecie pokoik dziecinny? – Spogląda na mnie z ukosa i mruży oko.

Patrzę na Marca i widzę z ulgą, że się uśmiecha.

– Jeszcze nie – mówi. – Szukamy prezentu dla rocznego chłopczyka.

– Chyba już wiem, co by mu się spodobało – mówię, rozglądając się po sklepie. Niektóre z zabawek są tak złożone, że mnie to zdumiewa. Zaczynam żałować, że nie jestem już małą dziewczynką, która mogłaby się bawić domkiem dla lalek z pięknym, ręcznie rzeźbionym zestawem mebelków. – Ten wóz na drewno z wystawy. Jest idealny. Będzie mógł go ciągnąć po podłodze, a potem zdjąć drewno i gryźć.

– Może gryźć do woli – mówi Peter z dumą, zatyka kciuki za kieszenie spodni i kołysze się w przód i w tył. – To wszystko naturalne barwniki. Nietoksyczne.

– Robisz takie piękne rzeczy – mówię, rozglądając się po sklepie. – Zrobienie tych wszystkich zabawek musiało trwać całe wieki.

– Lata – mówi Peter, odkłada kieliszek i podchodzi do okna. Zdejmuje ciężarówkę z wystawy, trzymając ją dwiema rękami. – To jedna z moich ulubionych. Cieszę się, że pojedzie do dobrego domu.

Stawia ją ostrożnie na blacie do pakowania i delikatnie owija kilkoma warstwami brązowej bibuły. Potem odrywa kawałek złotego papieru z motywem listków ostrokrzewu i fachowo pakuje zabawkę, na końcu dekorując paczkę gałązką prawdziwego ostrokrzewu.

– To młody ostrokrzew – tłumaczy, podając paczkę Marcowi. – Więc mały się nie pokłuje.

Marc bierze paczkę jedną ręką, stawia kieliszek przy kasie i wyciąga portfel.

– Nie, nie, zostaw to – mówi Peter. – Nawet by mi to nie przyszło do głowy.

– Peter, darowizny na rzecz twojej fundacji to coś zupełnie innego niż zakupy w twoim sklepie.

– Nie, jeśli te darowizny to tysiące funtów. – Peter odwraca się do mnie. – Marc jest bardzo hojny dla Woodlands. Naprawdę bardzo hojny.

– Woodlands? – pytam Marca, unosząc z ciekawością jedną brew.

– To fundacja Petera – mówi Marc takim tonem, jakby chciał skończyć tę rozmowę tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Wspiera farmerów, którzy dostarczają mi drewno – wyjaśnia Peter. – Dzięki temu dostają dobre wynagrodzenie i tak dalej.

– To wygląda na dobry cel – mówię.

– To jest dobry cel – mówi Marc. – Właśnie dlatego, ilekroć tu przychodzę, zawsze odbywamy z Peterem taką samą rozmowę.

– Marc zawsze stawia na swoim – mówi Peter, mrużąc oko. – Ale on nie wie, że wszystko, co mi płaci, idzie zaraz na konto fundacji.

– W takim razie muszę ci zapłacić podwójnie – mówi z uśmiechem Marc.

Peter uderza się dłonią w czoło.

– Dobrze już, dobrze. Wygrałeś, jak zwykle. – Bierze kilka banknotów, które podaje mu Marc i przysuwa sherry. – Jak się ma Denise?

– Dobrze. Podoba jej się w college'u.

– Ale?

– Nic. – Marc upija łyczek sherry. – Kobieta w jej wieku, z jej doświadczeniami, może wybrać sobie taki styl życia, jaki jej odpowiada.

– A myślisz, że taki jej odpowiada? Samotny?

– Tak mi powiedziała.

– I ty jej wierzysz?

– To, co ja myślę, jest bez znaczenia. Denise ma prawo sama o sobie decydować.

– Cóż, ja myślę, że Denise to wspaniała kobieta i że to zbrodnia, że nie wyszła drugi raz za mąż.

– Nigdy nie wspominała, że chciałaby jeszcze kogoś sobie znaleźć.

– Tobie nie, bo jesteś dla niej jak syn, którego nigdy nie miała – mówi Peter, poruszając białymi brwiami. – Rodzice nie zwierzają się dzieciom z takich rzeczy. Chciałbyś, żebym się zabawił w swatkę? Valerie ma znajomego, który kilka lat temu stracił żonę. Przemiły facet. Gra na skrzypcach. Lubi teatr. Co byś powiedział na to, żebyśmy ich ze sobą poznali?

– Powiedziałbym, że wtrącamy się w życie Denise – odpowiada Marc.

– Szkoda. – Peter dopija swoją sherry. – Ja od czasu do czasu lubię się trochę powtrącać. – Uśmiecha się łobuzersko do Marca.

– Denise znajdzie sobie kogoś, kiedy będzie gotowa – mówi Marc. – Na razie wydaje się zupełnie szczęśliwa tak, jak jest. A jeśli nie szczęśliwa, to zadowolona. – Marc też dopija sherry i ja wychylam ostatni łyk ze swojego kieliszka.

– Dobrze być zadowolonym – mówi Peter.

Marc stawia pusty kieliszek przy kasie i podaje rękę Peterowi.

– Miło było znowu się spotkać. Niedługo wpadnę.

– Dla mnie to zawsze przyjemność – odpowiada Peter, potrząsając dłonią Marca.

– Wesołych świąt.

Peter patrzy na niego, osłupiały.

– Wesołych świąt? Co ty z nim zrobiłaś, Sophio? Zwykle udawał, że święta nie istnieją. Robił wszystko, żeby ich jakoś uniknąć.

– Nic o tym nie wiem. – Rzucam Marcowi łobuzerski uśmiech.

– Ciągle jest mnóstwo rzeczy, których o mnie nie wiesz, Sophio Rose.

Rozdział 25

Wychodzimy ze sklepu. Marc trzyma prezent dla Sammy'ego jedną ręką, a drugą zamyka drzwi. Zaczynam się trząść w podmuchach zimnego wiatru, więc Marc obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

– Czy ty nie czujesz zimna? – szepczę, grzejąc się o jego ciepłą pierś.

– Czasami.

– Dlaczego nigdy nie nosisz płaszcza?

– Bo lubię dotyk zimnego powietrza.

– Dlaczego? – Pocieram palce, żeby je trochę rozgrzać.

– Bo zostało mi odebrane. Zimno. W dzieciństwie. Musiałem mieszkać w Los Angeles, w palącym słońcu i co roku tęskniłem za zimnem i śniegiem Anglii. Więc teraz chcę czuć zimno. Całym sobą. Tyle, ile się da.

– To musiało być dla ciebie okropne – mówię, kiedy wracamy na główny plac. – Zostawić za sobą całe swoje życie. Byłeś taki mały.

Marc wzrusza ramionami.

– Kiedy jesteś dzieckiem, akceptujesz to, co się dzieje, bo wydaje ci się, że to normalne. Ale przeżywałem to długo. Bardzo długo. Nie byłem taki jak ty, nie opiekowałem się wszystkimi.

– Och, no nie wiem. – Uśmiecham się. – Przecież opiekowałeś się siostrą. I Denise. Chyba jednak nie jesteś takim groźnym, złym wilkiem.

– Nie, dokładnie tym jestem – groźnym, złym wilkiem. I jeśli nie będziesz ostrożna, Sophio Rose, mogę cię ugryźć.

– Nie boję się ciebie – mówię, patrząc mu w oczy i lekko się uśmiechając.

– Może powinnaś.

– Och? A to dlaczego?

– Bo w głębi mojego serca nadal czai się obsesja kontroli. Mimo że uczę się odpuszczać. W trudnych chwilach nadal próbuję sobie radzić, przejmując nad wszystkim kontrolę. Tam, gdzie chodzi o twoje bezpieczeństwo, trudno mi odpuszczać.

Przechodzimy przez plac.

– Marc? Naprawdę chciałabym, żebyś mi powiedział, co się dzieje. Po co ta cała dodatkowa ochrona i dlaczego nie mogę być teraz u ciebie w domu.

– Na razie nie ma nic do powiedzenia. I może nigdy nie będzie.

– A Getty nadal jest w areszcie?

– Tak. I z pewnością zostanie tam przez jakiś czas.

Zeszliśmy już z placu i teraz idziemy ruchliwą ulicą. Skręcamy po chwili w boczną uliczkę, na tłoczny targ pod gołym niebem. Powietrze pachnie tu świeżym pieczywem, kawą i bożonarodzeniowym puddingiem.

– Na pewno się nie zgubiliśmy, panie Blackwell? – pytam z uśmiechem. – To targ z jedzeniem.

– Zgadza się. Mówią, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek. Cóż. Pomyślałem, że mógłbym trochę przekonać do siebie twojego ojca, wypełniając wasz dom jedzeniem. Wiem, oczywiście, że uwielbiasz gotować. Więc może chciałabyś wybrać coś na świąteczny obiad.

Wtulam się w jego marynarkę.

– Jest pan bardzo inteligentnym człowiekiem, panie Blackwell. Nie myślał pan czasem o tym, żeby zostać nauczycielem?

– Przyszło mi to do głowy. – Marc prowadzi mnie między ładnymi drewnianymi stoiskami z daszkami w kolorowe paski. Zatrzymujemy się przed rzeźnikiem – na ladzie piętrzą się wielkie, karmione kukurydzą indyki, kawałki dojrzewającej wołowiny i różowe szynki.

– Wybrałaś już mięso?

– Jest indyk, którego wyjęłam z zamrażarki taty – mówię. – Kupiłam go w promocyjnej cenie kilka miesięcy temu. Chciałam go przyrządzić, ale… to mięso tutaj wygląda wspaniale.

Marc wskazuje szyld nad stoiskiem.

– Nie zapomniałem incydentu z foie gras. Humanitarna hodowla. Tymi zwierzętami dobrze się opiekowano.

Uśmiecham się, spoglądając na znak na szyldzie.

– Pamiętałeś.

– Jak mógłbym zapomnieć? Nie chciałbym kupić ci mięsa na pieczeń, które wylądowałoby w koszu na śmieci.

Śmieję się.

– Wybierz, co chcesz – mówi Marc.

Mrugam na widok tych wszystkich pięknych ptaków i mięsa na pieczeń.

– Jejku. Nigdy nie widziałam tak fantastycznego mięsa. Te ptaki… są naprawdę wielkie. Chyba żaden nie zmieściłby się w naszym piekarniku. Ale… – wskazuję wielkiego indyka, który według standardów tego sprzedawcy jest zaledwie „średni” – tego chyba mogłabym upchnąć. Założę się, że też będzie pyszny.

Marc pokazuje sprzedawcy wybranego przeze mnie ptaka.

– Proszę zapakować tego. Dziękuję.

Podaje sprzedawcy kilka banknotów i wkłada indyka, zapakowanego w biały papier i związanego sznurkiem, pod pachę.

– Co lubi jeść twój tata? – pyta Marc.

– Wszystko, czego nie powinien. I słodycze – uwielbia desery.

– Więc kupimy mu pudding bożonarodzeniowy. Tu są naprawdę dobre.

– Świetny pomysł.

Rozdział 26

Kupujemy tacie wielki pudding z brandy, porterem i syropem z trzciny cukrowej. Jest owinięty w muślin i prawie tak duży jak Sammy.

Marc zamawia też pudło ekologicznych warzyw, które ma być dzisiaj dostarczone do domu taty i cały koszyk ciastek, serów, czekoladek i szampana.

– Peter mówił, że nie lubisz Bożego Narodzenia – mówię, patrząc na niego trochę wyzywająco. – Skąd taka zmiana?

– Przez ciebie. Postaram się pokochać wszystko to co ty.

– Och, naprawdę?

– Naprawdę. Więc co jeszcze pani kocha, panno Rose?

– Czy to nie oczywiste? – pytam, patrząc prosto w jego błękitne oczy. W zimnym świetle tego dnia są bardzo jasne i przejrzyste.

Marc przez chwilę patrzy mi w oczy i odsuwa mi włosy w twarzy.

Nagle dostrzegam coś ponad jego ramieniem.

– Jemioła. – Ciągnę go w stronę kiosku pełnego pięknych, srebrzystozielonych roślin.

– Lubisz jemiołę? – Marc się uśmiecha. – Mogłem się tego domyślić.

– Uważam, że to jedna z najpiękniejszych roślin, jakie istnieją – mówię. – I taka romantyczna.

– Zakładam, że całowałaś się już pod jemiołą? – pyta Marc, unosząc jedną brew.

– Raz czy dwa – odpowiadam i czuję, że się rumienię.

Marc pochyla się, żeby pocałować mnie w usta, i na moment zimny targ znika, a wszystkim, co widzę i czuję, jest on. Kiedy się odsuwa, jestem zdezorientowana i powrót do rzeczywistości zabiera mi chwilę.

– Ale nie tak – dodaję bez tchu.

– Mam nadzieję.

Skręcam w palcach pasmo włosów.

– Więc postarasz się pokochać wszystko to, co ja kocham, tak?

– Zgadza się.

– A co z lubieniem? Polubisz wszystko to, co ja lubię?

– Może. A co masz na myśli?

– Leo Falkirka.

Uśmiech znika z twarzy Marca.

– Podobno cuda się zdarzają.

– Naprawdę chciałabym, żebyście się lubili.

Marc parska śmiechem.

– Będzie musiał bardzo wydorośleć, zanim to się stanie.

Zostawiamy zakupy w limuzynie i Marc zabiera mnie do Fornum & Mason – wielkiego i bardzo drogiego domu towarowego na Piccadilly.

Dom jest cały udekorowany szklanymi bombkami na liliowych wstążkach i pięknie pachnie – jabłkami, cytrynami i jakąś egzotyczną przyprawą.

– Pomyślałem, że tu dobrze byłoby kupić prezent dla Jen – mówi Marc. – I dla Genovevy. Jeśli to nadal jest na miejscu.

– Chcesz kupić prezent dla Jen? – mówię. – To bardzo miło z twojej strony. Jestem pewna, że byłaby zachwycona wszystkim z tego sklepu, nawet breloczkiem do kluczy. Genoveva też. Ale… wiesz, jaka teraz jest sytuacja. Nie chcę być małostkowa, nie dając mamie Sammy'ego prezentu, ale nie chcę też denerwować taty. Może kupmy jej coś, ale nie piszmy na prezencie, że to dla niej. W ten sposób, jeśli przyjdzie zobaczyć się z Sammym, będziemy coś dla niej mieli. A tata nie zauważy wcześniej prezentu i nie zrobi się znowu smutny.

– Jeśli uważasz, że tak będzie dobrze.

Nie mija nawet minuta, odkąd jesteśmy w sklepie, kiedy podchodzi do nas mężczyzna w czarnym garniturze.

– Pan Blackwell. Bardzo przepraszamy. Nie wiedzieliśmy, że odwiedzi nas pan dzisiaj. Bardzo mi przykro, że nikt nie wyszedł państwu na powitanie. Czy mogę jakoś pomóc w zakupach?

– Nie ma za co przepraszać – mówi Marc. – Nie planowałem tych zakupów. Ale tak, pomoc na pewno nam się przyda.

Mężczyzna kiwa głową i dyskretnie rusza za nami.

Zauważam, że niektórzy z kupujących gapią się na Marca, trącają łokciami i szepczą. To on?… Wygląda jak on, ale… Ta dziewczyna… W gazetach…

Spuszczam głowę i trzymam się blisko Marca.

– Ludzie na nas patrzą – mówię.

– Przyzwyczaisz się do tego – mówi Marc.

– Myślisz?

– Tak. I nie przejmuj się. Wszędzie dookoła są ochroniarze.

– Naprawdę? – Rozglądam się po sklepie, ale nie widzę nikogo z ludzi Marca.

– Są po cywilnemu. Chodzą za nami przez cały dzień.

– Och. – Myślę o pocałunku pod jemiołą i o tym, jak tuliłam się do Marca na zimnym wietrze. – To trochę krępujące.

– Krępujące?

– No, wiesz. Że nas obserwują. Kiedy jesteśmy razem.

– Sophio, jeśli chcesz odnieść sukces jako aktorka, musisz zaakceptować fakt, że twoje życie do pewnego stopnia także będzie obserwowane. Nie tylko przez ochroniarzy.

– Chyba lepiej, żebym do tego przywykła.

– Przywykniesz – zapewnia mnie Marc. – Prędzej niż myślisz. – Szerokim gestem obejmuje wnętrze sklepu. – Jak sądzisz, co by się spodobało Jen?

Podchodzę do wspaniałego serwisu do herbaty w stylu lat trzydziestych, w kolorze miętowej zieleni i zdobnego w złote kwiaty lilii.

– Tym byłaby zachwycona. – Podnoszę jedną z filiżanek do światła i widzę przez

cienką ściankę cień swoich palców. – To porcelana kostna.

Marc staje obok mnie.

– Zna się pani na porcelanie, panno Rose?

Uśmiecham się do niego.

– Nie bardzo. Ale moja babcia miała serwis z porcelany kostnej i nauczyła mnie, jak ją odróżniać od zwykłej porcelany.

– Ukryte talenty.

– Ty to powiedziałeś.

Marc daje znak sprzedawcy, który zabiera serwis, żeby go zapakować.

– To było łatwe – mówię. – Teraz Genoveva.

Dostrzegam stoisko z pięknymi szalami z szyfonu i podchodzę bliżej.

– Ona naprawdę lubi szale. Nosi je bez przerwy. – Wyłuskuję jeden w białe gołębie. – Gołębie to pokój, prawda? A tego wszyscy chcemy, jeśli chodzi o Genovevę.

Marc znowu daje znak sprzedawcy i szal także zostaje elegancko zapakowany.

– Czy jest jeszcze ktoś, dla kogo powinienem mieć prezent? – pyta Marc. – Jakieś zaginione kuzynki czy siostry?

– Nie. Teraz, kiedy moi dziadkowie umarli, jesteśmy małą rodziną. Będziemy tylko ty, ja, tata i Sammy. No i Jen, po południu. – Myślę o tym przez chwilę. – Dziwnie będzie bez Genovevy. Przynajmniej dla taty będzie to przykre. Zwłaszcza jeśli my będziemy jedli sobie z dzióbków.

– Tak byś nas opisała?

– A jak ty byś nas opisał?

Marc odwraca się do mnie i wpatruje się w moje oczy tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na całym świecie.

– Ja bym powiedział, że jesteśmy obsesyjnie, bez reszty zakochani w sobie – mówi, zniżając głos do tonu, od którego cała w środku topnieję.

Patrzę na niego, zatopiona w jego oczach i jego słowach. Marc sprawia, że czuję się tak, jak nigdy dotąd. Czasami mam wrażenie, że stałam się jego częścią, a on częścią mnie.

Jego ręce odnajdują moje; stoimy na środku domu towarowego, patrząc sobie w oczy. Marc ma rację. Zaczynam się przyzwyczajać do życia na widoku.

– Chodź. – Marc prowadzi mnie do lady, przy której czekają nasze prezenty. – Mam dla ciebie plany na popołudnie.

Kiedy wychodzimy ze sklepu, myślę o tacie, całkiem samym w tym roku, i o tym, jak bardzo będzie samotny, jeśli tylko my dwoje będziemy mu dotrzymywali towarzystwa. W tym roku pierwszy raz w życiu zaprosiłam do domu na święta chłopaka. Że też akurat w tym samym czasie tatę musiała zostawić żona.

– Marc – mówię, kiedy idziemy przez Piccadilly. – Wiesz, co wcześniej mówił Peter? O tym, że Denise jest teraz sama. Może chciałaby przyjechać do nas na święta? Tata nie będzie się czuł jak piąte koło u wozu, jeśli będzie jeszcze ktoś w jego wieku. No i miło mieć w święta dom pełen gości.

Marc marszczy brwi.

– Denise zwykle wyjeżdża gdzieś na święta. Ale mogę zapytać.

– Zrobiłbyś to? – waham się. – A twoja siostra? Co ona będzie robiła w święta? Może chciałaby do nas przyjechać? Bardzo chciałabym się z nią zobaczyć.

– Ciągle jest w szpitalu – mówi Marc.

– Och. – Patrzę przed siebie na szeroki, oblodzony chodnik. – Cieszę, że jest z nią lepiej, ale naprawdę przykro mi, że jej nie zobaczę. Co roku mniej jest nas w domu na Boże Narodzenie. Chciałabym, żeby twoja rodzina do nas przyjechała.

– Annabel robi postępy. Niedługo będzie mogła przyjmować gości.

– Świetnie. – Rozglądam się dookoła. – Więc… Dokąd mnie zabierasz?

– Poczekaj, to sama zobaczysz.

Rozdział 27

Resztę popołudnia spędzamy, jeżdżąc na łyżwach przy Marble Arch, pijąc szampana przy Park Lane i jedząc spaghetti w cichej włoskiej restauracyjce ukrytej w jednej z wąskich uliczek Covent Garden.

Kiedy Marc zostawia mnie w teatrze, bardzo nie chcę się z nim rozstawać nawet po to, żeby występować na scenie. Ale wiem, że muszę. Wiem też, że spędzę z nim cały pierwszy dzień świąt.

Rany. To będzie bardzo surrealistyczne doświadczenie. Ale bardzo miłe.

Podczas spektaklu dobrze się bawię, ale czas mi się dłuży i kiedy wreszcie docieramy do finału, mam nadzieję, że Marc czeka za kulisami. Ale nie ma go tam, więc czuję się trochę zdezorientowana.

Czy nie powiedział, że wieczorem w Wigilię pojedzie ze mną do taty? Czy źle go zrozumiałam?

Idę do garderoby i sprawdzam telefon, ale nie mam żadnych wiadomości. Jestem tak rozczarowana, że nie słyszę pukania do drzwi.

– Czy jest tu moja sceniczna partnerka?! – woła przez drzwi Leo.

– Już idę – mówię z roztargnieniem, wkładając dżinsy i sweter.

Otwieram drzwi. Leo opiera się łokciem o framugę, z lekko ugiętym kolanem.

– Świetnie nam dzisiaj poszło – mówi. – Marca nie ma?

– Myślałam, że przyjdzie – mówię. – Ale… nie wiem, gdzie jest.

– Przychodzę złożyć życzenia świąteczne – mówi Leo, podnosząc gałązkę jemioły. – Za godzinę wylatuję do Los Angeles. Niedługo wracam, ale nie mogłem odlecieć, nie życząc ci najpierw wesołych świąt. – Pochyla się i całuje mnie w policzek.

Jego wargi dotykają mojej skóry trochę dłużej niż to konieczne.

– Ja też życzę ci wesołych świąt – mówię. – I twojej rodzinie.

– Ja twojej też. Hej, Sophio?

– Tak?

– Baw się dobrze.

Ochroniarz odprowadza mnie do drzwi na tyłach teatru, pod którymi czeka limuzyna. Znowu ogarnia mnie rozczarowanie, bo w środku nie ma Marca.

– Hej, Keith – mówię, siadając na miejscu obok kierowcy. – Jak się masz?

– Dobrze – odpowiada Keith. – Już nie mogę się doczekać Bożego Narodzenia. Uch, Sophio, chyba wolałabyś usiąść dzisiaj z tyłu.

– Dlaczego? Lubię z tobą rozmawiać w czasie jazdy.

– Po prostu… zajrzyj najpierw do tyłu.

– No… dobrze – mówię i wysiadam z samochodu. – O co tu chodzi?

Keith nie odpowiada.

Podchodzę do drzwiczek z mocno bijącym sercem. Lubię niespodzianki, ale tam, gdzie w grę wchodzi Marc Blackwell, naprawdę nie mam pojęcia, czego się mogę spodziewać.

Otwierając drzwiczki, próbuję się przygotować i zamykam oczy. A kiedy je otwieram, długo wypuszczam powietrze, mówiąc przy tym:

– Oooo…

Cały tył limuzyny jest pełny jemioły. Gałązki zwisają ze wszystkich kątów – w kolorze pięknej, jakby oszronionej zieleni, z białymi krągłymi jagodami, które połyskują w świetle księżyca.

A pod całą tą jemiołą czeka mnie najpiękniejszy prezent ze wszystkich.

Marc.

Wskakuję do samochodu i rzucam mu się w ramiona.

– Myślałam, że nie przyjedziesz – mówię. – Nie było cię za kulisami.

– Bardzo chciałem zdążyć – mówi Marc. – Ale miałem kilka niespodzianek do przygotowania w ostatniej chwili. Na jutro. Dopiero co przyjechaliśmy.

– Więcej niespodzianek…

– Spodobają ci się. Obiecuję.

Rozdział 28

Jedziemy do taty objęci ramionami. Ale kiedy dojeżdżamy do mojej rodzinnej wioski, Marc staje się nagle czujny, obejmuje mnie mocniej i przesuwa wzrokiem po ulicach.

Kiedy dojeżdżamy do domu taty, Marc nie pozwala mi wysiąść z samochodu, dopóki nie sprawdzi okolicy. W końcu mogę wysiąść, ale Marc nalega, żebym trzymała się blisko niego przez całą drogę do drzwi frontowych.

– Czy powinnam się denerwować? – pytam szeptem, pukając lekko do drzwi.

– Nie, to ja powinienem się denerwować. I zachowywać czujność.

Tata otwiera drzwi i nie do końca potrafi ukryć dyskomfort na widok Marca. Ale zaprasza nas gościnnie do środka i proponuje Marcowi drinka.

W domu nadal jest dość czysto. Domyślam się, że Sammy musi mocno spać na górze, bo go nie słychać.

– Z Sammym wszystko w porządku? – pytam.

– W jak najlepszym – mówi tata i mocniej zawiązuje pasek szlafroka. – Zjadł wszystko, co mu zostawiłaś, i wcześnie zasnął.

Podchodzę do kominka.

– Nie ma marchewki dla Rudolfa? – pytam, spoglądając na pustą kratę.

– Nie zrobiłem tego wszystkiego w tym roku – mówi tata ze znużeniem. – Sammy jest jeszcze trochę za mały, a ja już trochę za stary.

– Szkoda.

– No, zostawię was teraz, rozgośćcie się. Do zobaczenia rano. – Tata idzie ciężko na górę.

– Idziesz już spać?

– Ostatnio lubię się wcześnie kłaść.

– W porządku. Śpij dobrze. – Przynajmniej dzisiaj nie kładzie się do łóżka w ubraniu.

– No… – Odwracam się do Marca, trochę oszołomiona jego obecnością w naszym małym domku, który zupełnie nie przypomina jego londyńskiej rezydencji. Nie ma tu łazienek przy każdym pokoju. Nie ma służby. – Jesteśmy. To mój dom.

– Cieszę się, że mogę poznać tę część twojego życia – mówi cicho Marc. – Chodźmy na górę. Musisz się przespać.

– Dobrze. – Biorę go za rękę. – A ty? Nie pójdziesz spać?

– Chciałbym posiedzieć tu sobie jeszcze przez jakiś czas. Na straży. Jesteśmy tu oboje, więc… chcę, żeby było tu naprawdę bezpiecznie.

– Marc, zaczynam się denerwować.

– Niepotrzebnie. – Marc całuje mnie w czoło. – Staram się po prostu zachować szczególną ostrożność.

Wchodzimy razem po schodach. Pokazuję Marcowi nasz pokój gościnny – powinien

być dla dwóch osób, ale jest naprawdę mały, więc z trudem pomieścilibyśmy się razem na tym łóżku. W kącie stoi toaletka i fotelik.

Tata położył nasze bagaże przy toaletce. Obok swoich rzeczy dostrzegam czarną torbę, której nigdy nie widziałam, więc domyślam się, że należy do Marca.

– Mogę siedzieć w tym fotelu – mówi Marc. – Gdybym się położył obok ciebie… powiedzmy, że coś mogłoby mnie rozproszyć.

Przysiadam na łóżku.

– Naprawdę wolisz spędzić noc na siedząco, zamiast położyć się ze mną do łóżka?

– Tak. Muszę być czujny.

– Boże, Marc, teraz naprawdę się boję. – Zerkam w ciemne niebo za oknem. – Sammy jest w pokoju obok. Czy tu na pewno jest bezpiecznie?

– Tak – mówi Marc. – Ja nie ryzykuję. Połóż się, Sophio. Odpocznij trochę. Chcę, żebyś się jutro dobrze bawiła.

– No, dobrze – mówię i zdejmuję buty. Ale w głębi ducha jestem niespokojna. Wiem, że Marc nie zrobiłby nigdy niczego, co mogłoby narazić Sammy’ego na niebezpieczeństwo. Ale dlaczego nie chce mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Po świętach. Tak powiedział. Po prostu ciesz się Bożym Narodzeniem. I pamiętaj, że Marcowi chodzi o twoje dobro.

Rozdział 29

Kiedy budzę się następnego ranka, Marc siedzi, wyprostowany jak struna, w fotelu naprzeciwko.

Uśmiecha się, kiedy otwieram oczy.

– Wesołych świąt, Sophio.

Wokół wszystko jest dziwnie ciche i nieruchome, jak zawsze w bożonarodzeniowy poranek. Cały świat jakby wstrzymał oddech, w powietrzu unosi się coś magicznego.

– Wesołych świąt, Marc. – Pocieram oczy i siadam. – Spałeś?

– Trochę. Ty spałaś. Mocno. Uwielbiam patrzeć, jak śpisz.

Wychodzę z łóżka i siadam mu na kolanach, o on obejmuje mnie ramionami. To, że tu jest, to dla mnie najlepszy świąteczny prezent.

– Siedziałeś na tym fotelu całą noc?

– Tak.

Całuję go w usta.

– Tak się cieszę, że tu jesteś – szepczę. – Ale to trochę dziwne. Obudzić się w tym domu i zobaczyć w nim ciebie.

– Dziwne, ale miłe?

– Bardzo miłe. – Przeciągam się, wstaję i ciągnę Marca za sobą. – Chodź, umyjemy się, a potem zrobię śniadanie.

– Nie chcesz otworzyć swojego prezentu? – pyta Marc, podchodząc do czarnej torby w kącie pokoju.

– Och, nie, panie Blackwell. – Grożę mu palcem. – W naszej rodzinie nie otwieramy prezentów przed świątecznym obiadem. Dzięki temu ten dzień wydaje się trochę dłuższy.

Marc się uśmiecha.

– Dobrze wiedzieć, że stać cię na taką cierpliwość.

– Jest wiele rzeczy, których pan jeszcze o mnie nie wie, panie Blackwell – mówię, powtarzając jego słowa z poprzedniego dnia.

– I nie mogę się już doczekać, kiedy się ich dowiem. Cóż. Jeśli muszę czekać aż do końca obiadu, żeby dać ci prezent, to dobrze się składa, że mam jeszcze kilka innych niespodzianek. Chodźmy na dół. Jedna z nich czeka tam na ciebie.

Tata i Sammy jeszcze śpią, więc cicho schodzę na dół, ciągnąc za sobą Marca.

– Nie tak szybko, Sophio – mówi Marc. – Bo spadniesz ze schodów.

– Jestem za bardzo podekscytowana, żeby iść wolniej – odpowiadam szeptem.

– Niespodzianka jest w salonie – mówi Marc, ściskając moją rękę.

Wciągam więc Marca do salonu i staję jak wryta.

– Och, Marc.

W rogu pokoju stoi wspaniała jodła o gęstych, pierzastych gałęziach. Wygląda tak, jakby przyjechała do nas prosto z norweskiego lasu. Jest udekorowana drewnianymi, ręcznie malowanymi listkami ostrokrzewu i delikatnymi bombkami ze świątecznymi scenkami w stylu lat pięćdziesiątych.

– Jak to zrobiłeś? – pytam bez tchu, podchodząc do choinki i dotykając grubych gałęzi drzewa.

– Kiedy byłaś w teatrze. Dlatego się spóźniłem. Ochroniarze pomagali mi ją ubrać.

Parskam śmiechem na myśl o Marcu i jego ochroniarzach, którzy skradali się w ciemności wokół choinki i zawieszali na niej dekoracje.

– Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś to wszystko – mówię, nie odrywając wzroku od drzewka.

– Podoba ci się? – pyta Marc.

– Bardzo. Sammy też będzie zachwycony.

Jak na zawołanie, na górze rozlega się krótki, zduszony krzyk.

Uśmiecham się do Marca.

– Pójdę po Sammy’ego. I obudzę tatę. A potem zrobię dla nas wszystkich śniadanie.

Rozdział 30

Na świąteczne śniadanie przygotowuję naleśniki z owocami miechunki i płonącym sosem na bazie brandy. Podaję je z bitą śmietaną i świeżo parzoną kawą.

Tata jest równie zaskoczony choinką jak ja i widzę, że w głębi ducha bardzo się cieszy, bo tak jak ja kocha Boże Narodzenie.

Przy śniadaniu jest trochę skrępowany obecnością Marca, ale udaje im się nawiązać rozmowę o drogach w naszej okolicy i samochodach, które obaj uwielbiają. Tata nie jest wprawdzie szczególnie rozmowny, ale Marc robi, co może.

Po śniadaniu tata wstaje od stołu.

– Muszę was oboje bardzo przeprosić.

– Tak? – Prostuję się, myśląc, że może tata zmienił zdanie co do naszych planów małżeńskich.

Tata chrząka.

– Tak. Może się zastanawiacie, dlaczego nie zniosłem na dół żadnych prezentów. Cóż, głupio mi się do tego przyznać, ale w tym roku nie dałem rady zrobić zakupów przed świętami. Tak się zatraciłem w swoim smutku, że zapomniałem o innych ludziach. Ale to się zmieni. Od teraz. Mam zamiar nie rozmyślać dłużej o swoim bólu i zacząć myśleć znowu o innych. Mam tylko nadzieję, że wy dwoje wybaczycie mi, że byłem taki bezmyślny.

– Nie ma sprawy, tato – mówię. – Wiemy, że wiele przeszedłeś w ciągu ubiegłego tygodnia. To był trudny czas. Nie spodziewałam się prezentu. I jestem pewna, że Marc też.

– Oczywiście – mówi Marc.

– Jesteście bardzo wyrozumiali – mówi tata, siadając.

Zapada krępująca cisza.

– Tato – mówię po chwili. – Myślałeś może jeszcze o tym, że chcemy się pobrać? Czy nadal… nadal czujesz w związku z tym to samo?

Tata zerka na Marca, a potem wbija wzrok w stół.

– Ciągle potrzebuję czasu, żeby pomyśleć – mówi. – Ale cieszę się, że Marc jest tu z nami. To dobra okazja dla mnie, żeby go lepiej poznać. I kto wie, może do końca świąt będę mógł poprzeć wasze plany.

– To byłoby cudowne. – Wstępuje we mnie nadzieja. – A teraz posprzątam to wszystko.

Pozwalamy Sammy’emu otworzyć jeden prezent po śniadaniu. To kolejna zasada w naszej rodzinie – dzieci mogą otworzyć po śniadaniu jeden prezent, a potem muszą czekać do obiadu, tak jak dorośli.

Sammy pewnie nie rozumie jeszcze, że to szczególny dzień, ale wybiera zabawkę

Marca i uśmiecha się szeroko, kiedy pomagamy mu zdjąć papier i wyjąć z paczki ciężarówkę.

– Bardzo ładny prezent – mówi tata, przyklękając obok Sammy'ego, żeby pomóc mu zdjąć drewniane kłody, które toczą się po dywanie. – Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mówi Marc.

Po śniadaniu idziemy na nasz tradycyjny świąteczny spacer po lesie. Marc pcha wózek z Sammym po wyboistej drodze, a Sammy krzyczy z radości. Później wracamy do domu, a ja zabieram się do świątecznego obiadu. Włożyłam indyka do piekarnika przed wyjściem, więc tylko obracam go, doprawiam jeszcze trochę i kroję jarzyny.

Tata bawi się z Sammym w salonie, a Marc, ku mojemu zdumieniu, przychodzi do mnie, do kuchni.

– Zaplanowałem przystawkę – mówi, otwierając lodówkę. W środku jest jakaś biała paczka, której nie rozpoznaję.

– Skąd to się tu wzięło? – pytam, kiedy Marc wyjmuje ją i rozcina sznurek.

– Przysłali wczoraj. Rodney kupił je na targu przy London Bridge.

Papier opada, ukazując osiem tłustych czerwonych homarów.

– Rany – mówię. – Wyglądają fantastycznie.

Marc odrzuca włosy z czoła i podchodzi do stojaka z nożami. Bez wysiłku ostrzy nóż na stali, a ja patrzę na niego, zaskoczona.

– Sprawia pan wrażenie dobrze zaznajomionego z kuchnią, panie Blackwell. Myślałam, że nie umie pan gotować.

Marc rzuca mi uroczo łobuzerski uśmiech.

– Nie przypominam sobie, żebym mówił, że nie umiem gotować.

– Ale czy Rodney nie gotuje dla ciebie wszystkiego?

– Owszem. Prawie. Mam dość rozumu, żeby się odsunąć i pozwolić, żeby mistrz robił swoje. Tak samo jak wtedy, kiedy ty jesteś w kuchni.

– Więc umiesz gotować?

– Tak daleko bym się posunął. Ale potrafię przygotować kilka dań. Homar to jedno z nich. I umiem ostrzyć noże.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

– Przez jakiś czas zabawiałem się pomysłem, żeby otworzyć restaurację w LA, więc pomyślałem, że jeśli mam to zrobić, powinienem nauczyć się wszystkiego, co jest potrzebne, żeby prowadzić taki interes.

– Perfekcjonista w każdej dziedzinie – mówię z uśmiechem.

– Zawsze robię wszystko na sto procent – mówi Marc, patrząc mi w oczy w taki sposób, że przeszywa mnie dreszcz.

– Czy ja też jestem jednym z pana projektów, panie Blackwell? – pytam. – Czymś, w co angażuje się pan na sto procent?

– Nie nazwałbym cię projektem.

– Och? Więc jak?

– Moją bratnią duszą. Jedyną kobietą na świecie, która potrafi przełamać moje bariery.

– Chyba nie przełamałam wszystkich twoich barier – mówię. – W każdym razie jeszcze nie. Ale pracuję nad tym. Zwłaszcza nad tą, która dotyczy zaufania.

– Zaufania?

– Leo Falkirk.

– Ufam tobie – mówi Marc. – To do niego nie mam zaufania.

– Mam nadzieję, że to się zmieni. Więc… powiedz mi coś więcej o tym, jak uczyłeś się gotować.

Marc uśmiecha się lekko.

– Nie umiem gotować. Ale nauczyłem się wszystkiego, co mogłem, o profesjonalnych kuchniach. Wyposażeniu. Jakości produktów. Jak najlepsi kucharze przygotowują owoce morza i mięso.

– Nauczyłeś się przyrządzać homara, tylko patrząc, jak robi to jakiś kucharz?

– Nie jeden. Wielu kucharzy.

– To robi wrażenie. – Patrzę, jak odrywa ogon homara od reszty jego ciała. – Szybko się pan uczy, panie Blackwell. Ja nie byłabym w stanie nauczyć się niczego, tylko patrząc, jak robią to inni.

– Och, nie wydaje mi się. Dość szybko się uczysz.

– Cóż, dziękuję.

Patrzę, jak Marc obraca homara w swoich silnych palcach, wydobywając spod skorupy białe mięso.

– Czy nie jest najlepiej kupować homary jeszcze żywe? – pytam. – I nieugotowane?

– Kupiłem te już gotowane – mówi Marc. – Pomyślałem, że nie byłabyś zachwycona, gdybym gotował żywe istoty na twoich oczach.

– Masz rację.

Patrzę, zafascynowana, jak Marc oddziela od homarów ogony, zdejmuje skorupy, a potem profesjonalnie rozcina mięso i wyrzuca zielone i czarne części.

– Jesteś w tym bardzo dobry – mówię.

Marc się śmieje.

– Zaczekaj, aż spróbujesz, zanim to ocenisz.

Podczas gdy Marc zajmuje się homarami, a ja przygotowuję jarzyny, nagle ktoś puka do drzwi.

Marc podnosi głowę.

– Niespodzianka numer dwa.

Uśmiecham się do niego szeroko, otrzepując dłonie ściereczką.

– Kto to?

– Idź i sama zobacz.

Rozdział 31

Otwieram drzwi i uśmiecham się jeszcze szerzej.

– O mój Boże. – Zasłaniam usta ręką i patrzę z radością na gości stojących na progu. – Nie mogę w to uwierzyć! Cudownie, że jesteście!

Przed domem stoją Denise i Annabel.

– Wesołych świąt, Sophio – mówi Annabel, uśmiechając się nieśmiało. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu, że przyjechałyśmy.

– Przeciw? Myślałam, że macie inne plany. Marc mówił… coś o szpitalu, że musisz tam jeszcze zostać. Tak się cieszę, że cię widzę! I Denise… Marc mówił, że przekaże ci moje zaproszenie, ale nie wspomniał, że się zgodziłaś. To wspaniale! No, wejdźcie do środka, proszę.

Chwytam je obie za ręce i wciągam do salonu.

– To mój tata. A to – Sammy.

Tata podnosi głowę i uśmiecha się ciepło na widok kolejnych dwóch osób w domu. Jest taki sam jak ja – lubi, żeby w święta dom był pełny.

Denise i Annabel witają się i podają mu ręce, a Sammy podpełza bliżej, żeby przyjrzeć się nowym gościom.

– Znacie już, oczywiście, Marca – mówię, uśmiechając się, kiedy Marc przychodzi z kuchni i całuje je w policzki.

– Siadajcie – zwracam się do Denise i Annabel. – I czujcie jak u siebie. – Teraz po prostu nie mogę przestać się uśmiechać. – Tak miło mieć was obie tutaj.

Denise ma na sobie migotliwą czarną sukienkę z dekoltem w serek, która pięknie podkreśla jej kobiecą figurę. Pachnie egzotycznymi perfumami, a jej makijaż też lekko migoce.

Annabel ciągle jest trochę za szczupła i ma na sobie po prostu golf i dżinsy. Ale wygląda dużo lepiej niż wtedy, kiedy widziałam ją ostatnio. Dużo zdrowiej. Jej oczy nie są już tak smutne i jest w nich więcej życia.

Cudownie jest mieć tylu gości na święta. Nie mieliśmy tylu od dawna. Odkąd zmarli moi dziadkowie i mama.

– Tak się cieszę, że tu jesteście – powtarzam. – Zaraz dam wam coś do picia.

– Wyglądasz na szczęśliwą – mówi Marc, kiedy wracam do kuchni i zaczynam się krzątać przy lodówce.

– Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa. – Zatrzymuję się, obejmuję go i wtulam twarz w jego pierś. – Jest jak wtedy, kiedy byłam mała. W czasie świąt dom był wtedy ciepły i pełen ludzi. Mama byłaby zachwycona, gdyby mogła tu dzisiaj być. I bardzo chciałaby

cię poznać.

Marc obejmuje mnie ramionami.

– Zwykle nie wspominasz o mamie.

– Nie? A wydawało mi się, że mówię o niej cały czas. Zawsze o niej myślę. Zwłaszcza w czasie Bożego Narodzenia.

– Nie. – Czuję, że Marc kręci głową. – Rzadko o niej wspominasz. Ale rozumiem to. Kiedy tracisz kogoś z rodziców, uczysz się ukrywać swoje uczucia. Większość ludzie nie rozumie, jak to jest, stracić tę część siebie samego.

– Dobrze to określiłeś – mówię. – Czy ty też się tak czujesz?

– Tak.

Obejmuję go mocniej.

– Ale teraz mam ciebie – mówi Marc. – Więc niczego mi już nie brakuje.

Rozdział 32

Zwykle w Boże Narodzenie pijemy piwo, czasami też butelkę taniego porto. Więc dziwnie jest, krzątając się w kuchni natknąć się na drogą sherry i butelki szampana. Ale ponieważ podejmujemy tak miłych gości, postanawiam otworzyć butelkę Dom Perignon.

Nie mamy kieliszków do szampana, więc podaję go w kieliszkach do czerwonego wina, które należały kiedyś do moich dziadków.

– Drinki! – wołam, wchodząc do salonu.

Tata siedzi na kanapie, obok Denise.

– Wspaniale. – Denise bierze kieliszek i poklepuje mnie po ramieniu. – O to chodziło.

Annabel patrzy na kieliszek z rezerwą.

– Sophio… Bardzo cię przepraszam. Ale nie mogę pić. To część mojego programu rehabilitacyjnego.

Spoglądam na szampana.

– O Boże. Ależ głupio z mojej strony. Nie masz za co przepraszać, Annabel. Nie wiem, o czym myślałam.

– Annabel, mamy też świeży sok pomarańczowy, może tego się napijesz? – pyta tata. – Albo herbaty?

– W takim razie herbaty, dziękuję.

– Zaraz zaparzę. – Teraz, kiedy przyjechali goście, tata zdecydowanie poweselał. I zachowuje się prawie normalnie. Może do końca tego dnia wróci mu rozsądek i jednak da Marcowi i mnie swoje błogosławieństwo.

Tata wstaje z kanapy, a ja zajmuję jego miejsce.

– Tak się cieszę, że Marc was zaprosił – mówię do Denise i Annabel. – To najlepszy prezent, jaki mogłam dostać na Boże Narodzenie, zobaczyć was obie na progu.

Denise się uśmiecha.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę. Nie mogę wprost opisać, jaka byłam zaskoczona, kiedy Marc przekazał mi twoje zaproszenie. Zwykle zachowywał się tak, jakby święta nie istniały. Już dawno dałam za wygraną i przestałam namawiać go, żeby zajął się jeszcze czymś poza pracą. Co ty z nim zrobiłaś, Sophio?

– Chętnie przypisałabym sobie zasługę – mówię – ale naprawdę w ogóle nic nie zrobiłam.

– Myślę, że to musi być twój wpływ – mówi Annabel ze znaczącym uśmiechem. – Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby mój brat tak za kimś szalał. Zanim się pojawiłaś, myślałam, że Marc nigdy się nie ustatkuje. Nigdy.

Denise kiwa głową.

– Kto by pomyślał, że komukolwiek uda się przebić przez ten mur, którym się otoczył?

– Kto by pomyślał? – wtóruje jej Annabel. – A jednak Sophii się to udało.

Tata podchodzi z filiżanką herbaty dla Annabel, więc zsuwam się na podłogę, żeby zrobić mu miejsce.

– Najpierw wiek, potem uroda – mówię, a tata z rozbawieniem mierzwi mi włosy.

– Jak było w szpitalu? – pytam Annabel, dostrzegając plastikową bransoletkę wokół jej wąskiego nadgarstka.

– Na początku to piekło – mówi Annabel, a wokół jej oczu pojawiają się zmarszczki, kiedy próbuje się uśmiechnąć. – Ale wiesz, potem jest lepiej. Codziennie trochę lepiej. Potrzebuję tego. Wiem o tym. Więc mogę to znosić jeszcze przez jakiś czas. Mam dobrą motywację.

– Są jakieś wieści co do twojego synka? – pytam. – I prawa do opieki nad nim?

– Szanse są. Ktoś zajmuje się tą sprawą. Jeśli tym razem uda mi się wytrwać na detoksie i utrzymać z daleka od starych znajomych… jeśli mi się uda, może Danny znowu będzie mógł ze mną zamieszkać.

Rozdział 33

Kiedy nakrywam do świątecznego stołu, czuję, że Marc staje za mną i obejmuje mnie w pasie rękami.

– Pozwól, że ci pomogę – mówi.

– Uczyłeś się też od najlepszych kelnerów? – pytam, kładąc nóż między papierową serwetkę a świątecznego crackera[1]. Nasz stół jest dość mały, ale miło siedzieć przy nim w ścisku. Przypomina mi to czasy, kiedy żyła mama i przy świątecznym obiedzie wszyscy trącaliśmy się łokciami i śmiali do rozpuku.

– Nie – mówi Marc. – Właściwie przydałoby mi się kilka wskazówek.

Oboje stajemy bez ruchu i kiedy Marc mocniej ściska moją talię, wzdycham bezwiednie.

– Podobała ci się niespodzianka? – pyta Marc.

Odwracam się do niego ze sztućcami w ręce, czując, jak jego chłodne palce przesuwają się po mojej talii.

– Wiesz, że tak. Bardzo. Denise była chyba zaskoczona tym zaproszeniem. Powiedziała mi, że zazwyczaj nie przejmujesz się świętami.

– To prawda. Muszę mieć naprawdę dobry powód, żeby obchodzić Boże Narodzenie. – Podnosi rękę i wsuwa palce w moje włosy, patrząc na przesypujące się między nimi pasma.

– I w tym roku znalazłeś dobry powód? – pytam.

– Najlepszy.

Czuję szarpnięcie za kostkę u nogi i spoglądam w dół – to Sammy próbuje wspiąć się na moją nogę.

– Sammy! – rzucam sztućce i pochylam się, żeby go podnieść. Sammy próbuje teraz złapać leżące na stole sztućce. – Chcesz mi pomóc nakrywać do stołu? – pytam.

– Zdaje się, że mam konkurencję – mówi Marc, uśmiechając się do Sammy'ego. – Zajmę się przystawkami.

Kiedy talerze z homarem stoją już na stole, nalewam szampana do różnych kubków, szklanek i kieliszków do czerwonego wina, których używaliśmy wcześniej, i wszyscy siadamy do stołu.

Homar jest oczywiście pyszny i zajadamy się nim, popijając szampanem, otwieramy crackery, wkładamy na głowy śmieszne papierowe kapelusze, śmiejemy się i trącamy łokciami – tak samo jak wiele lat temu, za życia mamy. Tylko że wtedy, oczywiście, nie jadaliśmy homarów i nie piliśmy szampana.

Co jakiś czas podchwytuję spojrzenie Marca i po prostu nie mogę w to wszystko

uwierzyć. W to, że Marc jest tutaj, ze mną i ze swoją siostrą. Że wydaje się taki odprężony i zadowolony, siedząc przy moim starym stole i popijając szampana z fajansowego kubka.

Po przystawce wyjmuję z piekarnika dużego, pięknego indyka, a Marc pomaga mi pokroić go na stole. Obok stawiam półmiski z pieczonymi ziemniakami, marchewką i pasternakiem, kalafiora z serem dla Sammy'ego i kiełbaski w boczku dla taty.

Jemy, śmiejemy się i rozmawiamy, a kiedy jesteśmy już najedzeni, przynoszę na deser pudding i zapalam sos. Śpiewamy kolędę, a potem jemy wielkie plastry puddingu z bitą śmietaną.

Pod koniec obiadu tata stuka nożem o swój kubek, chrząka i wstaje.

Zapada cisza.

– Dziękuję, dziękuję wam wszystkim – mówi tata, poprawiając papierowy kapelusz. – To był wspaniały dzień. Przede wszystkim chciałbym powitać wszystkich naszych gości…

Rozlega się pukanie do drzwi i wszyscy patrzymy w stronę holu.

– To na pewno Jen – mówię, wstając. – Ale chyba przyszła trochę wcześniej.

Podbiegam do drzwi i otwieram je z rozmachem.

– Wesołych świąt! – wołam. – Och! – Cofam się o krok.

Bo to jednak nie jest Jen.

Na progu stoi Genoveva.

Rozdział 34

Ma na sobie szal w kolorze limonki i spodnie w podobnym odcieniu, włosy, wysuszone suszarką, opadają, lśniące i puszyste, wokół jej twarzy. Ma w nich więcej pasemek – kiedy ją ostatnio widziałam, nie były aż tak jasne. Nie bardzo pasuje to do jej gęstych, ciemnych brwi i opalonej twarzy.

– Genoveva – mówię, gapiąc się na nią jak idiotka.

– Mike jest w domu? – pyta, zaglądając do środka ponad moim ramieniem.

– Tak, ja… – Odwracam się i widzę, że tata pojawił się za moimi plecami.

– Genny – mówi cicho.

– Nie wejdę – mówi Genoveva. – Ale musiałam to zrobić osobiście. Mike, musisz przestać mnie nękać. Codziennie telefony. A dzisiaj jeszcze esemesy. To się musi skończyć.

– Nękać cię? – Tata kręci głową. – Nie miałem zamiaru… To znaczy, brakuje mi ciebie. To chyba oczywiste. Ale dzisiaj napisałem do ciebie ze względu na Sammy'ego. On za tobą tęskni…

– Chcę rozwodu – przerywa mu Genoveva. – Zamierzam wyjść za Patricka.

Tata wygląda tak, jakby dostał cios w żołądek.

– Rozwodu?

– Kochamy się z Patrickiem. Zmieniam swoje życie i ty też powinieneś to zrobić.

– A co z Sammym? – pyta tata. – Genny, proszę… To wszystko dzieje się za szybko. Nie spiesz się tak, przemyśl to jeszcze.

– Patrick nie chce, żeby Sammy mieszkał z nami – mówi Genoveva. – Ma własne dzieci. Ale coś wymyślimy. Chciałabym zobaczyć Sammy'ego, jeśli jest w domu.

Tata otwiera i zamyka usta. Potem odsuwa się na bok, żeby wpuścić Genovevę do środka.

– Nie zamierzam cię powstrzymywać.

Widok gości przy świątecznym stole wyraźnie Genovevę irytuje.

– Nie wiedziałam, że ktoś tu będzie – mówi oskarżycielsko, podchodząc do wysokiego krzesełka, na którym siedzi Sammy. Podnosi go do góry jak torbę z zakupami i poklepuje po głowie jak psa.

Sammy wydaje się na początku trochę zaskoczony. Potem, kiedy Genoveva próbuje przygładzić mu włosy, zaczyna płakać.

– Chyba jest w złym humorze – oznajmia, podając mi go. – Za dużo tu ludzi, jak sądzę. – Wydyma usta, lustrując spojrzeniem Denise i Annabel. – Może będzie lepiej, jeśli dzisiaj zostanie tu z tobą, Mike. Nie chcę go, jeśli ma cały dzień płakać. A kto go dzisiaj

ubierał, na litość boską? Ta koszulka nie pasuje do tych spodni.

Genoveva sadza Sammy’ego z powrotem na krzesełku.

– Może przyjadę zobaczyć się z nim w przyszłym tygodniu. Kiedy nie będzie taki rozdrażniony. – Odwraca się do taty. – Nasi prawnicy będą w kontakcie. Wesołych świąt.

I tanecznym krokiem wychodzi z domu, zatrzaskując za sobą frontowe drzwi.

Rozdział 35

Kiedy tata i ja wracamy do stołu, w pokoju panuje grobowa cisza.

Denise zasłania dłonią usta. Marc marszczy brwi. Annabel ma wielkie, zdumione oczy. Sammy siedzi zupełnie cicho, ściskając rączkami stolik przy krzesełku, i ssie wargę.

Wszyscy patrzymy na tatę, choć udajemy, że tego nie robimy, a on bierze do ręki widelec i zaczyna przesuwać nim ziemniaka po talerzu.

Po chwili mówię ostrożnie:

– Tato? Wszystko w porządku?

– Ona chce rozwodu – mówi tata, nie patrząc na nikogo. – Rozwód. Sammy będzie dzieckiem z rozbitej rodziny.

Ryzykuję i spoglądam z ukosa na Marca, który siedzi poważny i zamyślony.

Tata upija łyk szampana ze swojego kubka.

– Sophio, niech to będzie dla ciebie przestrogą. Szybki ślub nie przynosi nic poza złamanym sercem.

– Tato, jesteś zdenerwowany. Nie traktuj tego na razie tak poważnie. Może Genoveva…

– Nie, po raz pierwszy od lat widzę wszystko tak wyraźnie – przerywa mi tata. – Znacie się z Markiem bardzo krótko. Jesteście z dwóch zupełnie innych światów. Tak jak Genoveva i ja. Przykro mi, ale nie mogę dać wam swojego błogosławieństwa. Po prostu nie mogę.

Staram się nie rozkleić. Powtarzam sobie, że tata jest zdenerwowany. Właśnie dostał druzgocącą wiadomość. Nie myśli jasno.

– Tato, może powinieneś jeszcze to przemyśleć.

– Nie muszę. Podjąłem już decyzję.

– Tato, proszę…

– Przykro mi, Sophio. Nie zniósłbym, gdybyś miała cierpieć kiedyś tak jak ja w tej chwili.

Denise pochyla się i kładzie tacie dłoń na ramieniu.

– Mike, tak mi przykro z powodu tej okropnej sprawy… Wszystkim nam jest przykro. Naprawdę. I wiem, że masz na uwadze tylko dobro Sophii i Marca. Ale może jeszcze raz się nad tym zastanowisz, za kilka miesięcy? Przedstawienie Sophii schodzi z afisza w marcu – może wtedy jeszcze raz przemyślisz swoją decyzję? Kiedy zagra we wszystkich spektaklach na West Endzie zobaczysz, że to już dojrzała młoda kobieta. I że ona i Marc bardzo do siebie pasują.

Tata wzdycha.

– Wiem, że Sophia jest bardzo dojrzała na swój wiek. Musiała szybko wydorośleć. Ale… nadal myślę, że nie widzi tego jasno. Marc to bardzo silny człowiek. Wątpię, żeby

przy nim Sophia sama mogła podejmować decyzje.

– Mogę – upieram się. – Oczywiście, że mogę.

– On ma na ciebie bardzo duży wpływ, Sophio. Może nie zdajesz sobie nawet sprawy z tego jak duży. No i jest chyba nadopiekuńczy – ci wszyscy ochroniarze, którzy krążą wokół domu. To nie wydaje mi się normalne.

Zerkam na Marca, prosząc go wzrokiem, żeby nie mówił tacie, dlaczego ochroniarze tu są.

– Mike – mówi Denise. – Daj im kilka miesięcy, żeby pokazali, jak do siebie pasują. Nie podejmuj na razie żadnych pochopnych decyzji.

Tata odkłada widelec.

– W porządku. Dobrze. Świetnie. Przemyślę to jeszcze raz, za trzy miesiące, kiedy Sophia przestanie grać w tym musicalu.

Chwytam Marca za rękę.

– Tato! Dziękuję…

– Zaraz, zaraz. – Tata podnosi rękę. – Mam jeden warunek.

– Warunek?

– Ty i Marc musicie spędzić te trzy miesiące osobno.

– Trzy miesiące osobno?

– Kilka miesięcy rozłąki z Markiem nie wyrządzi ci żadnej szkody – mówi tata. – A da ci czas, żeby się jeszcze zastanowić. Zobaczyć, jak wygląda twoje życie bez Marca, zrozumieć, że masz jeszcze inne możliwości.

– Trzy miesiące nie sprawią, że zmienię zdanie.

Odwracam się do Marca, który nie trzyma mnie już za rękę tak mocno. Nie wydaje się zły – raczej zamyślony, i to mnie martwi.

– Marc. – Kręcę głową. – Chyba nie bierzesz tego poważnie pod uwagę, prawda?

– Dostrzegam pewien sens w tym, co mówi twój ojciec. Taka przerwa da ci szansę zrozumieć, czego naprawdę pragniesz w życiu. Może pojawi się ktoś, kto okaże się dla ciebie lepszy niż ja.

– Nie. – Kręcę głową. – Marc, ja cię kocham. Tylko ciebie. Jesteś wszystkim, czego pragnę. – Czuję łzy pod powiekami i ocieram je szybko, zakłopotana, że robię z siebie takie przedstawienie. Skoro Marc naprawdę mnie kocha, jak może znieść myśl o tak długim czasie beze mnie?

Marc delikatnie ociera moje łzy palcami. Obejmuje mnie ramieniem i jego ciepło trochę mnie uspokaja. Ale nie całkiem.

– Wiem, jak ważne jest dla ciebie błogosławieństwo rodziny. Jeśli ta rozłąka ma je nam dać, jestem w stanie ją znieść. – Odwraca się do mojego ojca. – Ale ja też mam jeden warunek. Muszę być w stanie zobaczyć się z Sophią, jeśli cokolwiek zagrozi jej bezpieczeństwu. I muszę być w stanie obserwować ją przez kamery systemu alarmowego. Żeby mieć pewność, że jest bezpieczna. Ale usunę się z jej życia, nie będę jego częścią.

– Zgoda – mówi tata.

Kręcę głową.

– Tato, nie! Przecież możesz nam tego oszczędzić. Wystarczy, jeśli zrozumiesz, że się kochamy. Że nasza miłość się nie zmieni.

– Chcę być tego pewny, zanim podejmiesz zobowiązanie na całe życie. Na zawsze.

Słyszę ton jego głosu i widzę ten wyraz twarzy – ten, który mówi „tak trzeba”. Jak wtedy, kiedy zmarła mama i nie było nas stać na kwiaty na pogrzeb, więc tata kazał ściąć jej ulubiony krzew róży, żeby ozdobić trumnę. Nie zmieni zdania. Naprawdę wierzy, że robi to, co powinien. Że chroni mnie przed popełnieniem okropnego błędu.

Przywieram do Marca. To nasz wybór. Trzy miesiące osobno albo tata nie da nam błogosławieństwa.

Czuję na sobie współczujące spojrzenia Annabel i Denise.

– Trzy miesiące – mruczę i czuję się w środku dziwnie odrętwiała.

– Jak mówi Denise, w marcu twoja sztuka schodzi z afisza. Masz trzy miesiące, żeby skupić się na swojej karierze. Na swojej przyszłości. Jeśli wtedy oboje będziecie czuli to samo, co teraz, przemyślę znowu swoje błogosławieństwo.

– Będziemy czuli to samo – mówię. – W porządku. W porządku. Zgadzam się. Bo chcę, żebyś się przekonał, jak dobrym człowiekiem jest Marc. Zobaczył, że dotrzyma danej ci obietnicy. I że za trzy miesiące nadal będziemy się kochali.

Rozdział 36

Tata mówi, że w czasie naszej rozłąki możemy rozmawiać tylko pół godziny przez telefon, raz na tydzień. To wszystko. Poza tym nie wolno mi w ogóle widywać Marca. A próbna rozłąka zaczyna się już dziś wieczorem.

Kiedy odchodzimy od stołu, trzymam Marca za rękę, ale tak naprawdę go nie czuję. Jestem jak w szoku.

Marc milczy, głęboko zamyślony. Chyba próbuje się przygotować.

– Naprawdę mamy zamiar to zrobić? – pytam szeptem, kiedy wszyscy inni rozsiadają się w salonie.

– Może tak właśnie będzie najlepiej – mówi Marc. – Taka przerwa pozwoli ci zastanowić się nad przyszłością. I nad tym, czy powinno być w niej miejsce dla mnie.

– Oczywiście, że powinno. Marc, ja cię kocham.

Marc zaciska zęby i w tej chwili wszystkie moje obawy co do jego uczuć dla mnie znikają. Widzę, że to wszystko sprawia mu taki sam ból jak mnie. Po prostu on radzi sobie z nim na swój sposób – przejmując kontrolę.

– Ja też cię kocham – mówi Marc, kiedy siadamy obok siebie na kanapie.

Ktoś puka do drzwi.

Sztywnieję, zastanawiając się, czy przypadkiem Genoveva jednak nie wróciła, ale drzwi otwierają się ze skrzypnięciem i słyszę, jak Jen woła:

– No, witajcie wszyscyyyy!

Jen wpada do salonu, dmuchając w papierową piszczałkę.

– Wesołych świąt!

Ma na sobie jaskrawoczerwoną sukienkę obszytą białym futerkiem i taszczy torbę na zakupy z prezentami i winem.

– Cześć, Jen.

– Co jest, wszyscy? – pyta Jen. – Mam wrażenie, że weszłam do kostnicy. Pora na prezenty, prawda? Zjedliście już obiad. – Spogląda na stół, zastawiony pustymi naczyniami i papierkami po crackerach. – Rany! Boska choinka! – Rzuca torbę pod gałęziami.

– Nie zdążyliśmy jeszcze zabrać się do prezentów – mówię.

Jen dostrzega teraz Annabel i Denise.

– Ty musisz być siostrą Marca! – Podbiega do Annabel i całuje ją w oba policzki. – Miło cię poznać. A pani nie muszę nawet pytać o imię. – Denise także dostaje całusa. – Widziałam panią w *Nędznikach*, lata temu. Była pani wspaniała. A Sophia mówi, że jest pani też fantastyczną nauczycielką. – Jen odwraca się do mnie. – Wszystko w porządku?

– Niezupełnie – przyznaję. – Marc i ja… Tata uważa, że będzie lepiej, jeśli spędzimy trochę czasu osobno.

– Och. – Jen patrzy na mnie, na tatę, i znowu na mnie. – Trochę czasu osobno?

– Trzy miesiące, mówiąc ściśle.

– Dlaczego mielibyście to robić?

– Bo inaczej tata nie da nam swojego błogosławieństwa.

Jen otwiera usta.

– Żartujesz.

– Nie.

Następuje chwila krępującej ciszy.

Jen siada z rozmachem na kanapie i odwraca się do taty.

– O co chodzi? Niezbyt to wszystko pasuje do świąt.

– Nie chcę być wielkim złym wilkiem – mówi tata. – Ale jeśli Sophia chce mojego błogosławieństwa, żeby wyjść za mąż, myślę, że ona i Marc powinni najpierw nabrać trochę dystansu.

Jen unosi brwi.

– Dlaczego nie możesz zaufać Sophii i jej decyzji? Ona ma ponad dwadzieścia lat. Nie jest już nastolatką.

– Nie chcę, żeby cierpiała – mówi tata. – Jeśli ci dwoje naprawdę mają być razem, kilka miesięcy osobno tego nie zmieni.

– Nie miej mi tego za złe – mówi Denise, pochylając się do mnie. – Ale domyślam się, dlaczego twój tata wpadł na taki pomysł. Miłość, kiedy jest się młodym, to niezupełnie to samo co małżeństwo. W młodości można zakochać się wiele razy, ale zobowiązanie na resztę życia to poważna sprawa.

– Ja zakochałem się tylko raz – mówi Marc. – W Sophii.

– Ty możesz tak czuć – mówi łagodnie Denise. – Ale co z Sophią? Mike ma rację, ona nie poznała jeszcze świata.

– Zdaję sobie z tego sprawę – mówi Marc. – I rozumiem tę decyzję. Ja też uważam, że będzie lepiej, jeśli Sophia będzie miała czas rozważyć, na co się decyduje. Być może inne życie byłoby dla niej lepsze – życie, jakiego ja nie jestem w stanie jej zapewnić.

– Naprawdę macie zamiar to zrobić? – pyta Jen. – Spędzić tyle czasu osobno?

– Ja tego nie chcę – mówię. – Ale… zdaje się, że nie mamy za bardzo wyboru.

Jen odwraca się do mojego taty.

– Mike, posłuchaj… naprawdę jesteś pewny, że na twoją decyzję nie mają wpływu zupełnie inne sprawy? Słyszałam o Genovevie…

Tata marszczy brwi.

– Myślę, że to właśnie dzięki sytuacji z Genovevą widzę wszystko wyraźniej niż kiedykolwiek. Była tu wcześniej. I teraz widzę wiele rzeczy, których wcześniej nie widziałem.

Znowu zapada kłopotliwe milczenie.

Myślę o prezencie dla Genovevy, leżącym pod choinką, i zastanawiam się, jak w ogóle mogłam mieć nadzieję, że podczas tych świąt ta kobieta zachowa się jak przyzwoita istota ludzka.

Biedny Sammy.

– Otworzymy teraz prezenty? – mówię, chcąc zmienić temat. – Annabel. Denise. Tak

mi przykro, że nie mamy tu nic dla was.

Annabel uśmiecha się i wyciąga spod swetra srebrny zamykany wisiorek.

– Dostałam prezent od ciebie pocztą, kilka dni temu. Jest piękny. Naprawdę piękny. – Otwiera go. – Skąd wzięłaś zdjęcie Daniela?

Uśmiecham się do dziecka o złotych loczkach z fotografii w wisiorku. Chłopiec przypomina trochę Marca ze zdjęcia z jego dzieciństwa, które kiedyś widziałam.

– Poprosiłam Marca.

– A ja dziękuję ci za książkę – mówi Denise. – Uwielbiam Roberta Burnsa.

– Zauważyłam kilka tomików poezji w sali, gdzie mamy zajęcia, i tak sobie właśnie pomyślałam.

Podaję prezenty Jen, tacie i Sammy'emu. Tata dostaje kilka rzeczy do samochodu, Jen filmy, które na pewno jej się spodobają i serwis od Marca. Dla Sammy'ego jest figurka z elastycznego plastiku, która wygina się na wszystkie strony. Potem daję prezent Marcowi.

– To niewiele – mówię, nagle zmieszana, bo wszyscy na nas patrzą. Prezent jest owinięty czarną bibułką i nagle wydaje mi się śmiesznie mały i skromny.

Marc z uśmiechem kiwa głową.

– Przecież prosiłem, żebyś nie dawała mi prezentu.

– Uch, w pewnym sensie postanowiłam to zignorować.

Marc uśmiecha się szerzej.

– W jakim sensie?

– Cóż, zrobiłam to, jeszcze zanim mnie poprosiłeś. Więc… otwórz.

Marc zdejmuje czarny papier.

– Ty to zrobiłaś? – pyta, wyciągając z paczuszki ręcznie plecioną bransoletkę z czarnego i srebrnego jedwabiu. W bransoletkę wplecione są srebrne listki bluszczu, a z drugiej strony jest zapięcie w formie srebrnego zatrzasku.

– Tak. To naprawdę niewiele. Ale sprawiło mi przyjemność robienie tego dla ciebie. Mam nadzieję, że ci się podoba.

– Bardzo – mówi Marc i zakłada bransoletkę.

Boże, uwielbiam jego nadgarstki. Są takie silne, tak zanurzone w świetle i mroku.

Czerwienię się.

– Nie musisz jej nosić przez cały czas ani nic w tym rodzaju. To znaczy, to nic szczególnego.

– Dla mnie tak – mówi Marc. – Czas na twój prezent. – Podchodzi do choinki i podnosi mały, płaski prostokąt owinięty w złoto-srebrny papier. Do jednego rogu przyczepiona jest duża gałązka jemioły.

– Pięknie zapakowany – mówię, muskając palcami jemiołę. To dla mnie ulga, że prezent jest mały. Nie chciałam od Marca niczego ekstrawaganckiego. Czułabym się wtedy niezręcznie. No, ale z drugiej strony, jak mówi Jen – wielkie rzeczy często pojawiają się w skromnych opakowaniach.

Ostrożnie rozdzieram papier i zaglądam do środka.

Rozdział 37

Odwracam się do Marca.

– Czy to… to nie to, co myślę, prawda?

– A myślisz, że co to jest?

Spoglądam w dół, na rozdarty papier. Między jego fałdami leży zdjęcie pięknego czarnego konia z białą plamką na pysku.

– To zdjęcie konia – mówię. Ale przecież znam Marca. Nie dałby mi w prezencie zdjęcia konia… A więc…

– Ona jest teraz twoja – mówi miękko Marc.

– Chyba żartujesz. – Wpatruję się w zdjęcie pięknej klaczy o lśniącej sierści i aksamitnych czarnych oczach. – Ja… Marc, ja… – Kręcę głową. – Nie wiem, czy mogę to przyjąć. To znaczy… ja dałam ci tylko plecioną ręcznie bransoletkę, a to jest…

– Dotrzyma ci towarzystwa, kiedy będziemy daleko od siebie – mówi Marc. – Nazywa się Ebony. Jest bardzo łagodna. Ludzie z mojej stajni będą się nią zajmowali. Ale możesz ją odwiedzać, jeździć na niej, ilekroć będziesz miała ochotę.

Wstaję i zarzucam Marcowi ręce na szyję.

– Dziękuję – mówię szeptem. – To… wspaniały prezent.

– Zabiorę cię dzisiaj do niej – mówi Marc. – Jest jakąś godzinę drogi stąd. Na farmie, na której byliśmy już kiedyś razem.

– Twojej farmie – mówię.

– Naszej farmie.

Nagle zdaję sobie sprawę, że wokół są inni ludzie i odsuwam się od Marca.

– Powinniśmy… może wszyscy napijemy się teraz herbaty?

Później, kiedy reszta towarzystwa odpoczywa w salonie, Marc proponuje, że zabierze mnie do Ebony.

– Keith nas tam zawiezie? – pytam.

Marc kręci głową.

– Kiedy przygotowywaliśmy obiad, kurier dostarczył tu mojego astona martina. Ja siądę za kierownicą.

Uśmiecham się.

– Brzmi dobrze.

Jen i Annabel grają w scrabble i świetnie się przy tym bawią, a Denise i mój tata rozmawiają, piją herbatę i zajadają się czekoladowymi ciasteczkami, więc nikomu nie będzie nas brakowało, jeśli wyjdziemy.

Jedziemy na farmę w milczeniu, szczęśliwi, bo jesteśmy razem, ale zatopieni każde w

swoich myślach. Po tym, co powiedział tata, jest o czym myśleć.

Kiedy przyjeżdżamy na farmę, dostrzegam, że po niej także krążą ochroniarze.

– Marc. – Odwracam się do niego, podczas gdy samochód podskakuje na wyboistej drodze prowadzącej do głównego budynku. – Mówiłeś, że po świętach powiesz mi, o co chodzi z tą całą ochroną. Cóż, święta prawie dobiegły już końca, więc… Powiesz mi?

Marc zatrzymuje samochód.

– Dobrze. – Patrzy przed siebie przez przednią szybę, ja też spoglądam tam gdzie on, na szarpane wiatrem bezlistne drzewa. – Może pomoże ci to zrozumieć, dlaczego za bardzo nie sprzeciwiałem się decyzji twojego ojca.

Cisza.

– Marc?

– Moi prawnicy zajmują się Gettym. Nie musisz się obawiać, że w jakikolwiek sposób spróbuje się do ciebie zbliżyć. Ale jest coś jeszcze.

– Tak? – Przełykam ślinę.

– Są inni.

– Inni? Co masz na myśli?

– Getty był członkiem podziemnej siatki… Są znani jako PAIN[2]. Mają kluby w całym Londynie. Wie o nich niewiele osób. Ale bardzo chronią swoich członków. Wiadomość o aresztowaniu Getty'ego już się rozeszła. I wygląda na to, że przywódcy tej grupy chcę się zemścić na ludziach, którzy wsadzili go za kratki.

– Na nas?

– Tak to wygląda.

Robi mi się niedobrze.

– Czy policja wie o tej grupie?

– Niezupełnie. – Marc kręci głową. – W każdym razie jeszcze nie. To sprawa, którą trzeba się zająć bardzo delikatnie. Oni są sprytni. Jeśli za szybko wystąpimy z mylnymi oskarżeniami, policja może nie być w stanie w ogóle postawić im żadnych zarzutów.

Cisza.

– Marc?

– Jest coś jeszcze. – Marc zaciska palce na kierownicy. – A właściwie ktoś. Ktoś, wplątany w to wszystko. Kto też chce zemsty.

– Kto?

Marc odwraca się do mnie.

– Cecile.

Rozdział 38

Cecile z Ivy College? – pytam.

– Tak. PAIN odszukali ją po aresztowaniu Getty'ego. Widziano ją w ich klubach nocnych.

– Nigdy mnie nie lubiła – mówię. Czuję się dziwnie odrętwiała w środku. – A teraz ma kolejny powód, żeby mnie nienawidzić.

– Nie wiem na pewno, jak Cecile może być z nimi związana – ciągnie Marc. – Ale w tej chwili wiem już, że nie powinnaś przebywać u mnie w domu, bo to niebezpieczne.

– Tego nie rozumiem – mówię. – Myślałam, że ten dom jest zabezpieczony.

– Bo jest. Niemal przed każdym.

– Niemal?

– Jest pewna kobieta. Należy do przywódców PAIN. Nazywa się Yasmina. Zna mój dom od podszewki. Systemy alarmowe. Rozkład pomieszczeń. Wszystko.

Krew ścina mi się w żyłach.

– Skąd?

– Pracowała dla mnie. Jako moja asystentka. Wiele lat temu. Zatrudniłem ją za sugestią Getty'ego. Chciał mnie w ten sposób trzymać w garści. Ona dużo wie o moim domu. I o mnie. Jest bardzo inteligentna. Bardzo, bardzo inteligentna. I bezwzględna. Ona i inny przywódca PAIN, Warren, byli oskarżeni o kilka dość makabrycznych przestępstw. Ale niczego nie udało im się udowodnić.

Kiwam powoli głową. Czuję się gorzej niż kiedykolwiek.

– Ta Yasmina… Czy wy byliście… – Nie kończę pytania.

– Nie. – Marc stanowczo kręci głową. – Nigdy. Pod tym względem mieliśmy zupełnie inne upodobania.

– Och. Rozumiem.

– Ludzie z PAIN są sprytni – stwierdza Marc. – Dyskretni. Muszę zaczekać, aż zrobią jakiś ruch. Ale do tego czasu to nie jest taki zły pomysł, żebyśmy się nie spotykali. Nie chcę, żebyś się dostała w krzyżowy ogień.

– A ja nie chcę, żebyś ty dostał się w krzyżowy ogień – mówię, wsuwając drżącą rękę w jego dłoń. – Marc, nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało.

– Nie musisz się o mnie martwić – uspokaja Marc. – Potrafię o siebie zadbać. – To ciebie trzeba chronić.

– Chyba powinnam ostrzec Toma i Tanyę. Cecile może próbować zaszkodzić im jakoś w college'u.

– Cecile nie ma już w Ivy College.

– Nie ma?

– Nie. Została usunięta. Ma widoczne problemy psychiczne, a ja nie mogę pozwolić,

by ktokolwiek zagrażał moim studentom. Tobie czy komukolwiek innemu. Zaproponowano jej terapię na nasz koszt, ale odmówiła. Więc teraz radzi sobie sama. Ale jest obserwowana. Jak oni wszyscy. Obiecuję ci, że damy sobie z tym radę. – Marc ściska moją dłoń. – A teraz chodź, zobaczymy twojego konia.

Kiedy tylko moje oczy spoczywają na Ebony, wiem, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Jest tak skończenie piękna i doskonale do mnie dopasowana – nie tak wielka jak Taranu, ale i nie zbyt mała. Jej sierść lśni jak gwiazdy w bezchmurną noc.

Marc daje mi owsa, żebym ją nakarmiła, i po kilku garściach klacz parska, trąca pyskiem moją dłoń i pozwala mi pogłaskać się po grzywie.

– Chcesz na niej pojeździć? – pyta Marc.

– Bardzo bym chciała – mówię. – Ale nie mogę zostawić Sammy'ego z tatą zbyt długo. Wrócę tu po świętach. Myślę, że ona mi pomoże. Kiedy będę za tobą tęskniła.

Reszta tego dnia jest trochę przygnębiająca. Jemy ser i biskwity do herbaty, pijemy szampana i zabawiamy się różnymi grami, ale świadomość, że niedługo będę musiała rozstać się z Markiem, rzuca cień na te chwile. Jak ja to wytrzymam?

Co chwilę ściskamy się za ręce, mówiąc sobie bez słów, jak bardzo się kochamy. Ale kiedy patrzę na Marca, widzę, że jest pogrążony w myślach i stara się zapanować na emocjami, które budzi w nim myśl o tym, co nas czeka.

Późnym wieczorem Denise, Annabel i Jen żegnają się z nami, a tata idzie położyć się na górę. Sammy już mocno śpi, więc idziemy z Markiem do ogrodu, żeby pobyć trochę sam na sam.

Stoimy pod wysokimi drzewami, patrząc w czarne niebo. Oboje wiemy, że zbliża się chwila, w której Marc będzie musiał odjechać.

Czuję jego ciepło na twarzy i szyi. To, że jest teraz tak blisko, jest jednocześnie cudowne i straszne.

W końcu mówię:

– Jak podobały ci się święta?

– Nie były dokładnie takie, jak sobie zaplanowałem. Ale i tak się cieszę, bo mogłem je spędzić z tobą.

– Ja też. Jeśli o to chodzi, to te święta były najlepsze.

Patrzę na wiewiórkę, która wspina się na nagie gałęzie.

– Chyba muszę już iść – mówi Marc. – Już czas.

– Chyba tak. – Przełykam i próbuję być twarda i rzeczowa jak Marc. Nie poddać się smutnym myślom o rozstaniu. Ale nie potrafię. Czuję, jak moja twarz zaczyna się krzywić.

– Nie mogę patrzeć, jak cierpisz – mówi Marc przez zaciśnięte zęby.

– A chciałam być taka silna. – Chcę się roześmiać, ale mój śmiech jest zdławiony przez łzy. Biorę głęboki oddech i wypuszczam powietrze. – To tylko trzy miesiące, nie wieczność. I możemy rozmawiać przez telefon raz w tygodniu. – Kładę dłonie na jego piersi. – A potem znowu będziemy razem. Na zawsze.

Kąciki ust Marca drgają lekko.
– Czy to znaczy, że przyjmuje pani moje oświadczyny, panno Rose?
– Będziesz musiał zapytać jeszcze raz, jeśli chcesz dostać odpowiedź na to pytanie.
– Mam taki zamiar.

Rozdział 39

Siedzę w ciemnym salonie i patrzę na odjeżdżający spod domu samochód Marca. Koła chrzęszczą na żwirze i po chwili auto znika.

Jestem zupełnie sama. W ciemności.

Ogarnia mnie ponury, mroczny nastrój.

Siedzę, spoglądając na miejsce, w którym stał wcześniej samochód Marca. Potem idę na górę i padam na łóżko.

Śpię jak kamień i budzę się dopiero późnym rankiem następnego dnia.

– Hej, ślicznotko. Grosik za twoje myśli. – Leo Falkirk wchodzi na scenę. Ma na sobie tylko obcisłe jak druga skóra slipy z flagą Teksasu. Jego ciało jest zabójczo umięśnione i opalone; jasne włosy opadają mu na wyrzeźbioną pierś.

Stoję na scenie w leggingsach i długim luźnym podkoszulku i szeroko otwieram oczy na widok wybranego przez Leo stroju.

– Tylko nie mów, proszę, że masz zamiar tak wystąpić w dzisiejszym przedstawieniu – mówię.

– To tylko na próby i tylko dla ciebie – odpowiada Leo z uroczym chłopięcym uśmiechem. – Pomyślałem, że cię to trochę rozweseli. Wyciągnie cię z dołka.

Właściwie nie musimy już z Leo więcej próbować, bo na spektaklach idzie nam naprawdę dobrze. Ale obojgu nam zależy na tym, żeby grać najlepiej, jak potrafimy, więc między przedstawieniami ciągle ćwiczymy, korzystając z recenzji i reakcji publiczności.

– Nie jestem w dołku – oponuję.

– Może w czasie przedstawień nie, ale… uch-och! Poza tym nie tryskasz radością.

– Przykro mi, Leo. Teraz rzeczywiście trudno mi się z czegokolwiek tak naprawdę cieszyć. Wszystko wydaje mi się takim ciężarem.

Siadam na fioletowej kanapie, która wygląda na miękką, ale tak naprawdę jest wypchana tekturą. Kanapa jest częścią scenografii ze sceny w domu Bestii, w której Piękna czyta Bestii poezje.

– Wiem, wiem – mówi Leo, podchodząc bliżej. – Z powodu Marca i faktu, że bohaterowie, których miłość jest zapisana w gwiazdach, zostali brutalnie rozdzieleni. Serce mnie boli, kiedy o tym myślę. Serio. – Leo uderza się w pierś i teatralnie zgina się wpół. – Ale wiesz – to wszystko między wami zawsze wydawało mi się dość dramatyczne. Może przerwa dobrze ci zrobi. Zobaczysz, że na świecie są jeszcze inni mężczyźni poza Markiem Blackwellem.

– Kupiłeś je sklepie z pamiątkami? – pytam, patrząc na jego slipki.

– Nie. – Leo siada obok na kanapie i obejmuje mnie nagim ramieniem. – Dostałem na święta. Od mamy.

– Fajnie, że macie taki dobry kontakt.

– Ma poczucie humoru, ta moja mama – mówi Leo. – Może tobie też by się przydało. Od tygodni chodzisz skwaszona. Od świąt. No, może to też trochę poprawi ci nastrój. – Leo zeskakuje ze sceny i wraca z jakimś brukowcem. Rzuca mi gazetę na kolana.

Czytam nagłówek i opada mi szczęka.

„Getty dostał dożywocie”.

Rozdział 40

Podnoszę wzrok na Leo. Czy on wie? Czy wie, co mi się przydarzyło?

– Leo, skąd ty…

– To jeden z paparazzich, którzy nie dawali ci spokoju, prawda? – pyta Leo. – Ten, który oczerniał cię w gazetach?

– To on – mówię powoli, przesuwając wzrokiem po tekście.

– Pomyślałem, że ucieszy cię, że wsadzili go do więzienia.

Kiwam głową i czytam artykuł. Nie ma w nim mojego nazwiska – tylko że Getty miał związek z porwaniem i kręgami sado-maso i że dostał dożywocie.

Są zdjęcia – Getty, skuty kajdankami, wsiadający do policyjnej furgonetki. Wydaje się blady i stary, a jego słynne bokobrody są za długie i zaniedbane.

– O mój Boże – mówię. – Piszą o Cecile.

– Kto to jest Cecile? – pyta Leo.

– To… dziewczyna z mojego college'u.

Gazeta nie wspomina, że Cecile spotykała się z Gettym. Określa ją jako „znajomą" i cytuje jej wypowiedź:

„Smutny to dzień dla brytyjskiej sprawiedliwości, w którym niewinny trafia za kraty, a winny pozostaje na wolności. Zrobię wszystko, by uwięzienie Gilesa zostało ukarane. Mam bardzo wpływowych przyjaciół; zamierzamy dopilnować, by osoba odpowiedzialna za to odcierpiała swoje".

Odcierpiała.

Ogarniają mnie mdłości.

– Wszystko w porządku, Soph? – pyta Leo, wyciągając mi gazetę z rąk. – Zbladłaś.

– W jak najlepszym. – Próbuję się uśmiechnąć.

– Mnie nie nabierzesz – mówi Leo.

– Naprawdę. – Przestaję się uśmiechać. – Tak lepiej?

– Przynajmniej bardziej szczerze. A myślałem, że dzisiaj będziesz zadowolona. Już piątek, no nie? Czy nie w piątki właśnie wolno ci zadzwonić do swojego księcia z bajki? Czy pilnuje cię wtedy jakiś strażnik?

– Nie. Marc ma do mnie zadzwonić po przedstawieniu.

– Uch. Och.

– Uch, och?

– Czy to znaczy, że przez cały wieczór będziesz rozmyślała o Marcu Blackwellu, zapominała tekstu, fałszowała…

– Oczywiście, że nie. Czy kiedykolwiek zdarzyło mi się coś takiego? Tylko na scenie zapominam o Marcu.

– A na próbach?

– Może trochę też. Czasami.

– Tylko trochę?

Przerywa nam Davina, która pędzi między rzędami, ściskając w ręce o pomalowanych na czerwono paznokciach zwiniętą w rulon gazetę.

– Cześć, Davina – mówi Leo i wstaje, żeby mogła dokładnie zobaczyć jego slipki. – Jak leci?

Davina zdaje się nie zauważać, co ma na sobie Leo.

– To dzisiejsza recenzja – mówi, machając gazetą. – Sophio, musisz się poprawić. Postarać się bardziej.

Wstaję.

– Mogę zobaczyć tę recenzję?

– Proszę. – Davina podchodzi do sceny i rzuca mi gazetę pod nogi.

Przerzucam strony i zaczynam czytać. Leo zagląda mi przez ramię.

– Davino, to nie jest zła recenzja – mówi.

– Jest okropna – rzuca Davina. – Chyba widzisz, co tu jest napisane o tym, że obsadzenie nieznanej, niedoświadczonej aktorki to zawsze ryzyko?

– Owszem – mówię. – Ale Leo ma rację. To najgorsze, co zostało tu napisane. Poza tym to całkiem dobra recenzja. W porządku, nie fantastyczna. Ale na pewno nie okropna. Wskazują parę rzeczy, nad którymi możemy popracować.

Leo kiwa głową.

– Zgadzam się z Sophią. Zresztą, publiczność jest zachwycona. W Internecie dostajemy mnóstwo świetnych recenzji.

Davina patrzy na mnie.

– To od początku był ryzykowny krok, żeby cię obsadzić. Musieliśmy dostać też kilka kiepskich recenzji.

– Davino, to nie jest kiepska recenzja – mówię, czując, jak ogarnia mnie irytacja. Myślałam, że uporała się ze swoim problemem po tym, jak entuzjastycznie nasz musical został przyjęty przez publiczność. Ale chyba jednak nie.

– Mogłaby być lepsza.

– I mogłaby być gorsza – odparowuję, świadoma siły i tonu swojego głosu. – Znacznie gorsza. Jak powiedział Leo, publiczność jest zachwycona. A my zaharowujemy się po godzinach, żeby grać jeszcze lepiej. Kiedy wreszcie przestaniesz się mnie czepiać?

– Czepiać? – Davina patrzy na mnie i zaczyna mrugać.

– Odkąd zaczęliśmy razem pracować, Leo był twoim ulubieńcem, a ja czarną owcą. Ale odnieśliśmy sukces. Duży sukces. Większy niż można się było spodziewać. Piszą o tym we wszystkich gazetach. – Macham jej gazetą przed nosem. – Nawet w tej recenzji przyznają, że sprzedajemy mnóstwo biletów. Więc z czym, do diabła, masz jeszcze problem?

Davina cofa się o krok, chwiejąc się lekko na swoich wysokich obcasach.

– Cóż… jeśli aż tak to odebrałaś… Może wybrałam nieodpowiedni moment…

– Nigdy nie będzie lepszego – mówię. – Zawsze masz mi coś do zarzucenia. Kiedy to się skończy? Czy muszę być wielką hollywoodzką gwiazdą, zanim przyznasz, że ja też

wnoszę jakąś wartość do tego musicalu?

Davina spuszcza wzrok.

– Może źle mnie zrozumiałaś… Przepraszam, jeśli nie wyrażałam się dość jasno… – Podnosi głowę i uśmiecha się. – Zacznijmy od początku, dobrze? Spróbuję spojrzeć na sprawę z twojego punktu widzenia.

– Dziękuję – mówię, nagle znużona. – Spróbujmy zacząć jeszcze raz.

– Doskonale! – woła z uśmiechem Davina. – Cóż, zostawię was, żebyście sobie spokojnie popracowali, a ja skoczę na kawę. Nie mogę się doczekać dzisiejszego spektaklu. – Teraz dopiero dostrzega slipki Leo. – I na litość boską, Leo, załóż jakieś ciuchy. Nie występujesz w Chippendales.

Leo parska śmiechem, kiedy Davina wychodzi.

– Najwyższy czas, żebyś jej nagadała. Zastanawiałem się, kiedy wreszcie nie wytrzymasz.

– Chciałam tylko, żebyśmy sobie to wyjaśniły. W tej chwili nie mam głowy, żeby jeszcze użerać się z Daviną.

– Z powodu Marca Blackwella? – Leo unosi jedną brew.

– Nie tylko – mówię. – Jest jeszcze ta ochrona.

– Wiem, że nie mogę konkurować z Panem Idealnym – mówi Leo – ale chcę, żebyś wiedziała, że teraz, kiedy nie spotykasz się z Markiem, ja będę się tobą opiekował. Dobrze? Lubię cię. I nie chcę, żeby cokolwiek złego przytrafiło się mojej scenicznej partnerce.

– Dzięki, Leo. Jesteś słodki.

Leo się śmieje.

– Jeszcze nikt nigdy tak mnie nie nazwał.

Rozdział 41

Tego wieczoru spektakl jest fantastyczny i publiczność jest fantastyczna, ale kiedy jadę już z Keithem do domu, zdaję sobie sprawę, że zasięg mojego telefonu nie jest fantastyczny. I stale się pogarsza. Marc może mieć problem, żeby się do mnie dodzwonić, a ja nie chcę ryzykować.

– Zmiana planów – mówię do Keitha. – Dzisiaj przenocuję w Ivy College. Możesz zawrócić? Muszę być gdzieś, gdzie jest dobry zasięg.

– Nie ma sprawy – mówi Keith, wrzuca kierunkowskaz i zwalnia.

Wysiadam przed bramą college'u i dzwonię do taty. Mówię mu, że przyjadę wczesnym rankiem następnego dnia, a potem wchodzę na teren college'u, z oczami wbitymi w telefon, czekając, aż zadzwoni Marc.

Dokładnie o północy na ekraniku zaczyna mrugać jego numer.

Uśmiecham się. Według Marca można regulować zegarki.

– Sophia. – Głos Marca jest głęboki i niski. Odruchowo zaczynam myśleć o jego silnych ramionach i szerokiej piersi.

Boże, całe moje ciało się do niego wyrywa. Od świąt mam w sercu wyrwę, ale ostatnio ta wyrwa zmieniła się w otchłań. Wiedzieć, że on jest tak blisko, w Londynie, a ja nie mogę być z nim… dotknąć go… to koszmar.

– Cześć – mówię, dziwnie lekkim, obcym głosem.

– Gdzie jesteś? – pyta Marc.

– W Ivy College. Tu jest lepszy zasięg. Bałam się, że możesz się do mnie nie dodzwonić.

Cisza.

– Dobrze. – Jego głos ma taką głębię. – To ma sens, zmienić miejsce pobytu. Trudniej będzie dojść, gdzie jesteś.

– Hm. – Ściskam telefon mocniej.

– Tęsknię za tobą – mówi miękko Marc, a mnie żołądek przewraca się w brzuchu.

– Ja też za tobą tęsknię. – Zalewa mnie całe tsunami emocji. – Tak strasznie za tobą tęsknię, Marc. Czasami wydaje mi się, że tego nie wytrzymam. Jak ja przeżyję te trzy miesiące? Minęło dopiero kilka tygodni, a ja umieram. – Staram się pomyśleć o czymś przyjemnym i w końcu udaje mi się uspokoić. – U ciebie wszystko w porządku?

– Bez ciebie nigdy nie jest w porządku – mówi Marc. – Więc nie, nie jest ani trochę w porządku. Ale radzę sobie.

– To tak jak ja – mówię, idąc w stronę akademika. – Radzę sobie. Ale nie jest w porządku.

– Rzadko zdarzają się chwile, żebym o tobie nie myślał – mówi Marc.

– Ja też. – Wchodzę do budynku i idę do schodów.

– Nie mogę znieść myśli, że codziennie spotykasz się z Leo – mówi Marc przez ściśnięte gardło. – Że on może z tobą rozmawiać. Dotykać cię. A ja nie.

– Powtarzam ci bez końca, że nie masz o co być zazdrosny, wiem o tym. Ale pewnie na twoim miejscu czułabym to samo. – Docieram do drzwi mojej dawnej sypialni i otwieram je kluczem. – Gdybyś był z jakąś inną kobietą, a ja nie mogłabym z tobą być… Byłoby mi ciężko.

– Jakaś część mnie uważa, że on byłby dla ciebie lepszy – mówi Marc. – Kiedy twój ojciec zaczął mówić o naszej separacji, przyszedł mi do głowy Leo. On może dać ci to, czego ja nie mogę. Normalny związek. Bez żadnych mrocznych sprawek.

– Nie chcę normalnego związku. – Wchodzę do pokoju. Pachnie w nim kurzem i mydłem. Jest trochę zimno, więc jedną ręką wrzucam na palenisko kominka trochę papieru i węgla. – I lubię mroczne sprawki.

– Twój tata na pewno byłby bardziej zadowolony, gdybyś była z mężczyzną w rodzaju Leo.

– Ale ja nie.

– Wiesz to na pewno?

– Tak.

Cisza.

– Jesteś już w swoim pokoju?

– Tak. Skąd wiesz?

– Słyszałem, jak wchodziłaś na schody. Zamknij drzwi.

Zatrzaskuję drzwi i siadam na łóżku.

– Zdejmij dżinsy.

– Skąd wiesz, że mam na sobie dżinsy?

– Poza tym, że nosisz je niemal bez przerwy? Wiem, bo moja ochrona co godzinę cię filmuje. A ja bardzo dokładnie oglądam te filmy.

– Widziałeś film nagrany, kiedy wyszłam z teatru?

– Oczywiście.

Uśmiecham się.

– Czy to nie wbrew zasadom? Mamy się nie widywać.

– Niezupełnie. Zgodnie z umową to ty masz nie widywać mnie. A ja mogę oglądać cię przez kamery ze względów bezpieczeństwa. Ponieważ jednak jesteś w tak posłusznym nastroju, mam dla ciebie jeszcze kilka zasad, których będziesz mogła przestrzegać. Idź do szafy i weź szalik – najcieńszy, najmiększy, jaki masz.

– Po co?

– Nie zadawaj pytań.

Robię, co każe mi Marc, i wybieram długi czarny szalik w białe czaszki – prezent urodzinowy, który dostałam w zeszłym roku od Jen.

– A teraz zawiąż sobie usta.

– Co?

– To, co powiedziałem. Zawiąż usta. Bez dyskusji.

– Chcesz, żebym obwiązała sobie nim usta? Jak kneblem?

– Dokładnie tak.

– Ale wtedy nie będę mogła z tobą rozmawiać.

– Zgadza się. W każdym razie do czasu, kiedy ci pozwolę.

– Ale czekałam cały tydzień, żeby…

– Czasami lepiej jest słuchać, niż mówić.

Patrzę na szal, a potem na telefon.

– Marc, będę się czuła głupio, siedząc tu zakneblowana szalikiem.

– To nie na długo. Cały tydzień myślałem o tym, co zrobię, żebyś szczytowała. A zakneblowanie cię to jeden z niewielu sposobów, na jakie mogę cię zdominować na odległość.

– Zdominować? – Uśmiecham się. – Tak to nazywasz?

– To jedna z wielu nazw. – Słyszę, że Marc się uśmiecha. – Teraz załóż szalik.

Niechętnie biorę szal i obwiązuję nim usta, tak mocno, że wsuwa mi się między wargi. Język wysycha mi od kontaktu z bawełną. Szalik utrudnia przełykanie śliny, nie mówiąc już o rozmowie.

– Sophio?

– Mhm – mamroczę do telefonu.

– Teraz cię wypieprzę.

Odruchowo spoglądam na drzwi, spodziewając się, że Marc wejdzie nagle do pokoju. Ale wiem, że nigdy nie złamałby słowa danego mojemu ojcu. On zawsze dotrzymuje obietnic.

Chcę spytać jak, ale z moich ust wydobywa się tylko stłumiony bełkot.

– Nie zdjęłaś jeszcze dżinsów. Zrób to teraz.

Robię to, najpierw zrzucając buty, a potem ściągając z nóg obcisłe niebieskie dżinsy. Moja skóra w jasnym świetle pokoju wydaje się bardzo blada i trochę posiniaczona od uścisków Leo, który podnosi mnie kilka razy w czasie przedstawienia.

– Teraz majtki.

Rozdział 42

Wychodzę z bielizny – gładkich białych majtek z Marksa i Spencera. Cieszę się, że Marc nie może ich zobaczyć. Są beznadziejnie zwyczajne i dziewicze. Zupełnie nie seksowne. Przynajmniej mnie się takie wydają.

Siedzę teraz tylko w swetrze, zakneblowana szalikiem. Jakaś część mnie kusi, żeby rozwiązać szalik i powiedzieć Marcowi, że w tej chwili nie mam ochoty na takie zabawy – w końcu nie rozmawialiśmy od tygodnia. Ale powstrzymuje mnie ciepło, które powoli narasta mi między nogami.

– Połóż się na brzuchu i przełącz mnie na głośnik.

Uderzam w guzik głośnika, kładę telefon na kołdrze i przewracam się na brzuch, czując miękką bawełnę na gołych nogach.

– Rozszerz nogi.

Robię to i czuję chłodne powietrze między nogami.

– Chcę, żebyś wyobraziła sobie, jak staję za tobą.

Myślę o Marcu, takim wysokim, seksownym i silnym, i drżę na samą myśl o nim między moimi nogami. Jeśli naprawdę się skoncentruję, będę mogła udawać, że jest tu ze mną i zaraz mnie dotknie.

– Zaraz pociągnę cię do siebie za kostki – mówi Marc. – Zsuń się z łóżka w moją stronę.

Wiercę się na łóżku na prawo i lewo, aż pod stopami i łydkami czuję tylko powietrze.

– Teraz masz się tylko opierać na łóżku. Chcę żebyś wypięła tyłek, rozszerzyła nogi i czekała, żebym cię wypieprzył.

O Boże.

Zsuwam się niżej, aż moje nogi opadają z krawędzi łóżka. Czekam tam, naga od pasa w dół, z wypiętym tyłkiem, tak, jak mi kazał.

Rozszerzam nogi.

Tak trudno nie móc nic powiedzieć. Sięgam po telefon i przysuwam go bliżej, tak, żeby leżał tuż obok mojego ucha.

Boże, jestem taka podniecona. Zakneblowana, wykonuję polecenia Marca… i tak bardzo chcę, żeby mnie dotknął. Ale zostaje mi tylko wyobraźnia.

Czego bym nie dała, żeby poczuć jego silne ręce na moich pośladkach, jego ciało między moimi nogami…

– Rozszerz bardziej nogi.

Robię to i czuję, jak moje nogi przebiegają elektryczne wstrząsy. Jęczę w knebel i słyszę, jak po drugiej stronie Marc oddycha coraz szybciej.

– Na razie cię nie wypieprzę – mówi Marc, trochę zdławionym głosem. – Zostawię cię tak, żebyś czekała. Pragnęła. Kiedy będę gotowy cię posiąść, zrobię to. Ale dopiero,

kiedy będę gotowy.

Jęczę głośniej, wijąc się na łóżku i pocierając kroczem o twardą ramę.

– Nie ruszaj się – warczy Marc. – Słyszę, że się ruszasz. Nie ruszaj się, aż ci pozwolę.

Leżę bez ruchu.

Cisza.

Czekam. I czekam. A im dłużej czekam, tym bardziej jestem podniecona i tym rozpaczliwiej pragnę usłyszeć jego głos. Próbuję zawołać go przez knebel, ale wydaję tylko zduszony jęk.

Chcę więcej. Więcej instrukcji. Więcej jego głosu. Więcej Marca.

Kiedy wydaje mi się, że nie zniosę tego ani chwili dłużej – kiedy jestem gotowa zedrzeć szalik z twarzy i wykrzyczeć imię Marca – po drugiej stronie słyszę jego głęboki głos.

– Wiesz, jaki jestem twardy, kiedy myślę o tobie, leżącej na łóżku, zakneblowanej i gotowej?

Znowu jęczę w knebel.

– Mhm.

– Boże. – Wyczuwam, że Marc zaczyna tracić panowanie nad sobą tak jak ja. – To stało się niemal nie do zniesienia.

Pocieram kroczem o twardą ramę łóżka, tam i z powrotem, tam i z powrotem, podciągając się do góry i opuszczając w dół. Wyobrażam sobie Marca, który stoi za mną i wchodzi między moje nogi.

– Powiedziałem ci, żebyś się nie ruszała – mówi ostrzegawczo Marc.

Jęczę i słyszę, że oddech Marca staje się jeszcze cięższy. Próbuję się opanować, ale nie potrafię wytrzymać bez ruchu. Tak bardzo, bardzo mnie to podnieca.

– Ponieważ ruszałaś się, chociaż ci nie pozwoliłem – mówi Marc – dostaniesz w tyłek, mocno, trzy razy.

O Boże. Jęczę przeciągle.

– Mmmmmm.

– Raz. – Słyszę uderzenie po drugiej stronie telefonu i domyślam się, że Marc musiał uderzyć w coś dłonią.

Wyobrażam sobie pieczenie na swoich pośladkach.

– Dwa. – Kolejny klaps.

Gdyby nie knebel, dyszałabym teraz, wyobrażając sobie jego dłoń.

– Trzy.

O Boże, o Boże. Muszę się poruszyć. Muszę się dotykać, tam i z powrotem, udając, że to Marc mnie pieprzy.

– Przesuwam palcami po tych ślicznych czerwonych śladach na twoim tyłku. – Teraz głos Marca jest znacznie niższy niż zwykle i wyczuwam, że jest już naprawdę blisko. – A teraz, ponieważ bardzo mnie to podnieciło, wchodzę między twoje nogi i w ciebie, aż do końca.

Znowu jęczę w szalik i teraz nie umiem się już opanować. Pocieram kroczem o łóżko, wyobrażając sobie, jak Marc we mnie wchodzi. Boże, jakże chciałabym, żeby mógł to zrobić. Tam, gdzie powinien teraz być, czuję nieubłagany, gorący ból.

Wsuwam rękę między nogi i zataczam kółka palcami, jęcząc coraz głośniej. Tak bardzo go pragnę, a słyszę tylko jego ciężki, chrapliwy oddech przez telefon.

To dla mnie za dużo, nie wytrzymam dłużej.

– Mmm.

Szczytuję, próbując wykrzyczeć przez knebel jego imię, ale z moich ust wychodzi tylko piskliwy, nieartykułowany krzyk, od którego oddech Marca staje się jeszcze cięższy.

– Uwielbiam słyszeć, jak masz orgazm – jęczy Marc.

Całym moim ciałem wstrząsają dreszcze, od nóg, aż po piersi i szyję. Opadam bezwładnie na łóżko, ogłuszona rozkoszą. Chłodne powietrze muska moją nagą skórę.

– Wejdź teraz do łóżka – mówi Marc. – Możesz zdjąć knebel.

Rozwiązuję szalik i wspinam się na łóżko, zabierając ze sobą telefon. Padam wyczerpana na poduszkę, kładąc obok telefon.

– Kocham cię Marc. Tak bardzo za tobą tęsknię.

– Ja też cię kocham – mówi cicho Marc. – Zdejmij sweter i nakryj się kołdrą.

Robię to, czując, że oczy same mi się zamykają.

– Dobranoc, Sophio. Zadzwonię do ciebie znowu w przyszłym tygodniu.

Rozdział 43

Następnego ranka budzę się szczęśliwa i wypoczęta. I trochę sfrustrowana. Głos Marca przez telefon to lepsze niż nic, ale nie ma porównania z jego fizyczną obecnością. No i teraz czeka mnie agonia oczekiwania przez cały tydzień na chwilę, kiedy znowu usłyszę jego głos.

Ubieram się szybko i ruszam z powrotem do domu, gdzie na śniadanie tata karmi Sammy'ego miodem prosto ze słoika.

– Zrobię mu owsiankę do tego miodu – mówię, w duchu wzdychając nad stanem domu. – Nie wiem, jak mój tata to robi, ale od ubiegłego wieczoru, kiedy byłam tu po raz ostatni, zdążył wywrócić wszystko do góry nogami.

– Dzięki, skarbie – mówi tata. – Zjesz śniadanie?

Padam na krzesło przy stole i robię głupią minę do Sammy'ego.

– Ja się tym zajmę. Czy nie miałeś wrócić dzisiaj do pracy? – Spoglądam na poplamioną koszulkę i bokserki, które ma na sobie.

– Tak, zaczynam za jakąś godzinę. W każdym razie taki jest plan. Ale chętnie zostanę i pomogę ci trochę, Wiesz, miałaś wczoraj przedstawienie. Nie chcę, żebyś się przemęczała.

Śmieję się.

– Łatwiej zadbać o dom, kiedy ciebie w nim nie ma, tato. Chyba już to wiesz.

– Ale naprawdę wydajesz się trochę zmęczona, kochanie.

– Trochę. – Ziewam.

– Zawsze mogę zadzwonić po tę dziewczynę ze wsi. Charlene.

Sammy zaczyna zawodzić.

– Nie, nie, nieeee.

Kręcę głową.

– Sammy jej nie lubi. I nie możesz kazać jej sprzątać, a tu właśnie to trzeba zrobić. Idź do pracy. Powinieneś wrócić do normalnego życia.

– Wrócę do podwieczorku. Zadzwoń, gdybym był ci potrzebny wcześniej.

– Dobrze – mówię.

Kiedy tata wychodzi, odbieram Sammy'emu miód, myję go, przygotowuję mu śniadanie i sprzątam dom. Tata w jakiś sposób zdołał wymazać miodem nie tylko Sammy'ego, ale też szafki w kuchni, więc wycieram je i przebieram małego.

Później zabieram się do nauki nowego tekstu, który napisaliśmy z Leo do jednej ze scen. W niektórych recenzjach pojawiły się opinie, że postać grana przez Leo jest chwilami zbyt negatywna, więc zmieniliśmy trochę dialogi.

Sammy ciągnie mnie za nogę, kiedy próbuję zapamiętać nowe kwestie, a ja szybko dochodzę do wniosku, że nie dam rady nauczyć się niczego, kiedy on tu jest, pełza mi pod

nogami i szczebiocze, żeby zwrócić na siebie uwagę. Poza tym jeszcze nie wychodził dzisiaj z domu. Na pewno potrzebuje świeżego powietrza.

– Wygrałeś, Sammy. – Zamykam notatnik. – Chodź. Pójdziemy do parku.

Rozdział 44

Wracamy po południu – dom jest wysprzątany, a Sammy wykończony, bo spędził mnóstwo czasu w piaskownicy i na huśtawkach. Piję mocną kawę i resztkami sił przygotowuję spaghetti z pesto – jedno z ulubionych dań Sammy'ego.

Lubię sama robić makaron, ale dzisiaj nie mam na to ochoty. Na myśl o wałkowaniu ciasta z Sammym pod nogami czuję się jeszcze bardziej zmęczona.

Siadamy właśnie z Sammym do stołu, kiedy słyszę szczęk otwieranych drzwi.

Przerywam tarcie sera nad talerzem Sammy'ego i wołam:

– Jak było w pracy? – Bo słyszę, że tata rzuca swój pasek z kieszonką na pieniądze koło butów.

Ale w tej samej chwili dociera do mnie, że słyszę dwie pary stóp w przedpokoju i głos, który nie należy do taty.

– Śliczny dom, panie Rose.

Rozpoznałabym ten głos wszędzie.

Leo Falkirk.

Zrywam się z krzesła, kiedy tata z Leo wchodzą do kuchni.

Leo jest cały zakutany w swoją marynarską kurtkę. Jego opalona twarz i idealne białe zęby wydają się nie na miejscu w naszym skromnym wiejskim domku.

Jestem tak zaskoczona, że omal nie upuszczam tarki do sera.

– Leo. – Patrzę to na niego, to na tatę. – Co ty tu robisz?

– Jak się cieszę, że cię widzę, Sophio – mówi Leo, rozjaśniając pokój swoim szerokim, białym uśmiechem.

Sammy chwyta łyżkę i uderza nią mocno w stół, wyraźnie podekscytowany wizytą gościa.

Leo pochyla głowę, przechodząc pod drewnianą belką, i siada przy naszym stole, jakby jego obecność tu była najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem.

– Co na obiad? – pyta, unosząc zaczepnie brew. – Bo ładnie pachnie.

Patrzę pytająco na tatę.

– Leo był przed domem, kiedy podjechałem – mówi tata. – Więc zaprosiłem go, żeby z nami zjadł.

– Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co u ciebie słychać – mówi Leo, podnosi jedno z autek Sammy'ego i wprawia koła w ruch. – Nigdy jeszcze nie byłem w twoim rodzinnym domu. I pomyślałem sobie, może zajrzę do ciebie, a potem zabiorę cię do teatru.

Otwieram i zamykam usta, podczas gdy Leo pochyla się, żeby powąchać spaghetti z pesto na wielkiej patelni, którą postawiłam na środku stołu.

– Nie mogę się doczekać obiadu.

Gapię się na niego i sama nie wiem, czy mam być zła, czy zadowolona. Miło go

widzieć, ale jestem pewna, że Marc nie byłby zachwycony tą niespodziewaną wizytą.

W końcu jednak nie ma mowy, żebym się rozzłościła, bo Leo chwyta dwa widelce i zaczyna tańczyć nimi po stole na użytek Sammy'ego.

Widok Leo Falkirka, z tą jego kwadratową szczęką i potężnymi mięśniami bohatera kina akcji, jak zabawia się sztućcami, działa na moje poczucie humoru.

Chichoczę więc razem z Sammym.

– Miło cię widzieć, Leo.

– Wiem, że daleko mi do pana Blackwella – mówi Leo, odkłada widelce i opiera łokcie na stole. – Ale skoro nie może przyjechać, ja będę musiał ci wystarczyć.

– Chyba tak.

Tata siada przy stole.

– Dobrze, że masz jeszcze innych znajomych poza Markiem – mówi. – Cieszę się, że Leo do nas wpadł.

– Cóż, dziękuję, panie Rose. Ja też myślę, że to dobrze dla Sophii mieć takiego znajomego jak ja.

– Mów mi Mike.

Kiwam głową, nakładając im spaghetti.

– Cóż, miło, że decydujecie za mnie. No ale w końcu to nie tak, że nie mam własnego rozumu.

Porcje nie są zbyt duże, bo nie spodziewałam się Leo, ale i tak jedzenia jest dość. W sam raz. Ścieram ser nad makaronem, żeby było go jeszcze trochę więcej.

– Wygląda fantastycznie – mówi Leo, podnosi widelec i wbija go w sam środek talerza. Podnosi wielką górę makaronu, okręca go wokół widelca i ładuje naraz do ust.

– Przepyszne – mamrocze.

– W porządku – mówię. – Nie zrobiłam tego makaronu sama ani nic w tym rodzaju. No ale nie wiedziałam, że się tu pojawisz.

– A ja myślałem, że jako twój sceniczny partner będę mile widziany w twoim domu – mówi Leo, przeżuwając makaron.

– I jesteś – odpowiadam. – Tylko… tylko jestem zaskoczona, to wszystko.

– Mile zaskoczona?

– Zaskoczona. Nie wiem, jak będzie się z tym czuł Marc.

– Nie możesz pozwolić, żeby Marc rządził twoim życiem – mówi tata, ładując spaghetti na widelec.

– Nie robię tego – mówię. – Gdyby tak było, poprosiłabym Leo, żeby wyszedł. Ale kocham Marca, tato. I szanuję jego uczucia. To się nigdy nie zmieni.

Tata wbija wzrok w talerz.

– Czasami takie rzeczy się zmieniają. I gdyby tak się zdarzyło, mogłabyś trafić gorzej niż na takiego młodego człowieka jak Leo.

Oblewam się rumieńcem.

– Tato!

Leo uśmiecha się od ucha do ucha.

– W porządku, Mike. Z Sophią łączy mnie klasyczna miłość-nienawiść. To znaczy, ona kocha mnie nienawidzić. Ale wiem, że w głębi ducha mnie uwielbia.

– Boże. – Kręcę głową, ale nie potrafię powstrzymać uśmiechu. – Uwielbiam cię jako przyjaciela i nic poza tym.

Leo pstryka palcami.

– Więc jednak mnie uwielbiasz? To już jakiś postęp.

Unoszę jedną brew.

– Nie wstrzymuj oddechu.

Już mam włożyć do ust porcję makaronu, kiedy za oknem miga jakiś cień.

Upuszczam widelec.

– Co to było?

Zrywam się na równe nogi i omal nie krztuszę się makaronem.

Rozdział 45

Leo i tata odwracają się do okna.

– Sophia? – mówi Leo.

– Widziałeś to? – Wskazuję miejsce, w którym widziałam ten cień, ale teraz oczywiście już go tam nie ma. – To był… tam był jakiś cień. Widziałam. W ogródku. – Idę do okna i wyglądam na zielony trawnik. Ale nikogo tam nie ma.

– Jesteś pewna? – pyta Leo.

Kiwam głową, podbiegam do drzwi i otwieram je. Ostre zimowe powietrze szczypie mnie w policzki, kiedy wychodzę do ogrodu.

Staję na trawniku i obracam się wokół własnej osi. Potem sprawdzam krzewy i drzewa rosnące na brzegach ogrodu, ale tam też nic nie ma.

– Wszystko w porządku?

Odwracam się i widzę, że Leo wyszedł za mną na zewnątrz.

– Ktoś tu był – mówię. – Jestem tego pewna.

– Hej, wierzę ci. Chcesz, żebym rozejrzał się wokół domu?

– Zrobiłbyś to?

– Jasne.

Leo przeskakuje nad małą furtką i słyszę, jak chodzi, chrzęszcząc butami po zeschłych liściach.

– Skarbie? – Odwracam się i widzę tatę. – Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście. Nic się nie dzieje, tato. Tylko… widzę jakieś cienie, to wszystko. Leo to sprawdza. – Przykładam palce do skroni. – Nie ma się czym przejmować.

Tata kiwa głową.

– Kto nie widziałby cieni przy tych wszystkich ochroniarzach dookoła?

– Ochroniarze są tu po to, żebym była bezpieczna.

– A mnie się to wydaje przesadą – mówi tata i wraca do środka.

Kiedy drzwi się zamykają, dostrzegam coś białego, co trzepocze wśród liści na ziemi. Podchodzę do tego, pewna, że to jakiś śmieć czy coś w tym rodzaju. Ale z bliska widzę, że to kawałek papieru z napisanymi długopisem słowami.

PAIN się zemści.

Cofam się o krok, upuszczając papier na trawnik. Wiatr porywa go i unosi coraz wyżej, ponad drzewa, ponad dach domu, hen daleko.

Patrzę, jak biała kartka odlatuje, i czuję, że serce bije mi coraz mocniej i szybciej.

PAIN się zemści.

O mój Boże. Oni tu byli. W naszym ogródku.

Leo wraca, przeskakując przez ogrodzenie.

– Nikogo nie widziałem. Hej, wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Tu był liścik – mówię drżącym głosem. – Powinniśmy wrócić do środka.

Rozdział 46

Tato! Tato?! – wołam, wchodząc do domu. – Muszę zadzwonić do Marca.

– Po co? – pyta tata.

Waham się. Nie chcę mówić tacie o tym liściku. Za dużo musiałabym tłumaczyć.

– Powiedzieć mu, że widziałam coś w ogrodzie – mówię.

– To był tylko cień, skarbie.

– Muszę mu powiedzieć.

– A może ja do niego zadzwonię i mu o tym powiem? Wtedy będziemy się nadal trzymali warunków umowy.

– Dobrze, nie ma sprawy. Tak, ty mu powiedz. Powiedz, że potrzebujemy więcej ochroniarzy. Natychmiast.

Wieczorem podczas spektaklu boję się własnego cienia. Każdy ruch za kulisami albo na widowni sprawia, że podskakuję, mylę się i zapominam tekstu, więc Leo ciągle musi ratować sytuację.

Kiedy śpiewamy finałowy numer, jestem pewna, że widzę w pierwszym rzędzie Cecile i zaczynam po raz drugi śpiewać pierwszą zwrotkę.

Leo, prawdziwy profesjonalista, śpiewa ją razem ze mną i jakoś udaje nam się dobrnąć do końca piosenki. Wtedy dociera do mnie, że osoba siedząca na widowni nie jest nawet podobna do Cecile.

Mam omamy.

– Trudny wieczór – mówi Leo, kiedy schodzimy ze sceny. Obejmuje mnie opiekuńczo ramieniem i prowadzi za kulisy. – Hej, wiem, dlaczego jesteś taka nerwowa. Wszystko w porządku.

– Tak mi przykro, Leo. – Zakłopotana, podnoszę na niego wzrok. – Zasługujesz na lepszą partnerkę. Bardziej profesjonalną.

– Hej, hej. – Leo odwraca mnie do siebie; jego duże, ciężkie dłonie spoczywają na moich ramionach. – Jak mówiłem, wszyscy miewamy gorsze dni. To naturalne, że czasami nie potrafisz zapomnieć o życiu osobistym. Przecież jesteś człowiekiem. Wszystkim nam się to zdarza.

– Tobie się na razie nie zdarzyło – mówię, widząc, że zmierza ku nam Davina.

– Jasne, że zdarzyło – mówi Leo. – Wiele razy. Kiedy Sigourney rzuciła mnie dla tego Francuza, przez kilka tygodni myliłem się w tekście. Zdjęcia do tego filmu, który wtedy kręciliśmy, trwały dwa razy dłużej, niż planowano.

Robi mi się trochę lżej.

– Taki twardziel jak ty? Rozłożony na łopatki przez dziewczynę?

– Taki twardziel. Kiedyś zakochiwałem się co drugi tydzień. Ale wydawało mi się, że Sigourney to już miłość mojego życia. Była taka wyrafinowana. Miała klasę. Wszystko to, czego nie miałem ja. Ale nie było nam dobrze razem. Supermodelka i chłopak z deską surfingową. Kiepska kombinacja. No i ona nie była autentyczna. Bez makijażu, fryzury, ciuchów i tak dalej wyglądała zupełnie inaczej. Nie tak jak ty. Ty zawsze jesteś piękna.

Rumienię się.

– Och, daj spokój. Nikt nie puka do moich drzwi, żeby zaprosić mnie na okładkę „Vogue'a" albo do reklamy Chanel.

– A powinni.

– Czy Sigourney Seymour nie wyszła już za mąż? – pytam, żeby zmienić temat.

Bardzo taktownie, Sophio.

Na szczęście Leo nie wydaje się urażony ani zraniony.

– O, tak. Za tego faceta, dla którego mnie rzuciła. Louisa Dupois.

To akurat już wiem. Jen zawsze zna wszystkie plotki o celebrytach i dzieli się nimi ze mną, czy jestem zainteresowana, czy nie.

Dziwnie jest rozmawiać o kimś takim jak Sigourney Seymour, jakby była po prostu jakąś znajomą Leo. No, ale Leo sam jest już wielką gwiazdą. Czasami o tym zapominam, bo jest taki bezpośredni i naturalny.

– Sophio, Leo. – Davina podchodzi do nas, stukając obcasami, a ja przygotowuję się wewnętrznie na przykre słowa.

Nie mam nic na swoją obronę. Tym razem zasługuję na naganę. Ale wygląda na to, że to nie na mnie Davina jest zła.

– Kasy nie sprzedawały zwrotów… wyobrażacie sobie? Co wieczór mogliśmy sprzedawać dwadzieścia dodatkowych biletów.

– Dwadzieścia to nie tak znowu dużo – mówi Leo. – Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam… Jutro sobie z nimi pogadam. – Davina opuszcza ręce. – Ale wy dwoje byliście świetni. Kapitalny pomysł z tym powtórzeniem w ostatnim numerze.

– To nie było zamierzone – przyznaję. – Pomyliłam się.

– Cóż, zabrzmiało super – mówi Davina. – Dobrze jest, kiedy przedstawienie się rozwija. W końcu po co płacić za teatr, jeśli co wieczór można w nim obejrzeć dokładnie to samo? Podoba mi się, że trochę improwizujecie. Wszystko w porządku? – W jej bystrych oczach błyska coś, co przypomina troskę. Ale nie jestem pewna. Wyraz zatroskania nie pasuje do twarzy Daviny.

– Będzie – mówię, odwracając się do Leo. – Przeżyłam dzisiaj mały wstrząs, to wszystko.

– Wydajesz się wyczerpana.

W chwili, kiedy Davina to mówi, zdaję sobie sprawę, że naprawdę jestem wyczerpana. Całe ciało mam obolałe i zmęczone, od oczu po palce u stóp. Najchętniej położyłabym się teraz na podłodze i zasnęła. Na pewno mam podkrążone oczy.

– Tak – mówię. – Powinnam jechać do domu. Jutro muszę wcześnie wstać.

– Wcześnie wstać? – Davina mruga ze zdumieniem. – Kiedy wieczorami występuje się w takim musicalu, powinno się spać cały dzień. A w każdym razie do późna.

– Wiem. Ale w tej chwili rodzina mnie potrzebuje.

– Cóż, postaraj się załatwić im kogoś innego do pomocy. Ten musical też cię potrzebuje.

Rozdział 47

Przebieram się i idę z Leo do foyer rozdawać autografy. Powinnam się cieszyć, że czeka na nas tylu ludzi, ale potrafię myśleć tylko o tym, jak bardzo chce mi się spać. Mimo wszystko przyklejam do twarzy swój najpiękniejszy uśmiech. Kiedy Leo jest obok, da się wytrzymać. I naprawdę czuję się zaszczycona faktem, że ktoś chce dostać mój autograf.

Kiedy sięgam po bilety uśmiechniętej rodziny, Leo trąca mnie łokciem i podnosi telefon do góry.

– Hej. Dostałem wiadomość. Zgadnij od kogo?

– Nie mam pojęcia – mówię, odwracając się do rodziny, żeby im podziękować.

– Od Marca Blackwella – mówi Leo.

– Od Marca? – Mój długopis zatrzymuje się nad ostatnim biletem, ale zaraz opanowuję się i składam podpis. Potem podaję ręce tym ludziom i życzę im bezpiecznej podróży. Odwracam się do Leo. – Marc do ciebie napisał?

– Owszem. Prosi, żebym ci coś przekazał.

– Co? – pytam.

– Pisze, że podwoił ochronę wokół twojego domu. I mam ci powiedzieć, żebyś wracała do domu. Pisze, że jesteś zbyt wyczerpana, żeby rozdawać teraz autografy.

– Skąd on wie, że rozdaję autografy? – Obracam się dookoła, szukając Marca w tłumie.

– Wszyscy ci ochroniarze, których umieścił tu Marc. Mają cię na oku.

Parskam znużonym śmiechem.

– Nie mogę uwierzyć, że napisał właśnie do ciebie. Musiał być naprawdę zdesperowany. On… – Urywam nagle.

– Nie, możesz to powiedzieć – mówi Leo. – On mnie nie znosi, prawda?

– Tak daleko bym się nie posunęła – mówię. – Jest tylko bardzo opiekuńczy, to wszystko. I trochę zazdrosny. Kto by nie był? On nie może się ze mną spotykać, a ty tak.

– Rozumiem – mówi Leo. – Pewnie na jego miejscu też nie byłbym zachwycony. Ale on ma rację, że powinnaś jechać do domu. Wyglądasz, jakbyś miała się tu zaraz przewrócić.

– Nie mogę – mówię. – Ci wszyscy ludzie długo czekali, nie ma mowy, żebym sobie poszła, nie dając im autografów.

– Wykończysz się – mówi Leo. – Wiesz o tym, prawda?

– Chyba tak – mówię. – Ale w tej chwili naprawdę nie widzę innego wyjścia.

Kiedy wreszcie docieram do domu, jestem tak zmęczona, że ledwie trzymam się na nogach. Mam zapasowy klucz, ale kiedy próbuję wsunąć go do zamka, oczy same mi się zamykają.

Już chcę przyklęknąć, żeby moje oczy znalazły się na tym samym poziomie co dziurka, kiedy wyczuwam za sobą czyjąś obecność.

Włoski na moim karku podnoszą się lekko.

Powinnam być przerażona, ale nie jestem. Jestem zupełnie spokojna, bo wiem, kto to jest.

– Marc.

Rozdział 48

Nie odwracaj się. – Głos Marca jest władczy i głęboki i działa na mnie – jak zawsze.

– Mówię poważnie, Sophio. Patrz przed siebie. Uzgodniliśmy, że nie będziemy się widywali i zamierzam dotrzymać słowa.

Ręce zaczynają mi drżeć.

– A nie uważasz, że to też jest łamanie zasad? Rozmawiamy ze sobą dodatkowo, poza dozwolonymi rozmowami przez telefon, raz na tydzień. – Mój głos nagle stał się wysoki i zduszony. – Boże, to, że tu jest, tuż za mną… Robi mi się gorąco, mimo że powietrze jest lodowate.

– Nie. – Czuję, że Marc podchodzi bliżej, czuję ciepło jego ciała. – Ty zgodziłaś się nie widywać mnie. Ale ja mogę cię widywać, jeśli domaga się tego twoje bezpieczeństwo. – Słyszę uśmiech w jego głosie. – Więc nie łamiemy żadnych zasad. Przecież ty nie możesz mnie zobaczyć.

– No tak.

– Właśnie. Musiałem tu dzisiaj przyjść. Po tym liście w ogrodzie.

– Skąd o tym wiesz?

– Z wideo ochrony. Zawsze jestem blisko. Obserwuję cię. Nawet wtedy, kiedy o tym nie wiesz. Widziałem też nagranie z teatru, wyglądałaś, jakbyś miała się zaraz przewrócić ze zmęczenia. – Chwila ciszy. – Sophio, w tej chwili też widzę, że nie jest z tobą najlepiej. Spalasz się.

– Jestem zmęczona – mówię. – Ale mój jedyny problem jest taki, że brak mi ciebie. Rozpaczliwie.

– Rozpaczliwie… nie jest to słowo, którego użyłbym w tej chwili w stosunku do siebie. – Głos Marca przenika mnie i mam ochotę odwrócić się i rzucić mu na szyję. Z trudem się powstrzymuję. Chcę przywrzeć do jego ust, poczuć, jak obejmują mnie jego ramiona.

Klucz drży w moich palcach, więc pomagam sobie drugą ręką.

– Chcę, żebyś jutro wróciła do Ivy College – mówi Marc. – I tam odpoczęła. Opieka nad ojcem i gra w tym spektaklu to za dużo. Przyślę twojemu tacie pomoc.

Kręcę głową.

– Sammy nie lubi obcych. A tata potrzebuje mnie. Swojej córki. Kogoś, komu na nim zależy. Nie ma mowy, żebym go teraz opuściła.

Następuje długa chwila ciszy, w której słychać tylko miarowy oddech Marca.

– W porządku. Więc zostań tu. Ale przyślę ci tu pomoc, czy tego chcesz, czy nie. Teraz muszę już iść. – Głos Marca nabiera jeszcze większej głębi. – Być tak blisko ciebie… Z trudem nad sobą panuję.

– Nie odchodź. – Słowa wyrywają mi się z ust, pełne emocji. To, że tu jest, tak blisko… czuję się tak, jakby ktoś podał mi szklankę zimnej wody na pustyni.

– Muszę. Wiesz o tym.

– Tak. – Serce podchodzi mi do gardła. Przełykam z trudem. – Ja… tak. Tak mi ciężko. Tak bardzo ciężko. Ciągle mamy przed sobą jeszcze miesiące takiego życia.

– Chryste. Muszę odejść stąd natychmiast albo sprawy wymkną mi się z rąk. Idź teraz do domu, Sophio. I chcę, żebyś jutro spała do południa.

– Do południa? Sammy wstaje o szóstej. – Patrzę na zegarek. Już prawie pierwsza, co oznacza, że mam przed sobą jakieś pięć godzin snu.

– Tym nie musisz się przejmować. Ktoś się tu pojawi, żeby zająć się Sammym. I domem.

– Tacie się to nie spodoba – mówię. – Ciągle jest trochę nieswój.

– On to rozumie. Wszystko zostało już ustalone. Rozmawiałem z nim wcześniej. Mieliśmy plan B, na wypadek gdybyś zaczęła przewracać się ze zmęczenia. – Marc śmieje się cicho. – Przynajmniej co do jednego zgadzamy się z twoim tatą – że ty jesteś najważniejsza.

– Sammy trudno przyzwyczaja się do obcych…

– Osoba, która się tu jutro pojawi, nie jest obca. A teraz wejdź do środka i odpocznij trochę. Bez dyskusji.

– Marc…

– Powiedziałem, bez dyskusji. Cieszę się, że Leo był tu wcześniej.

– Ja… przyjechał bez zapowiedzenia.

– Słyszałem, co zrobił. Cień w ogrodzie. Że rzucił ci się na pomoc. – Słyszę trochę złości w ostatnich słowach i zdaję sobie sprawę, jak trudne musi to być dla Marca – wiedzieć, że Leo zajął jego miejsce. Serce mi się ściska.

– Doceniam to – mówię.

– Ja też. Może jednak jest dojrzalszy, niż mi się wydawało. I chce cię chronić. A tego właśnie w tej chwili potrzebujesz.

– Ale ja chcę, żebyś to tylko mnie chronił.

– Jeśli jednak nie mogę być przy tobie przez cały czas, cieszę się, że Leo może.

Słyszę, że Marc się cofa. Każda komórka mojego ciała chce za nim pobiec. Nie odwracam się jednak.

– Leo jest sławny. To gwiazda. – Głos Marca brzmi teraz twardo. – Ale w przeciwieństwie do mnie, jest lubiany. Kochany nawet. To złoty chłopiec Hollywood. Ludzie z PAIN mogą oczerniać mnie, ale nie tkną nawet włosa na głowie Leo. Gdyby cokolwiek mu zrobili, pożałowaliby tego. To dobra ochrona ciebie i twojej rodziny.

Słyszę w jego głosie cierpienie. Ból i frustrację. Czuję, jak bardzo się stara pokonać zazdrość i pozwolić, by inny mężczyzna przejął jego rolę.

– Marc?

– Tak, Sophio?

– To, że chcesz odłożyć swoje uczucia na bok… dla naszego bezpieczeństwa… Myślę, że jesteś wspaniały.

– Staram się, wierz mi. A teraz idź do domu, Sophio. Musisz się przespać. A mnie niewiele brakuje, żebym złamał zasady.

Rozdział 49

Następnego ranka budzi mnie szum odkurzacza i zapach świeżo parzonej kawy. Siadam na łóżku, nasłuchując Sammy'ego, ale poza tym w domu jest cicho.

Patrzę na zegarek.

Jest dziewiąta.

Rany. Naprawdę dobrze spałam tej nocy. Ale serce zaczyna mi bić szybciej, bo uświadamiam sobie, że Sammy mnie nie zbudził. Boże, mam nadzieję, że nic mu nie jest.

Wyskakuję z łóżka i biegnę do jego pokoiku, ale w łóżeczku go nie ma. Teraz serce wali mi już jak młotem – zbiegam ze schodów w piżamie i omal nie wpadam na Rodneya, który w jednej ręce trzyma odkurzacz, a w drugiej jakiś środek czyszczący.

– Och? – wydaję zdumiony okrzyk. – Rodney. Ty musisz być… Marc mówił… Gdzie jest Sammy?

– W salonie – mówi Rodney. – Bawi się.

Wpadam do salonu – Sammy włazi właśnie na nogi kolejnego gościa. Bardzo dobrze znanego.

Uśmiecham się szeroko.

– Jen.

– Soph. – Jen także się uśmiecha. Siedzi na kanapie i pomaga Sammy'emu wspiąć się na swoje nogi. Wygląda na luzie – co w jej przypadku oznacza lśniące włosy zwinięte w gładki kok z tyłu głowy i wąskie czarne dżinsy, które świetnie na niej leżą. – Marc zadzwonił do mnie i powiedział, że to nagły wypadek i że potrzebuje opiekunki do dziecka. Że przyda ci się pomoc. Szkoda, że sama do mnie nie zadzwoniłaś. Już dawno bym ci pomogła.

Siadam obok niej i pomagam Sammy'emu wdrapać mi się na kolana.

– Myślałam, że pracujesz. Nie chciałam…

– No, jasne. Tak, tak, znamy się nie od dziś. Nie chcesz, żeby ktoś się dla ciebie poświęcał. Ale czasami, Soph, wystarczy powiedzieć. Bo jeśli padniesz ze zmęczenia, nikomu na nic się już nie przydasz.

– Cudownie cię widzieć – mówię. – Naprawdę cudownie.

– Wzajemnie. Bo w ubiegłym miesiącu czułam się już tak, jakbym straciła moją najlepszą przyjaciółkę. Spektakl co wieczór? Kto pracuje siedem dni w tygodniu? Nawet Bóg ma jeden dzień wolnego.

– To tylko do marca.

– Wiem, wiem. A potem wielkie białe wesele i „żyli długo i szczęśliwie".

– Mam nadzieję. – Przypomina mi się wiadomość na kartce w ogrodzie i w moje serce wkrada się niepokój.

– Wszystko w porządku? – Jen przekrzywia głowę. – Masz dreszcze?

– Chyba zrobiło mi się zimno.

– Więc idź na górę i ubierz się, na litość boską. – Jen się uśmiecha. – Jest zima. Nie musiałaś pędzić tu na dół jak szalona. Sammy'emu jest tu ze mną dobrze. Naprawdę.

– Wiem. – Całuję małego w głowę. – Kocha cię prawie tak jak ja.

– Och, ty. – Jen żartobliwie uderza mnie w ramię.

– Jak dostałaś wolne w pracy? – pytam. – Twoja firma na pewno nie ma ci za złe, że zostawiłaś ich tak nagle?

– Och, nie ma problemu – mówi Jen. – Najmniejszego.

– Ale zwykle są tacy zasadniczy.

– Wiem. Ale teraz nic mnie to nie obchodzi. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo od wczoraj już dla nich nie pracuję.

Otwieram szeroko oczy.

– Nie? – Do głowy przychodzi mi szalona myśl. – Jen, nie rzuciłaś chyba pracy, żeby mi pomóc, prawda?

– Nie. To znaczy, wiesz, że zrobiłabym dla ciebie wszystko, ale tak się składa, że to był po prostu idealny moment, żeby odejść.

– Ale nic złego się nie stało, prawda? Nie wyrzucili cię ani nic w tym rodzaju? – Znam Jen. Nie boi się mówić tego, co myśli. Czasami wpada przez to w kłopoty.

– Nie! – Jen się śmieje. – Zakładam własną firmę. Wiesz, tę, o której mówiłam, odkąd skończyłam szkołę. Własną firmę PR.

– O rany. To brzmi fantastycznie. Ale nie powinnaś siedzieć teraz przed komputerem, szukając klientów czy coś w tym stylu?

– Nie muszę się z tym spieszyć, prawdę mówiąc. Ponieważ mam już jednego świetnego klienta.

– Och! Już? Kto to jest? Ktoś, kogo znam?

– Och, myślę, że o nim słyszałaś. Nazywa się Marc Blackwell.

Rozdział 50

Gapię się na Jen.

– Marc Blackwell jest twoim pierwszym klientem?

– Tak. Odwalę dla niego kawał dobrej roboty. I dla ciebie. Jesteś częścią jego spraw, na wypadek gdybyś o tym nie wiedziała. Ograniczenie szkód. Mam bezustannie czuwać nad twoją reputacją.

Śmieję się.

– No nie! Ale dziwnie. Ale… chyba fajnie. To znaczy, ty chyba jesteś zadowolona?

– Jestem w cholernej ekstazie. Mój pierwszy klient – gwiazda Hollywood. Bardzo ci dziękuję, Soph, że mi go przedstawiłaś. Nie mogę się doczekać, kiedy zabiorę się do pracy.

– Och, nic takiego nie zrobiłam – mówię. – Nie wynająłby cię, gdybyś nie była dobra. A obie wiemy, że jesteś bardziej niż dobra.

– Pochlebstwa, pochlebstwa.

– Ale skoro Marc jest twoim klientem, nie powinnaś teraz dla niego pracować?

– Cóż, jak mówiłam, nie ma pośpiechu. Bo sam poprosił mnie, żebym pomagała ci przez kilka tygodni. Płaci mi za to. Miły facet, prawda?

– Aż za bardzo – mówię. – Nie chcę, żeby ktoś się dla mnie poświęcał. Ty czy on, czy ktokolwiek inny. Ale… miło, że tu jesteś.

– Wiem. Będziemy się świetnie bawiły, prawda?

– Jak zawsze.

Po południu czeka mnie kolejna niespodzianka. Marc poprosił Denise, żeby przyjechała i dała mi w domu lekcje śpiewu.

Kiedy przyjeżdża, dom lśni czystością dzięki Rodneyowi. Sammy śpi mocno na górze, a Jen przegląda magazyn „Heat”. Rodney jest w ogrodzie i szoruje patio. Tata na górze wybiera rzeczy, które chce oddać organizacji charytatywnej.

– Denise! – Rzucam jej się na szyję. – Tak miło cię widzieć.

– Nie mogę pozwolić, żeby moja ulubiona uczennica została w tyle. – Denise wchodzi do domu i stawia swoją torbę na podłodze koło sterty zabłoconych adidasów i kaloszy.

– Och, jestem pewna, że masz wielu ulubionych uczniów – mówię, prowadząc ją do salonu.

– To prawda. I wszystkich bardzo, bardzo kocham.

– Rozgość się.

W salonie Jen podnosi głowę.

– Cześć, Denise. Co słychać?

– Świetnie, świetnie. A u ciebie?

– Fantastycznie.

Słyszę głośne kroki na schodach. Tata, oczywiście. Nikt nie robi tyle hałasu przy najprostszych czynnościach. Wchodzi do pokoju, trochę zdyszany.

Na widok Denise jego twarz się rozjaśnia.

– Wydawało mi się, że słyszę twój głos.

Denise też się do niego uśmiecha.

– Miło cię widzieć, Mike.

– Herbaty? – pyta tata.

– Chętnie – odpowiada Denise.

– Ja mogę zaparzyć. – Rzucam się stronę wysprzątanej pięknie kuchni. Jeśli wpuszczę tam tatę, mleko będzie na blacie, a cukier na podłodze.

– Nie, ja to zrobię – mówi Rodney, wracając z ogrodu w żółtych gumowych rękawicach, z wiadrem czarnej wody w ręce. – Ty, Sophio Rose, masz dzisiaj odpoczywać.

– Spałam do dziewiątej – protestuję.

– A powinnaś do południa – mówi Rodney. – Nie sądź, że nie widziałem, jak próbowałaś sprzątać dzisiaj w kuchni.

– Chciałam tylko zrobić porządek w szafkach…

Rodney grozi mi palcem.

– Nigdy więcej! To mój rewir. A teraz siadaj, ja przygotuję herbatę.

Rozdział 51

Przed lekcją Denise opowiada mi, co słychać w Ivy College. Tom i Tanya wyglądają na bardzo zakochanych. Słucham o tym i uśmiecham się szeroko, ale żałuję, że nie widziałam się z nimi od grudnia.

Wendy jest na bardzo zasłużonym urlopie, więc od strony administracyjnej jest trochę bałaganu. Marc ciągle prowadzi swoje zajęcia, a studenci dużo korzystają. To też budzi moją tęsknotę, nie tylko za Markiem, ale też za jego lekcjami. Tak wiele się od niego nauczyłam, w tak krótkim czasie. Kiedy uczył mnie przez tydzień, po incydencie z Gilesem Gettym, czułam, że naprawdę się rozwijam.

W końcu Denise rzuca prawdziwą bombę.

– Wiesz już pewnie, że Cecile została poproszona o odejście z college'u – mówi, mieszając herbatę.

– Słyszałam o tym.

– Jej przyjaciel Ryan nie jest z tego zadowolony. Ale nie miał odwagi się sprzeciwić. Snuje się tylko po college'u ze skwaszoną miną.

– Domyślam się, że odejście ze studiów musiało być dla niej okropnym rozczarowaniem.

– To prawda. Chcieliśmy zapewnić jej pomoc, a potem przyjąć ją z powrotem, ale… Och, biedna dziewczyna. Rodzina nie chce mieć z nią nic wspólnego, teraz, kiedy jest w ciąży i wyrzucono ją ze studiów. Więc… jest z nią coraz gorzej. Z tego co słyszałam, w ogóle nie ma żadnej pomocy.

Przygryzam paznokieć.

– To… okropna wiadomość – przyznaję. – W ciąży, całkiem sama. To musi być straszne.

– Tak. Musi. Ale proponowano jej pomoc. Nie przyjęła jej. Zwróciła się w inną stronę.

– W inną stronę?

Denise kiwa głową.

– Widziano ją w pewnych podziemnych klubach.

– Och. O tym też słyszałam. – Przygryzam paznokieć tak mocno, że w końcu odrywam kawałek.

– Od Marca? – Denise unosi jedną brew.

– Tak.

– On ma na nią oko. Wszyscy mamy. Ale jestem pewna, że wszystko dobrze się ułoży.

– Tak – mówię niepewnie.

– To co, zaczynamy lekcję?

Czuję się dziwnie, śpiewając pełnym głosem w domku taty, zwłaszcza że w tej chwili jest tu tyle ludzi. Ale potem pokonuję zakłopotanie i lekcja jest cudowna. Pod koniec wyciągam nuty, których nigdy wcześniej nie śpiewałam, a mój głos brzmi czyściej niż kiedykolwiek.

Po lekcji Rodney przynosi nam podwieczorek złożony ze świeżo upieczonych rogalików, konfitury domowej roboty i wiejskiego masła. Jen, tata, Denise i ja siadamy w salonie, karmimy Sammy'ego konfiturami, jemy rogaliki i pijemy herbatę.

Tata szybko zaczyna rozmawiać z Denise o muzyce lat sześćdziesiątych i wkrótce oboje zatracają się w świecie psychodelicznych melodii i wspomnień z dzieciństwa, podczas gdy reszta z nas bawi się z Sammym.

Patrzę na tatę, który rozmawia z Denise, i uświadamiam sobie, że pierwszy raz od świąt widzę go naprawdę uśmiechniętego. Ci dwoje naprawdę dobrze działają na siebie nawzajem.

Po podwieczorku tata pyta Denise, czy miałaby ochotę zostać dłużej i zjeść z nami kolację, a Denise chętnie na to przystaje.

– Nie masz zajęć w college'u? – pytam ją.

– Nie dzisiaj – mówi Denise. – Nie masz nic przeciw temu, żebym została, prawda, Sophio? Jeśli jest inaczej, możesz mi powiedzieć. Zrozumiem. Wiem, że spędziłam tu święta, ale wizyta nauczycielki w dzień powszedni to może trochę za dużo.

Jen parska śmiechem.

– Och, ona nie takie rzeczy robiła z nauczycielem.

– Jen!

– Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać.

– Zresztą i tak nie patrzę na ciebie jak na nauczycielkę – mówię do Denise. – Jesteś przyjaciółką.

– Miło mi to słyszeć – mówi Denise. – Bo ja też uważam cię za przyjaciółkę.

– Bardzo mnie to cieszy – mówię i coś przychodzi mi do głowy. – Tato, skoro Denise zostaje do wieczora, a Jen zajmie się Sammym, co byś powiedział, gdybym wybrała się do siostry Marca przed spektaklem? Znowu jest w szpitalu i pewnie czuje się tam bardzo samotna.

Nie dodaję, że skoro Denise tu jest, ja nie muszę już dotrzymywać mu towarzystwa.

Tata marszczy brwi.

– Sophio, w całej tej rozłące z Markiem chodzi o to, żebyś mogła zająć się sobą. Myśleć o sobie. Złapać dystans.

– To nie jest wina Annabel, że postawiłeś mnie w takiej sytuacji – mówię. – Nie pozbawiaj jej gości tylko dlatego, że nie masz pewności co do Marca.

Tata wzdycha.

– Zrozumiano. A więc dobrze. W porządku.

– Wrócę akurat, żeby przygotować kolację.

– O, na pewno nie. – Rodney zbiera filiżanki i spodeczki i ładuje je na tacę. – Gotowanie to teraz moja działka. Zarządzenie Marca. Ty masz wyluzować i skupić się na spektaklu.

– Choć raz Marc i ja zgadzamy się ze sobą – mówi tata.

Rozdział 52

Szpital to jedno wielkie zaskoczenie. Przede wszystkim, w ogóle nie wygląda jak szpital. Bardziej jak jakaś rezydencja z czerwonej cegły, z wysokimi kominami i rozległymi trawnikami i sosnami dookoła.

Annabel jest w zachodniej części Londynu, niedaleko od szpitala, do którego zabrał mnie Marc, kiedy Ryan dosypał mi narkotyków do napoju. Wejście na schody prowadzące do wspaniałych, otoczonych kolumnami drzwi, zajmuje mi pięć minut.

Wchodzę przez ciężkie czarne drzwi do jasnego, przestronnego holu. Na podłodze leży gruby dywan, a w powietrzu unosi się zapach cytryny i rumianku.

A na beżowej, skórzanej sofie koło recepcji czeka Annabel.

– Sophia! – Zrywa się i obejmuje mnie kościstymi ramionami. – Tak bardzo się cieszę, że przyszłaś! To… Miałam dzisiaj kiepski dzień.

– W takim razie tym bardziej się cieszę, że przyszłam – mówię. – Przyniosłam ci rogaliki. Opowiedz mi, co się stało.

Podaję jej wiklinowy koszyk przykryty ściereczką w czerwoną kratkę.

– Ty je upiekłaś? – pyta Annabel, zdejmując ściereczkę. – Cudownie pachną.

– Powinnam – mówię. – Ale nie. To Rodney je upiekł. Następnym razem przyniosę ci coś, co sama zrobię.

– Nie bądź niemądra. Wystarczy, że tu jesteś. Nic więcej nie musisz ze sobą przynosić. To taka ulga, że mogę już przyjmować gości. Przed świętami czułam się tu strasznie samotna.

– Wyglądasz naprawdę dobrze – mówię. – Przykro mi, że to nie był miły dzień.

Annabel kiwa głową i stawia koszyk na stoliku.

– Pójdziemy na spacer?

Spacerujemy z Annabel wśród zieleni. Cudownie jest czuć zapach ziemi i patrzeć na nagie gałęzie nad naszymi głowami. Czasami, w teatrze, czuję się zamknięta w betonowej pułapce. Miło wiedzieć, że są w Londynie miejsca, poza Ivy College, tak naturalne i pełne zieleni.

Przez chwilę idziemy w milczeniu. Potem Annabel mówi mi, dlaczego miała zły dzień.

– Dowiedziałam się dzisiaj rano, że odzyskanie syna nie będzie tak proste, jak mi się wydawało – mówi. – Tyle jest różnych wymogów. Papierów. Tyle rzeczy muszę udowodnić, rzeczy, których nie jestem w stanie udowodnić. Że zapewnię mu stabilny dom. Że będę miała przyjaciół, gotowych mnie wesprzeć. Że będę w stanie zarabiać. Ja… W tej chwili to wszystko wydaje mi się po prostu niemożliwe.

Koścista twarz Annabel zapada się w sobie. Teraz, w dziennym świetle, widzę

wyraźnie, że wygląda dużo starzej. Obejmuję ją ramieniem.

– Mogę ci pomóc – mówię. – Musiałam wypełniać mnóstwo dokumentów dla taty, kiedy byłam młodsza. Niektórzy z naszych sąsiadów uważali, że nie był dla mnie dobrym rodzicem. Więc ciągle sprawdzali nas różni ludzie.

– Jestem zaskoczona, że miałaś takie problemy – mówi Annabel.

– Trzymamy się razem – mówię. – Ale my też mieliśmy ciężkie chwile. I nie była to niczyja wina. Tata właśnie stracił żonę, kiedy to wszystko się stało. Był zrozpaczony. No, ale dość o mnie. Marc i ja pomożemy ci załatwić wszystko, czego potrzebujesz, żebyś mogła odzyskać syna.

– Ale Marc już tyle dla mnie zrobił. I ty też. Muszę stanąć wreszcie na własnych nogach, w tym rzecz. Muszę przestać polegać na innych i zacząć żyć.

– Annabel, walczysz z poważnym uzależnieniem. Właśnie teraz potrzebujesz pomocy innych. Wydobrzej najpierw, potem będziesz mogła oddać innym to, co dostałaś.

– Sama nie wiem, Sophio. W tej chwili wszystko wydaje mi się takie beznadziejne. Nie zasługuję na Daniela. On potrzebuje lepszej mamy niż ja.

Kręcę głową.

– Annabel, żadne dziecko nie powinno dorastać w rodzinach zastępczych. Jesteś dobrym człowiekiem. Miałaś tylko trudne życie, to wszystko. – Kładę dłonie na jej ramionach. – Jeśli potrafisz pobić heroinę, dasz sobie radę ze wszystkim – także z tym, żeby być dobrą matką. A Marc i ja będziemy ci pomagali przy każdym kroku, jaki zrobisz na tej drodze.

Rozdział 53

W tym tygodniu odwiedzam Annabel jeszcze kilka razy. Ma lepsze i gorsze dni. Na widok dokumentów, które musi wypełnić, rozpaczliwie chcę zadzwonić do Marca. Widziałam je już wcześniej i wiem, że to bardzo ważne, żeby Annabel miała własne mieszkanie, jeśli chce odzyskać syna. Więc muszę prosić Marca o pomoc.

W piątek prawie cały dzień siedzę w domu i szukam informacji w Internecie. Muszę poznać prawo dotyczące adopcji i praw rodzicielskich, żeby powiedzieć Marcowi, czego dokładnie potrzebuje Annabel. To ważne, żeby nic mi nie umknęło. Jeśli Annabel ma znowu zamieszkać ze swoim synem, musimy zrobić wszystko jak należy.

Wieczorem mam już długą listę dla Marca i jestem dobrej myśli, jeśli chodzi o przyszłość Annabel.

Rodney podaje nam pyszną lazanię na kolację, potem Sammy zasypia, a ja biorę gorącą kąpiel. Jen wróciła już do siebie, a tata jest w pracy, więc w domu panuje cisza i spokój – pomijając odgłosy z kuchni, którą sprząta Rodney.

Wycieram się właśnie ręcznikiem, kiedy słyszę dzwonek do drzwi.

– Ja otworzę! – woła Rodney.

Słyszę ciężkie kroki Leo w przedpokoju.

– Już idę! – wołam, wybiegając z łazienki, i pędzę w ręczniku do pokoju gościnnego.

Typowe dla Leo – stoi u stóp schodów, więc widzi mnie dokładnie, owiniętą białym ręcznikiem, z mokrymi włosami.

– Fajny strój! – woła. – Pomyślałem, że będziesz miała ochotę na towarzystwo w drodze do teatru.

– Zaczekaj w salonie. Zaraz schodzę.

Wkładam legginsy, uggsy i wielki różowy sweter, a potem schodzę na dół, ciągle wycierając włosy ręcznikiem.

Leo spoczywa na kanapie w podartych dżinsach i podkoszulce z zachodem słońca.

– O, moja ulubiona partnerka. Już wystrojona i gotowa do wyjścia – mówi Leo. – Pomyślałem, że dzisiaj po ciebie podjadę. Nie masz mi tego za złe, prawda?

– Nie – mówię, zgodnie z prawdą. – Miło będzie porozmawiać w limuzynie.

– Hej, jak się nazywają te żółte kwiaty w ogródku przed domem? Są fantastyczne.

– To żonkile – mówię. – Zawsze tu wcześnie zakwitają. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Żon-ki-le – mówi Leo. – Muszę to sobie zapisać. Chcę powiedzieć o nich mamie. Ona uwielbia żółte kwiaty.

– Bardzo łatwo je uprawiać – mówię. – Wystarczy wsadzić cebulki do ziemi, i to wszystko. Wschodzą co rok. Jeśli podoba ci się frontowy ogródek, powinieneś zobaczyć ten za domem. Jest cały w żonkilach.

– Rany. Mogę zajrzeć?

– Jasne.

Leo wychodzi za mną, a ja pokazuję jaskrawe żonkile kwitnące na każdej grządce. Wyglądają jak żółty dywan.

– Ładnie – mówi Leo.

– Prawda?

– Wiesz, będzie mi cię brakowało, kiedy nasz musical już zejdzie z afisza.

– To jeszcze całe wieki – protestuję. – Jesteśmy dopiero w połowie drogi.

– Coś mi się zdaje, że dla ciebie czas płynie wolniej niż dla mnie – mówi Leo, rzucając mi znaczący uśmiech. – Ale dobrze się bawisz, co? Przynajmniej czasami?

Uśmiecham się.

– Tak. Świetnie. Lubię z tobą pracować. I kocham grać. Tylko tak bardzo brakuje mi Marca.

– Ciągle za nim tęsknisz, co?

Kiwam głową.

– Bardziej niż kiedykolwiek.

– Szkoda. Ale gdybyś kiedyś poczuła się w nocy samotna, wiesz, gdzie mnie szukać.

Śmieję się.

– Hej, śmiej się, ile chcesz, ale gdyby nie Marc Blackwell, może już byśmy się zeszli. I czekałoby nas baśniowe „żyli długo i szczęśliwie”.

– Nie jesteś w moim typie. I interesujesz się mną tylko dlatego, że nie możesz mnie mieć.

– To nieprawda – oponuje Leo. – No. Może trochę prawda. Ale skąd wiesz, że nie jestem w twoim typie?

– Po prostu wiem.

– Zawsze mi się wydawało, że nie znoszę mrożonego jogurtu. A potem go spróbowałem. I teraz go uwielbiam.

– Wierz mi. Nie muszę cię próbować, żeby wiedzieć.

– Jesteś pewna? – Leo nachyla się nade mną tak, że nasze nosy prawie się stykają, i kładzie mi dłoń na ramieniu. – Bo może tracisz coś niezwykłego.

Zanim jestem w stanie zorientować się, co się dzieje, jego wargi dotykają moich, a jego ramiona obejmują mnie mocno.

Rozdział 54

Wydaje mi się, że od tak dawna nikt mnie nie obejmował ani nie całował. Od bardzo, bardzo dawna. I kiedy usta Leo przywierają do moich mocniej i zaczynają się poruszać, nie odsuwam się. Pozwalam, żeby to się działo, bo tak bardzo mi tego brakuje – brakuje mi bliskości. Czyjejś dłoni gładzącej moje włosy. Silnych ramion opasujących moje ciało.

Leo poczyna sobie coraz śmielej, rozchyla moje wargi, mocniej przyciska mnie do siebie. Muszę przyznać, że to przyjemne. Ale ja tęsknię za pocałunkami Marca. Nie chcę całować się z nikim innym.

Odsuwam się ze wstydem, którego wcześniej nie znałam.

– O Boże, Leo, nie chciałam, żeby do tego doszło…

Leo przeczesuje palcami gęste, jasne włosy.

– Prawdę mówiąc, ja też nie. Chyba musiałem spróbować.

– No i rzeczywiście spróbowałeś – mówię szeptem. Czuję się winna, zawstydzona, zmieszana. Hręci mi się od tego wszystkiego w głowie. – Boże, jak mogłam do tego dopuścić? Jak? Kocham Marca.

Odwracam wzrok od Leo i czuję łzy pod powiekami.

– Hej. – Leo kładzie mi uspokajająco dłoń na ramieniu. – To nie była twoja wina. To ja cię pocałowałem, pamiętasz? A ty od miesiąca nie widziałaś się ze swoim chłopakiem. Nie traktuj się tak surowo. Zamiast tego możesz potraktować surowo mnie. To moja wina. Powinienem zdawać sobie sprawę, jak się teraz czujesz.

Łzy spływają mi po policzkach.

– Muszę powiedzieć Marcowi, co się stało.

Leo kręci głową.

– Nie, nie musisz. To był wypadek, to wszystko. I to nie twoja wina. Powinienem był to przewidzieć. Jesteśmy przyjaciółmi i nikim więcej. Powinno to już do mnie dotrzeć. Powiedziałaś mi to ze sto razy.

– Nie mogę tego zataić – mówię, znowu bliska łez.

– Dla kogo chcesz to zrobić? Dla niego, czy dla siebie?

– On się dowie, Leo. Czy powiem mu o tym, czy nie. Tu wszędzie są kamery. – Ogarniają mnie mdłości. Nie chcę ryzykować, że dowie się o tym z drugiej ręki. Musi usłyszeć o tym ode mnie.

– Nie rozumiem, dlaczego to taka wielka sprawa – mówi Leo. – To był tylko przyjacielski pocałunek, nic poza tym. Całujemy się na scenie co wieczór.

Przygryzam paznokieć.

– Nie powinnam była do tego dopuścić.

– Więc przynajmniej powiedz mu, że to była moja wina. To znaczy, w końcu naprawdę była.

Kręcę głową.

– Powinnam była przerwać to szybciej.

– Cóż, jesteś tylko człowiekiem.

– Proszę, nie żartuj sobie.

– Przepraszam. Ale poważnie, to był tylko pocałunek, nic wielkiego. Czułem, że nie masz na to ochoty. Zachowałem się głupio. Jestem idiotą.

– Ty i ja, oboje jesteśmy. – Znowu zaczyna mnie mdlić. – Muszę go odszukać. Natychmiast.

– A co ze spektaklem?

Waham się.

– Chcesz zniknąć i zawieść tych wszystkich ludzi? – pyta Leo.

– Ja…

– Daj spokój, Sophio. Wiesz równie dobrze jak ja, że publiczność nie może czekać. Zapłacili, żeby cię dzisiaj zobaczyć.

Spuszczam wzrok na różowe kamienie pod moimi stopami.

– Czy to nie dziś przypada twoja rozmowa z Markiem?

Kiwam głową.

– Więc zadzwoń do niego po spektaklu – mówi Leo. – On pewnie nie wie nawet, co się stało. Może się tym nie przejmie. To znaczy, nic strasznego się nie stało. Pocałowałem cię, a ty się odsunęłaś.

– Dobrze – mówię, przygnębiona. – Masz rację. Publiczność nie będzie czekała.

Rozdział 55

W ciągu całego spektaklu jest mi niedobrze. Gram nieźle – jak na automatycznym pilocie, recytuję swoje kwestie i śpiewam piosenki jak robot. Ale przez cały czas doprowadzam się do szaleństwa, rozmyślając nad tym, w jaki sposób mam powiedzieć Marcowi, co się wydarzyło.

Kiedy kurtyna opada, jestem w rozsypce. Nie wiem, co mam czuć ani co mam myśleć.

A jeśli Marc mnie zostawi? Jeśli ode mnie odejdzie? Boże, nie mogę o tym nawet myśleć…

Biegnę prosto do garderoby i chwytam telefon. Ale oczywiście nie ma tu zasięgu, więc przebieram się i wychodzę na ulicę.

Ludzie wychodzący z teatru potrącają mnie, kiedy wystukuję numer Marca. Na szczęście, odbiera po pierwszym sygnale.

– Sophia? – Gos Marca jest niski. – Gdzie jesteś? Miałaś iść po spektaklu prosto do limuzyny.

– Muszę z tobą porozmawiać – wyrzucam z siebie słowa drżącym głosem. – Marc, coś się stało. Coś złego. Muszę się z tobą zobaczyć.

– Uspokój się, Sophio. Powiedz, co się dzieje. Nic ci nie jest? Coś ci się stało?

– Nie, to nic w tym rodzaju.

– To dobrze. – Słyszę w jego głowie ulgę. – Idź do limuzyny. Keith zawiezie cię do Ivy College. Tam się spotkamy.

Kiedy jedziemy z Keithem przez Londyn, zaczyna padać deszcz. Najpierw tylko mży, ale później wielkie krople uderzają w przednią szybę, zalewając ją strugami wody. Kiedy dojeżdżamy do college'u, nad miastem szaleje burza. Na niebie kłębią się szare chmury, a wokół wieżyczek college'u błyskają pioruny.

Biegnę w deszczu do akademika, ale kiedy docieram do swojego pokoju, jestem przemoczona do suchej nitki. Siadam na łóżku, drżąc z zimna, i wybieram numer Marca.

– Sophia.

– To ja.

– Przebrałaś się? Jesteś przemoczona?

– Skąd wiesz?

– Kamery systemu w college'u złapały cię, jak biegłaś przez parking, zakrywając płaszczem głowę. Pod akademikiem byłaś już całkiem mokra.

– Marc, muszę ci coś powiedzieć.

– Powiedz, że nic ci się nie stało.

– Nic mi nie jest.

– Więc o co chodzi?

– O Leo.

Cisza.

– Marc?

– Słucham.

– My… Leo i ja… pocałowaliśmy się.

Znowu cisza.

– To nie miało żadnego znaczenia – mówię szybko. – Naprawdę. Żartowaliśmy sobie i on nagle mnie pocałował, a potem ja się od niego odsunęłam. To nie miało dla mnie absolutnie żadnego znaczenia. Tęskniłam za tobą, brakowało mi ciebie i chyba przez to wszystko mi się pomieszało. Powinnam była odsunąć się od niego szybciej, ale… nie zrobiłam tego. Czuję się okropnie, Marc. Bo kocham ciebie. Tak bardzo cię kocham.

– Leo cię pocałował? – mówi powoli Marc.

– A ja mu na to pozwoliłam.

Marc wzdycha przeciągle.

– Sophio, ja to rozumiem.

– Naprawdę?

– Tak. To był… mój plan, w pewnym sensie. Kiedy twój ojciec zaproponował tę rozłąkę, chciałem, żebyś spędziła trochę czasu z Leo. Zobaczyła, że to jednak nie on jest odpowiednim dla ciebie mężczyzną. Lepszym. Takim, który da ci lepsze życie – bez medialnych kontrowersji, bez mrocznych tajemnic. Więc rozumiem. I kocham cię dość mocno, by pozwolić ci odejść.

Kręcę głową.

– Marc, proszę… proszę. Wysłuchaj mnie. Kocham ciebie, a nie Leo. Do niego nic nie czuję. Nie musiał mnie całować, żebym to wiedziała. Wiedziałam o tym już wcześniej. Wybacz mi, Marc. Proszę. Tak bardzo cię kocham.

– Wybaczam ci – mówi Marc. – Ale tu nie chodzi o wybaczenie. Chodzi o to, kto jest dla ciebie bardziej odpowiedni. Bo może Leo.

– Nie. Nie. Leo to przyjaciel. Nic poza tym.

Długa cisza.

– Musisz mi uwierzyć – mówię. – Proszę. Jesteś tylko ty. Zawsze byłeś tylko ty.

– Zaraz do ciebie przyjadę.

Ściska mnie w gardle.

– Marc?

Ale on już się rozłączył.

Natychmiast dzwonię do niego jeszcze raz – odbiera po drugim sygnale. To o całe dwa sygnały później niż zwykle.

– Marc…

– Sophio, już ci mówiłem… zaraz przyjadę. Nic więcej nie musisz wiedzieć.

– Marc, proszę, nie odchodź ode mnie.

– Uspokój się, Sophio – odpowiada łagodnie Marc. – Zaraz tam będę.

Znowu się rozłącza, a ja zostaję, z oczami wlepionymi w telefon.

Siedzę na łóżku i czekam, patrzę na drzwi i podskakuję jak rażona piorunem przy

najmniejszym dźwięku. Po pół godzinie słyszę pukanie do drzwi.

Wiem, że to Marc – nie tylko dlatego, że pukanie jest tak stanowcze, ale też dlatego, że ktokolwiek stoi pod drzwiami, wspiął się na schody tak cicho, że nic nie słyszałam.

Wstaję z łóżka.

– Zaczekaj. Nie otwieraj drzwi. – To głos Marca.

Waham się.

– Mam czekać?

– Tak.

Słyszę coś – cichy szelest, jakby ktoś zdejmował podkoszulek – i widzę jakiś ciemny, cienki przedmiot przesuwany pod drzwiami.

Pochylam się.

– Co to? – pytam.

– Opaska. Wstań z łóżka i załóż ją.

Jestem kompletnie zdezorientowana.

– Opaska? Ale… po co?

– Bo mamy umowę z twoim ojcem. Ty nie możesz mnie widywać. A ja zamierzam trzymać się umowy.

– Och.

Zsuwam się z łóżka i podnoszę opaskę. Pod palcami czuję miękki dotyk jedwabiu.

– Załóż opaskę. A potem otwórz drzwi.

Rozdział 56

Przełykam, podnosząc opaskę do twarzy. Ręce trochę mi drżą.

Wiążę opaskę na włosach z tyłu głowy i natychmiast wszystko spowija mrok. Słyszę własny oddech i czuję miękkość jedwabiu na drżących powiekach, ale w zasadzie na tym moje doznania się kończą. Jest ciemno.

Ostrożnie, małymi krokami, idę do drzwi i szukam ręką klamki. Zastanawiam się, jak wyglądam, w rękami wyciągniętymi przed siebie, zasłoniętą twarzą, potykająca się jak pijaczka.

Serce bije mi coraz szybciej, przesuwam rękami po chłodnym drewnie.

– Marc?! – wołam, kładąc dłoń płasko na drzwiach.

– Jestem tu. Założyłaś opaskę? – pyta Marc.

– Tak – odpowiadam. Przesuwam zasuwkę i szukam palcami klamki.

W końcu otwieram drzwi i cofam się trochę.

Przez chwilę wszystko jest całkowicie nieruchome i ciche; czuję tylko dotyk chłodnego powietrza na twarzy. Potem słyszę stuk skórzanych butów Marca na podłodze; jego dłoń chwyta moją i ciągnie mnie w stronę łóżka.

Mam ochotę rzucić mu się na szyję. Z trudem się powstrzymuję. Tak bardzo chciałabym przylgnąć do jego piersi i znowu poczuć się bezpiecznie. Ale nie mam pojęcia, co on w tej chwili czuje. Ani dlaczego tu jest. Boże, nie pozwól, żeby ode mnie odszedł. Proszę.

Marc sadza mnie na łóżku, a potem słyszę, że wraca do drzwi i zamyka je.

Cisza.

– Marc?

– Powinnaś zdjąć te mokre rzeczy – mówi Marc z jakiegoś niewiadomego mi miejsca w pokoju.

Słyszę, jak chodzi po pokoju, krąży wokół łóżka. Później słyszę jakiś szelest i czuję, że coś spada gdzieś koło mnie. Sięgam ręką i znajduję szlafrok.

– Włóż to.

– Marc, tak mi przykro. Tak, bardzo, bardzo mi…

– Natychmiast, Sophio – przerywa mi Marc. – Rozchorujesz się, jeśli będziesz siedziała tu w tym mokrym ubraniu.

Przebieram się, z trudem zdejmując mokre rzeczy. Otulam się ciepłym szlafrokiem.

– Przyszedłeś, żeby ze mną zerwać?

– Nie. Gdyby tak było, nie zawracałbym sobie głowy opaską. Nasza umowa obowiązuje, tylko jeśli jesteśmy razem.

Trochę podnosi mnie to na duchu.

– Kiedy wcześniej zadzwoniłaś… byłem po prostu pewny, że stało się coś okropnego.

Że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo. Więc czułem, że muszę cię zobaczyć. I upewnić się, że wszystko w porządku.

– Stało się coś okropnego – mówię szeptem. – Marc, tak bardzo, bardzo mi przykro.

– Niepotrzebnie. Widziałem nagranie. Z ogrodu. Widziałem, jak to się stało. On cię pocałował, a ty się odsunęłaś.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – mówię i zaczynam płakać. – Dlatego właśnie nie przerwałam tego pocałunku od razu. Ale teraz tak bardzo mi za siebie wstyd. Tak bardzo mi wstyd.

– Nie masz się czego wstydzić. – Głos Marca jest taki czuły.

– Wybacz mi, proszę.

– Mówiłem ci. Nie ma tu nic do wybaczania. To Leo powinien prosić o wybaczenie.

– Nie myśl o nim źle. On tylko tak żartował.

– Z moją przyszłą żoną.

– Wiem, ale naprawdę nie miał na myśli nic złego.

– Gdyby nie to, że zaopiekował się tobą po tym liściku w ogrodzie, wybiłbym mu z głowy takie numery raz na zawsze – warczy Marc.

– Marc…

Czuję go za plecami i słyszę jego oddech. Jest teraz bliżej. Włoski na moim karku jeżą się lekko, kiedy czuję, jak materac ugina się lekko pod ciężarem jego ciała. Potem wsuwa palce we włosy na moim karku i przesuwa nimi w górę szyi, aż do linii wilgotnych włosów. Wydaję długi, głuchy jęk.

– Ale najważniejsze, że jesteś bezpieczna – mówi Marc. – Tylko to się dla mnie liczy. I widzę, że wszystko jest w porządku. Teraz muszę już iść. Nie chcę złamać danego słowa.

Próbuję wziąć się w garść i nie zwariować na sam dźwięk jego głosu. Czuję jego cudowny zapach, drzewny i mydlany, i czuję za sobą ciepło jego ciała.

– Tak. – Mój głos drży niepewnie, równie niepewne są w tej chwili moje intencje. Nie chcę, żeby już poszedł. Każda komórka mojego ciała wyrywa się do niego.

Marc pochyla się nad mną tak, że teraz jego wargi niemal dotykają mojej szyi.

– Bądź silna, Sophio. Niedługo znowu będziemy razem.

Jego oddech jest chrapliwy, wiem, że dla niego to także jest trudne.

– Wystawiasz moją samokontrolę na ciężką próbę, wiesz o tym, Sophio Rose?

Czuję, że wstaje z łóżka, i słyszę, jak jego buty opadają na podłogę.

– Nie chcę, żebyś się teraz kontrolował – mówię zdyszanym głosem. – Boże. Nie chcę. Naprawdę.

– Ja nigdy nie łamię danego słowa. Nigdy.

Śmieję się i to trochę rozładowuje napięcie.

– Wiem. Jesteś dobrym człowiekiem. Bez względu na to, jak bardzo próbujesz temu zaprzeczać. Dziękuję. Dziękuję ci za to, że mi wybaczyłeś.

– Już ci powiedziałem. Nie mam ci czego wybaczać.

– Marc?

– Tak, Sophio?

– Nie wybiorę Leo. Wiesz o tym, prawda?

– Zazwyczaj. – Słyszę w jego głosie uśmiech. – Tylko postaraj się nie uwieść już

żadnej hollywoodzkiej gwiazdy, kiedy mnie tu nie ma.

– Nie uwiodłam Leo.

– Nie zrobiłeś tego celowo. Mnie też nie uwiodłaś celowo. Ale tak się stało.

– Ja cię uwiodłam? – pytam.

– Mniej więcej.

Wiem, że Marc się ze mną droczy, ale wchodzę w tę grę. Nie mogę się oprzeć.

– Zabawne. Zawsze myślałam, że połączyło nas obustronne uczucie.

– Obustronne? Ja chciałem się wycofać, pamiętasz?

– Pamiętam. Ale nie powiedziałabym, że cię uwiodłam.

– Nie, to rzeczywiście nie jest najlepsze słowo. Raczej oczarowałaś.

Chwytam poduszkę i ciskam ją w powietrze.

Marc się śmieje.

– Niezły strzał. No, a ty jak byś to nazwała? Ja czuję, że jestem pod twoim urokiem.

– Moim urokiem? – Teraz ja się śmieję. – Uważaj, żebym nie spadła z tego piedestału, na którym mnie postawiłeś. Jest bardzo wysoki.

– Nie dość wysoki. – Marc urywa i mimo opaski czuję, że patrzy na mnie.

– Chciałabym, żebyś mnie pocałował – rzucam nagle.

– Ja też bym tego chciał – mówi Marc. – Muszę iść. Dopóki jeszcze mogę.

– Kiepski dobór słów.

Słyszę skrzypnięcie drzwi.

– Wychodzę – mówi Marc. – Zanim zedrę z ciebie ten szlafrok, związę ci nogi w kostkach paskiem, przerzucę przez łóżko i zerżnę tyłek.

Przełykam.

– Dlaczego musiałeś to powiedzieć?

– Dlaczego tak trudno ci się oprzeć?

Jakiś dziwny dźwięk na zewnątrz sprawia, że szybko podnoszę głowę i odwracam ją w stronę balkonu.

– Co to było? – pytam.

Hałas przypominający brzęk przechodzi teraz w upiorny, jakby koci pisk, który odbija się echem po kampusie.

– Zostań tam, gdzie jesteś – mówi Marc. Czuję powiew powietrza, kiedy przechodzi obok mnie.

– Marc?! – wołam. – Co to jest?! – Ten dźwięk brzmiał tak, jakby wydało go jakieś zwierzę, ale ja mam nieprzyjemne wrażenie, że to coś innego… coś ludzkiego.

Nagle coś z głuchym stukiem uderza w okienną szybę i instynkt podpowiada mi, żeby zedrzeć z twarzy opaskę. Podnoszę ręce do twarzy.

– Zostaw tę opaskę – rzuca ostro Marc. – Sophio, zostań tam, gdzie jesteś – dodaje poważnie. – Dokładnie tam, gdzie jesteś.

– Marc, co tu się dzieje? – pytam szeptem.

Słyszę szelest zasuwanych zasłon.

– W tym pokoju będziesz bezpieczna. Ale ja muszę teraz zejść na dół i zająć się czymś.

Słyszę, jak Marc przechodzi przez pokój; chwilę później zatrzaskują się za nim drzwi.

Zdzieram opaskę, z trudem chwytając powietrze. Pokój ciągle jest nagrzany obecnością

Marca; czuję ten piękny, drzewny zapach, zapach jego ciała. Ale dzieje się tu coś złego i muszę się dowiedzieć co.

Z natury nie jestem zbyt ciekawska. Ale widok tych zasuniętych zasłon budzi we mnie coś więcej niż tylko ciekawość. Muszę zobaczyć, co Marc chce przede mną ukryć.

Podchodzę do okna i rozsuwam zasłony.

A widok okna ścina mi krew w żyłach.

Rozdział 57

Po szybie ściekają jaskrawoczerwone strugi.

O mój Boże. Chcę się odwrócić, ale zamiast tego podchodzę jeszcze bliżej i patrzę na długie ślady na szybie.

Krew. Jestem tego pewna. To, jak ta ciecz spływa po szkle, gęstniejąc po drodze… to nie może być nic innego.

Na szybie jest rozbryźnięta plama, z której spływają trzy długie strużki, jak krople deszczu.

Kiedy mój wzrok pada na balkon za oknem, odskakuję, wstrząśnięta. Na posadzce leży coś, co wygląda na kawał czerwonego mięsa, które lśni w świetle księżyca.

Przykładam dłoń do piersi i wtedy znowu słyszę ten głos – dziwne, skrzekliwe wrzaski, rozdzierające nieruchome nocne powietrze.

Wsłuchuję się w nie, a wtedy zaczynają się składać w słowa.

– Jesteś już martwa, Sophio Rose. M-A-R-T-W-A. Martwa.

To Cecile.

Ale chyba nie Cecile, którą pamiętam z Ivy College. Ta tu- taj jest pełna wściekłości i nienawiści. I wrzeszczy jak obłąkana.

Serce wali mi jak młotem. Jak ona się dostała do college'u?

Słyszę, jak trzaskają drzwi na dole i zdecydowane kroki Marca, który wyszedł na zewnątrz.

Wrzaski cichną i przechodzą w płacz. Słyszę głos Marca, a potem inne głosy – zapewne ochroniarzy. A potem zapada cisza.

Próbuję zrozumieć coś z tego, co właśnie usłyszałam. Moje oczy przyzwyczajają się do mroku i znowu spoglądam na kawał mięsa na balkonie.

I teraz wiem już, co to jest.

Widywałam je u rzeźnika w naszej wsi, choć nigdy żadnego nie kupiłam. To serce świni – wielkie i ociekające krwią. Cecile musiała rzucić nim w okno. Ale jak, na litość boską, dorzuciła je tak wysoko?

Drżę na całym ciele, a potem zaczynam dygotać i nie potrafię nad tym zapanować, nawet kiedy owijam się kołdrą.

Cecile naprawdę oszalała. W takim stanie może wyrządzić komuś krzywdę.

Dzięki Bogu, że przyszedł tu Marc.

Odzywa się mój telefon.

Na ekraniku widzę numer Marca, więc szybko chwytam komórkę.

– Marc?

– Sophia. – Jego głos trochę mnie uspokaja. – Jesteś ciągle w swoim pokoju?

– Tak. Nic ci nie jest?

– O mnie nie musisz się martwić. To ty jesteś ważna i twoje bezpieczeństwo.

– Twoje bezpieczeństwo także jest ważne.

– Ja potrafię o siebie zadbać. – Milczy przez chwilę. – Była tu Cecile.

– Wiem. Słyszałam ją. Jak się tu dostała?

– Ktoś musiał jej dać klucz. Moim zdaniem Ryan, ale nie chcę, żebyś się niepokoiła. Tu nic ci nie grozi. Ochrona nigdy nie wpuściłaby jej do akademika. Wszędzie tu są kamery. Ochroniarze już przy niej byli, kiedy zszedłem na dół. Ona jest w tej chwili bardziej zaburzona, niż ktokolwiek przypuszczał. Powinienem był to przewidzieć. Domyślić się.

– Ale jak? – mówię. – Kto mógłby przypuszczać, że tak jej odbije? Żeby przyjść tu w środku nocy, rzucać mięsem w okna… – Gryzę się w język.

– Więc widziałaś już balkon – mówi Marc.

– Tak – przyznaję.

– Mówiłem, żebyś nie odsłaniała okna.

– Wiem. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. To było silniejsze ode mnie. Jak była w stanie dorzucić to tak wysoko?

– Użyła katapulty. Ktoś przyjdzie jutro rano, żeby posprzątać balkon.

– Myślisz, że przekroczyliśmy limit naszych rozmów? Skoro to czwarta rozmowa jednego dnia?

– Nie rozmawialiśmy dłużej niż pół godziny. Więc to ciągle część tej samej rozmowy. Teraz posłuchaj uważnie. Dałem ochronie nowe hasło. Proś o nie zawsze, zanim zaczniesz rozmawiać z którymkolwiek z ochroniarzy albo wpuścisz któregoś do pokoju. – Przerwa. – Hasło brzmi „bluszcz”.

Jestem cała roztrzęsiona i przerażona.

– Zapamiętam.

– Tak bardzo nie chcę zostawiać cię teraz samej. Tak bardzo. – Słyszę w głosie Marca frustrację. – Ale całą noc będę w kampusie. Kilka kroków dalej, gdybyś mnie potrzebowała. Sophio…

– Tak, Marc?

– Jutro będą o tym pisały gazety.

– O czym?

– O Cecile. Kiedy odprowadzaliśmy ją do bramy, na zewnątrz czekali paparazzi. Od razu do nich poszła. Mają zdjęcia, na których stoję obok niej. Rozmawiam z nią. Możliwe, że osnują wokół tego jakąś bajkę.

– Och. – Nie mogę znieść myśli, że gazety będą oczerniały Marca, zwłaszcza jeśli będzie to miało jakiś związek z Cecile. Ale mogło być gorzej. Przynajmniej Marcowi nic się nie stało. – Cóż, chyba po prostu musimy przeczekać tę burzę, jeśli się rozpęta.

– Idź teraz do łóżka, Sophio. Będę nad tobą czuwał.

– Wiem.

Rozdział 58

Następnego ranka Keith odwozi mnie z powrotem do domu.

Siedzę w ogródku, czytając swoje kwestie, kiedy wpada Jen ze stertą gazet.

– Sophio, wiedziałaś o tym?

Podnoszę wzrok znad zmiętego tekstu. Jest zimno, więc siedzę w płaszczu, który dostałam od Marca, i wełnianych rękawiczkach.

Widzę ciemne, ziarniste zdjęcie Marca i Cecile, mocno powiększone, na pierwszej stronie.

– W pewnym sensie – mówię. – To znaczy, wiedziałam, że wczoraj w nocy zrobili Marcowi zdjęcia z Cecile. Wdarła się do college'u i Marc z ochroniarzami musieli ją wyprowadzić.

– Ale te artykuły… – Jen macha mi gazetami przed nosem.

Rzucam okiem na nagłówki.

– O Boże.

„Nowa kochanka Blackwella
Marc sypia z drugą studentką
Blackwell kobieciarz"

– Mogę zobaczyć te artykuły? – Biorę plik papierów z wypielęgnowanych rąk Jen i rzucam je na ogrodowy stolik. Potem zdejmuję rękawiczki i przerzucam gazety.

Wszystkie artykuły sugerują, że Marc jest ojcem nienarodzonego dziecka Cecile.

Wszystkie cytują też Cecile – musiała pójść do wszystkich gazet w Londynie.

– Całkiem jej odbiło – mówię. – Wiesz, już wcześniej kłamała w gazetach. Ale to coś innego, te historie to czysta fantazja.

– Może ktoś mi powie – mówi Jen – jak mam zadbać, żebyście mieli dobrą prasę, jeśli nikt mnie nawet nie informuje, że zrobiono takie zdjęcia?

– Do głowy by mi nie przyszło, że to będą takie historie – mówię.

– Oni są sprytni – mówi Jen, obejmuje się ramionami i drży w swojej cienkiej bluzce. – Można domniemywać, że to, można domniemywać, że tamto… Nic, o co można by ich pozwać. Ale dopilnuję, żeby ukazała się kontra. Wykażemy, że Cecile odmawia wykonania testu na ojcostwo.

– Cecile odmówiła wykonania testu?

– Jeszcze nie. Ale odmówi, kiedy zażądają tego prawnicy Marca. No, mam kupę roboty.

– Ale przecież nie zaczęłaś jeszcze pracować dla Marca – mówię. – Na razie zajmujesz się dzieckiem. Jen, to nie jest twój problem.

– Oczywiście, że jest. Jesteś moją przyjaciółką. Co sprawia, że twój chłopak to dla

mnie sprawa priorytetowa. Nie pozwolę, żeby ktoś go oczerniał. Mam parę godzin wolnego, od czasu do czasu. W tej chwili Sammy śpi, co pozwoli mi spędzić resztę popołudnia nad wyciąganiem odszkodowań.

– Czy tata już je widział? – pytam, wskazując gazety.

– Tych akurat nie – mówi Jen. – Ale na pewno coś rzuci mu się w oczy, kiedy będzie przechodził koło kiosku. Chyba powinnyśmy porozmawiać z nim, zanim się to stanie. Żebyś mogła mu powiedzieć, co się naprawdę stało, zanim uwierzy w te bzdury.

– Dobrze. – Wstaję z ogrodowego fotela i wsadzam gazety pod pachę. – Więc chodźmy.

Tatę znajdujemy przy drzwiach wejściowych. Zakłada akurat swój pasek na pieniądze.

– Już idziesz do pracy? – pytam, zadowolona, że wraca do swoich zajęć. To snucie się po domu ze smętną miną zupełnie do niego nie pasowało.

– Chcę wyrobić jak najwięcej godzin do weekendu.

– Dlaczego? – pytam.

Tata nagle koncentruje się całkowicie na swoim pasku.

– Och, mam nadzieję, że będę miał wolną sobotę. Wtedy mógłbym zaprosić gdzieś Denise.

– Denise? Mówisz o Denise z Ivy College?

Tata kaszle i nie patrzy mi w oczy.

– Tak. To nic wielkiego. Po prostu dwoje znajomych na kolacji.

– Idziecie na kolację? – pytam. – Na randkę?

– Nie nazwałbym tego randką – mówi tata i się czerwieni. – Po prostu Denise czytała o jakiejś restauracji w stylu lat pięćdziesiątych w Soho, więc… pomyślałem, że to sprawdzimy.

– To wspaniale, tato.

– To tylko kolacja. Nic więcej.

– Denise jest uroczą kobietą – mówi Jen. – I bardzo atrakcyjna, nie sądzisz, Sophio?

– Owszem – mówię. Ton głosu Jen nie uszedł mojej uwagi. – Bardzo atrakcyjna.

Tata drapie się w ucho.

– Wiem tylko, że to bardzo ciepła i przyjazna osoba. I lubię spędzać z nią czas.

– Cóż, bawcie się dobrze – mówię. – Należy ci się jakiś fajny wieczór.

– No to do zobaczenia, dziewczyny.

– Chwileczkę, tato – mówię. – Mogę z tobą porozmawiać? Dzisiaj w gazetach jest coś o Marcu. Zanim usłyszysz o tym od kogoś innego, chciałam ci powiedzieć, że to kompletna bzdura. Wszystko wyssane z palca.

– Ale co piszą?

Patrzę na Jen, a ona na mnie.

– Możesz sam zobaczyć – mówię i podaję mu gazetę.

Tata otwiera ją i zaczyna przesuwać oczami po tekście. Zawsze czytał dość wolno, więc upływa kilka chwil, zanim jego oczy robią się wielkie jak spodki. Kiwa głową.

– Tak mi przykro, kochanie.

– Tato, nie ma sprawy. Naprawdę. Te artykuły mnie nie martwią. Ja wiem, że to wszystko kłamstwa. Ale chciałam się upewnić, że znasz prawdę, zanim kupisz którąś z

tych gazet w kiosku.

Tata marszczy brwi.

– Soph, skarbie. Jesteś pewna, że to kłamstwa? Przecież… nie widziałaś się z Markiem od jakiegoś czasu. A on jest tu na zdjęciu, z tą dziewczyną.

– Zrobili to zdjęcie w Ivy College, wczoraj wieczorem. Byłam tam. Cecile wdarła się na teren college'u i rzuciła mi w okno świńskim sercem. Marc zszedł na dół i wyprowadził ją za bramę ze swoimi ochroniarzami. Wtedy właśnie zrobili mu to zdjęcie. Zobacz, możesz zobaczyć ich tam w tyłu. – Wskazuję postacie w czarnych uniformach.

– Rzuciła świńskim sercem w twoje okno? – pyta Jen, szeroko otwierając oczy.

– Wiem. Naprawdę jej odbiło.

– Więc ta Cecile była wczoraj w college'u? – pyta tata.

Kiwam głową.

– I ty też?

– I Marc tam był? – pyta tata powoli.

– Tak.

– I ty też?

– Tak.

Żołądek podchodzi mi do gardła, bo zaczynam się domyślać, co myśli tata.

Rozdział 59

Wy dwoje macie się nie widywać – mówi tata. – Taka była umowa.

– To prawda – mówię. – Ale… wczoraj wieczorem coś się stało i Marc przyjechał sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku. Właśnie wychodził, kiedy pojawiła się Cecile. Nawet go nie widziałam…

Tata zaciska usta tak mocno, że aż bieleją mu wargi.

– Naprawdę, tato. Trzymamy się zasad. Przez cały ten czas nie widzieliśmy się ani razu. Rozmawialiśmy tylko przez telefon. Właściwie wczoraj też tak było. To było jakby przedłużenie rozmowy telefonicznej. Jak mówiłam, nie widziałam Marca i…

– Cóż – mówi tata – można to łatwo rozwiązać. Koniec z telefonami co tydzień.

– Ale tato…

– Chcesz się trzymać umowy czy nie?

– Jeśli to oznacza, że dostaniemy twoje błogosławieństwo, to oczywiście, że tak.

– W takim razie od tej chwili żadnych telefonów. Jeszcze tylko kilka tygodni i znowu będziesz mogła go widywać. Na pewno wytrzymasz.

Na samą myśl o tym robi mi się słabo.

– Tato, proszę. Muszę mu przekazać pewne informacje… O Annabel. Ona potrzebuje naszej pomocy. Zaczekaj, tato. – Kładę mu dłoń na ramieniu. – Może pozwolisz mi zadzwonić do niego jeszcze tylko dzisiaj? Żebym mogła mu powiedzieć, co się stało?

Tata marszczy brwi.

– Możesz napisać do niego dzisiaj mail. Żeby przekazać mu ten nowy warunek. A potem koniec. Żadnych kontaktów, aż miną trzy miesiące.

I tata szybko wychodzi z domu.

– Dasz radę – mówi Jen. – Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje.

– To twoje zdanie.

– Ja to wiem. Już przetrwałaś ponad dwa miesiące. I przynajmniej możesz wysłać do niego dzisiaj mail. To lepsze niż nic, prawda?

Kiwam głową, bo dostrzegam promyczek światła w tunelu.

– Tak – mówię. – To chyba lepsze niż nic.

„Od: SophiaR”

„Do: MarcBlackwell”

„Drogi Marcu,

nie wiem, od czego zacząć ten mail. Więc zacznę po prostu.

Kocham Cię.

Kocham Cię tak bardzo, aż do bólu. Prawdę mówiąc, w tej chwili boli mnie wszystko. Boli mnie, że jesteś daleko. Boli mnie, że nie słyszę Twojego głosu, boli mnie myślenie o

Tobie.

Mam złe wieści. Tata zobaczył gazety i dowiedział się, że byłeś wczoraj wieczorem w Ivy College. I teraz mówi, że nie wolno nam do siebie dzwonić. Możemy tylko pisać, i tylko dzisiaj. Potem nic, aż do końca miesiąca.

Muszę powiedzieć Ci coś o Annabel. Przejrzałam dokumenty, które będzie musiała wypełnić, żeby odzyskać synka. Przede wszystkim ona potrzebuje stałego miejsca zamieszkania. Pomyślałam sobie, że może zamieszkałaby gdzieś blisko nas? Możesz załatwić jej jakieś mieszkanie? W ten sposób mogłabym pomagać jej przy dziecku.

Piszę to w ogrodzie, w płaszczu, który dostałam od Ciebie.

Leo uważa, że…”

Przerywam z palcami nad klawiaturą. Nie. Lepiej nie wspominać o Leo. Usuń, usuń, usuń.

„Niektórzy uważają, że taka rozłąka może być czymś dobrym. Ale mnie się ostatnio wydaje, że chyba zaraz umrę. Rozmowy telefoniczne pozwalały mi jakoś przetrwać ten czas, ale teraz, kiedy nawet one zostały nam odebrane, czuję się strasznie. Naprawdę strasznie. Proszę, odpisz jak najszybciej.

Kocham Cię,

Sophia”

Piszę tak szybko, że bolą mnie kciuki. W ogrodzie jest zimno, ale teraz rozumiem już, dlaczego Marc lubi niskie temperatury. Zimno pomaga mi coś czuć, bo poza tym jestem całkowicie odrętwiała.

Siedzę, gapiąc się na telefon, i czekam. Po dwudziestu minutach dociera do mnie, że mój mail ciągle czeka w skrzynce nadawczej, bo prawie nie mam zasięgu.

Wchodzę do domu, ale tu zasięg jest równie słaby. Jen bawi się z Sammym w salonie. Kiedy wchodzę, podnosi głowę.

– Wysłałaś mail?

– Brak zasięgu – mówię i pokazuję telefon. – Pojadę do Ivy College. Tutaj nigdy nie wiadomo, czy będzie zasięg.

– Jak masz zamiar się tam dostać? Nie mówiłaś czasem, że Keith ma dzisiaj rano wolne?

– Autobusem i pociągiem. Jak za dawnych czasów.

Rozdział 60

Kiedy idę brukowanymi uliczkami naszej wioski, mijając sklepiki warzywne i rzeźników, wreszcie łapię zasięg i mój mail zostaje wysłany.

Cały czas patrzę na telefon, czekając na odpowiedź. Przychodzi za pięć minut.

„Sophio.

Pozwól, że porozmawiam z Twoim ojcem i spróbuję mu to wytłumaczyć. I przeprosić.

Od lat próbuję namówić Annabel, żeby przeprowadziła się do Richmond. Kupiłbym jej dom, gdziekolwiek by zechciała. Problem w tym, że ona ciągle czuje się związana z ojcem Daniela i starymi znajomymi.

Ja też Cię kocham.

Marc"

Spiesznie wystukuję kolejną wiadomość, potykając się przy tym na kocich łbach.

„Nie, nie nie! Nie znasz taty tak jak ja. Jest zły o to, że widzieliśmy się wczoraj wieczorem, więc nie zmieni zdania. Tak po prostu musi być.

I nie sądzę, żeby Annabel chciała nadal żyć tak, jak do tej pory. Ale czuje się trochę przygnębiona tym, że musi polegać na innych. Chce być niezależna. Musimy znaleźć sposób, żeby dostała mieszkanie i nie czuła się jak ktoś, kto przyjmuje jałmużnę".

Mail od Marca przychodzi błyskawicznie.

„Re: Twój tata – nigdy nie przychodziła mi łatwo akceptacja takich rzeczy. Ale dla Ciebie zaakceptuję wszystko. Jeśli tak musi być, przetrwamy to.

Powiedz Annabel, żeby znalazła coś odpowiedniego dla siebie, a ja spróbuję to kupić. Może wybrać miejsce. A potem, kiedy już stanie na własnych nogach, może płacić mi miesięczny czynsz do czasu, aż spłaci mieszkanie. To nie będzie więc jałmużna, tylko pożyczka.

Nie przestajesz mnie zdumiewać. Sprowadzam Jen i Rodneya, żebyś się nie przemęczała, a Ty bierzesz sobie na głowę moją siostrę. Nie spalaj się tak.

Będę nad Tobą czuwał. Nad Twoim bezpieczeństwem.

Kocham cię,

Marc"

W autobusie i pociągu przez całą drogę wymieniam z Markiem maile. Piszemy o tym, jak bardzo nam siebie nawzajem brakuje, jak za sobą tęsknimy i jak się kochamy. I o naszym ślubie – i o tym, co będziemy robili podczas miodowego miesiąca.

Przy tych ostatnich mailach czuję coraz bardziej napalona i mam nadzieję, że inni

pasażerowie nie zauważą rumieńca na mojej twarzy i szyi. Kiedy piszę Marcowi, że wybieram się do Ivy College, dostaję odpowiedź niemal w tej samej chwili:

„Na pewno nie sama. Gdziekolwiek jesteś, wysyłam tam szofera. Keith nie pracuje dzisiaj rano, ale mam zastępstwo".

Odpisuję:

„Za późno. Jestem już na Liverpool Street. Teraz muszę wejść do metra, więc nie będzie zasięgu. Nie martw się, cały czas jestem w miejscach publicznych".

Przed wejściem do pociągu Central Line przychodzi mail od Marca:

„Mówiłem już, jak uwielbiam Pani niezależną stronę, Panno Rose? Przeszkadza mi czuwać nad Pani bezpieczeństwem. Wysyłam ochronę, która będzie miała Cię na oku. Bez dyskusji".

Uśmiecham się, czytając wiadomość. Kiedy wychodzę z metra na Oxford Street widzę, że Marc wysłał mi jeszcze jedną:

„Sophio,
gdzie teraz jesteś?"

Odpowiadam:

„Idę pieszo do Ivy College. Wszystko w porządku. Będę tam za dwadzieścia minut".

Marc pisze:

„Lepiej, żeby tak było. Bo inaczej zacznę Cię szukać. Ponieważ to ostatni raz, kiedy możemy do siebie pisać, postarałem się, żeby w Twoim pokoju coś na Ciebie czekało. Bo lubisz niespodzianki".

Przy tej wiadomości też się uśmiecham i prawie wchodzę na jezdnię. Zatrzymuję się jednak na chodniku i czekam na zielone światło. A potem odpisuję:

„To zależy jakie, Panie Blackwell, ale na razie wszystkie Pana niespodzianki były całkiem niezłe".

Marc odpowiada:

„Daj mi znać, kiedy dotrzesz do swojego pokoju".

Zaintrygowana wsuwam telefon do kieszeni i w tłumie ciągnącym przez miasto zmierzam do Ivy College.

Rozdział 61

Kiedy otwieram drzwi pokoju, widzę na łóżku duże czarne pudło przewiązane jaskraworóżową wstążką. Okno zostało dokładnie umyte, a na nocnym stoliku stoi wielki bukiet świeżych białych róż. Wyglądają dokładnie tak samo, jak róże w tamtym eleganckim hotelu, w którym mieszkałam kiedyś z Markiem.

Siadam na łóżku i piszę do Marca, że jestem na miejscu. Potem biorę pudło, pociągam za wstążkę i ostrożnie podnoszę wieko.

Całe pudło jest z tej grubej, drogiej tektury, która skrzypi lekko.

Na widok tego, co jest w środku, serce zaczyna mi bić szybciej.

Na fałdach miękkiego różowego jedwabiu leży łańcuch i para majtek z jakimś twardym, plastikowym przedmiotem wszytym w kroczu.

Co to jest?

Podnoszę łańcuch i majtki do światła i zaczynam się domyślać, o co chodzi Marcowi.

Mój telefon brzęczy; chwytam go szybko, żeby odebrać mail od Marca.

„Zdejmij ubranie. Wszystko, co masz na sobie. Włóż majtki. Potem usiądź na łóżku i czekaj na moje instrukcje”.

Spoglądam na majtki. Co to jest, ta plastikowa wkładka w środku? Pewnie zaraz się dowiem.

Zdejmuję płaszcz i resztę ubrania, skarpetki, buty, majtki, wszystko, i zakładam majtki z pudełka.

Teraz jestem właściwie naga. Kiedy się poruszam, majtki pocierają mnie w kroczu.

Siadam na łóżku, czując chłodny, twardy plastik między nogami. Jest to dość przyjemne.

Przychodzi kolejna wiadomość:

„Owiń łańcuchem nogi w kostkach. Nie chcę, żebyś uciekła”.

Patrzę na łańcuch leżący na jedwabiu i czuję przyjemne ciepło między nogami. Sięgam po niego, ale zatrzymuję rękę. Czy naprawdę mogę to zrobić, skoro Marca tu nie ma? Ciepło pełznące w górę moich ud mówi mi jednak, że mogę.

Biorę łańcuch i obwiązuję nim kostki. Czuję chłód metalu na skórze i słyszę, jak ogniwa pobrzękują, uderzając o siebie. Znowu odzywa się moja komórka.

„Wyjmij jedwab z pudełka. Pod spodem jeszcze coś jest”.

Rozdział 62

Sięgam do pudła i podnoszę różowy jedwab. Pod spodem jest sztywny czarny aksamit, a na nim długi łańcuch i mały kawałek czarnego drewna.

Wyciągam oba przedmioty z pudła i zaczynam zdawać sobie sprawę, że są czymś więcej, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka.

Przede wszystkim, są dwa. Jeden składa się głównie z łańcuszka zakończonego po obu stronach małymi srebrnymi liskami bluszczu. Metalowe listki są śliczne, ale kiedy dociera do mnie, że w rzeczywistości są to dwie małe klamry, przełykam ślinę.

Drugi łańcuszek ma pośrodku długi i wąski kawałek drewna i dwie klamerki na końcach.

Mój telefon znowu brzęczy. Biorę go do ręki.

„Chcę, żebyś przypięła liście bluszczu do piersi. Potem weź drewniane wędzidło i wbij w nie zęby. Zapnij klamrę z tyłu głowy”.

Odpisuję:

„Wiesz, jak się traktuje kobiety”.

Marc odpowiada:

„Nie pyskuj”.

Ręce drżą mi lekko, kiedy zaciskam klamerkę na sutku, tak jak kazał mi Marc. Piecze trochę, ale po kilku sekundach ból staje się do zniesienia.

Potem, ostrożnie, biorę drugą klamerkę i robią z nią to samo.

Au. Au, au, au.

Ta boli bardziej. Łzy napływają mi do oczu, ale podnoszę wędzidło, wkładam sobie w usta i zapinam z tyłu głowy. Wbijanie zębów w drewno pomaga mi oderwać trochę myśli od piekącego bólu sutków, ale tylko trochę.

Rozlega się kolejny sygnał i znowu dostaję wiadomość.

„Idź i obejrzyj się w lustrze. A potem usiądź na łóżku i czekaj”.

Wstaję ostrożnie i idę w stronę lustra z nogami skrępowanymi łańcuchem. Staram się iść tak, żeby nie poruszać piersiami, ale oczywiście nie udaje mi się to – przy każdym ruchu czuję w nich palący ból.

Podchodzę do szafy, otwieram ją i przyglądam się sobie w długim lustrze, czując przyjemne pulsowanie między nogami. Muszę przyznać, że to podniecające widzieć się w tej uprzęży.

Wracam na łóżko i wiem, że robię się wilgotna.

Przychodzi nowa wiadomość od Marca.

„Zaraz mnie poczujesz. Mój język będzie tak delikatny, że nie zdołasz tego znieść. Będziesz krzyczała, żebym dał ci więcej, ale nie dam. Nie dotykaj się sama. Jeśli to zrobisz, zostaniesz ukarana”.

Kiedy zaczyna docierać do mnie znaczenie tych słów, czuję wibrację między nogami. Plastikowa część majtek drży, a ja prawie podskakuję z wrażenia. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że Marc musiał włączyć majtki za pomocą pilota.

Jęczę, kiedy drżenie przesuwa się po moim kroczu, w górę i w dół, podniecając mnie coraz bardziej. Marc miał rację – to zbyt delikatne, chcę więcej, dokładnie tak, jak napisał. Chcę mocniej. Bardziej.

Telefon znowu się odzywa.

„Chcę, żebyś zacisnęła klamerki na sutkach”.

O rany. Czy rzeczywiście mogę zadawać sobie taki ból? Podnoszę ręce do piersi, kładę je na liściach bluszczu i przez kilka chwil zbieram się na odwagę. Klamerki już sprawiają mi ból, podejrzewam, że jeśli je zacisnę, przekroczę całkowicie granicę między przyjemnością a cierpieniem.

No dobrze. Dobrze, po prostu to zrób, Sophio. Marc lubi cię sprawdzać.

Ściskam odrobinę i czuję palący ból.

Au.

Ale jest to też przyjemne, a w połączeniu z wibracjami w kroczu zaczyna doprowadzać mnie do szaleństwa.

Telefon prawie wypada mi w dłoni.

– O Boże – słyszę własny głos, kiedy ból mija i czuję tylko drżenie między nogami. – Och, Marc. Nie zniosę tego. Proszę. Chcę więcej.

Zamglonym wzrokiem czytam kolejną wiadomość od Marca.

„Błagasz o więcej? Mam nadzieję. Bo zabawiłem się już twoją udręką i teraz chcę, żebyś szczytowała”.

Nagle wibracje stają się mocne i wyraźne. Tak bardzo, że zaczynam podrygiwać i wić się na łóżku, dyszeć i jęczeć.

– O Boże. Och, tak. Tak, tak, tak.

Kolejna wiadomość:

„Połóż się na brzuchu i przyciśnij piersi do materaca, tak żeby bolało. Teraz pozwalam ci się dotykać”.

Jęcząc przewracam się na brzuch i czuję, jak klamerki mocniej wpijają mi się w ciało. Miażdżą sutki, wywołując tak rozkoszny ból, że przesuwam się po materacu tam i z powrotem, żeby poczuć go jeszcze wyraźniej.

Chwytam majtki i przyciskam je mocno do krocza; chcę czuć wibracje tak mocno, jak to możliwe. Moje ciało staje się coraz bardziej rozpalone, aż przyjemność staje się nie do wytrzymania i w górę ud, aż do brzucha, obejmują mnie mroczne, pulsujące fale gorąca. Nie jestem w stanie wytrzymać dłużej.

– O Boże – jęczę, wciskając piersi głębiej w materac. – To już. Już.

Mam orgazm. Orgazm stulecia. Piersi i sutki przeszywają rozkoszne dreszcze, rozchodzące się po całym ciele.

Przez chwilę leżę na materacu, poddając się tym cudownym doznaniom. Potem telefon znowu brzęczy, więc sięgam po niego i odwracam głowę do ekranika.

„Żałuję, że nie mogę być teraz z tobą”.

Z trudem skupiam wzrok i zmuszam palce do pracy, ale jakoś udaje mi się wystukać odpowiedź.

„Nawet nie wiesz, jak ja żałuję”.

Rozdział 63

Wymieniamy wiadomości aż do północy. Kilka z nich wywołuje uśmiech na mojej twarzy. A inne budzą taką tęsknotę za Markiem, że prawie nie jestem w stanie jej wytrzymać.

Wiemy, że o północy musimy się pożegnać. Koniec wiadomości. Koniec telefonów. Ale zostało już tylko kilka tygodni. I znowu będziemy razem.

Po tym korespondencyjnym dniu czas zaczyna się wlec. Mijają godziny, potem dni.

Ból, który czuję w piersi, zaczyna słabnąć w miarę, jak mija marzec, ale ciągle nie śpię dobrze i nie mam apetytu.

Spektakle mijają jeden za drugim jak we mgle; śpię w domu taty do południa, a popołudniami siedzę z Jen i Sammym.

Ale potrafię myśleć tylko o Marcu. Powinnam czuć się szczęśliwsza z każdym dniem, ale im bardziej zbliżamy się do końca naszej rozłąki, tym wolniej zdaje się upływać czas. Jakby mijające dni były przykute do moich nóg, a ja musiałabym je za sobą ciągnąć.

Jen robi co może, żeby mnie rozweselić. Zabiera mnie z Sammym na wieś, żeby pokazać nam zwierzęta, albo na ekologiczny targ, żeby kupić składniki na sos do makaronu. Ale ja cały czas myślę tylko o Marcu.

Mrok rozpraszają tak naprawdę tylko te chwile, kiedy jeżdżę na Ebony.

To taka piękna klacz, a im bardziej się do mnie przyzwyczaja, tym bardziej wydaje się podekscytowana na mój widok. Opowiadam jej o wszystkim – o mojej tęsknocie za Markiem, o spektaklach, o tym, co dzieje się we wsi. Ebony pozwala mi mówić i tylko pochyla swoją piękną czarną głowę, żeby trącić moją rękę pyskiem.

Czasami na niej jeżdżę. A czasami tylko prowadzę ją przez pole, czując jej ciepłą obecność u mojego boku.

Lubię też spotykać się z siostrą Marca. Annabel jest coraz bliżej odzyskania praw do opieki nad synem. Jest coraz silniejsza i szczęśliwsza, co naprawdę podnosi mnie na duchu.

Odwiedzam ją, kiedy tylko mogę – przynajmniej kilka razy na tydzień, czasami częściej.

Pewnego ranka, w domu taty, pakuję akurat domową zupę i świeży chleb dla Annabel, kiedy dzwoni do mnie ktoś z jej szpitala w zachodnim Londynie.

Na zewnątrz leje deszcz, a ja z jakiegoś dziwnego powodu czuję, że ta pogoda źle wróży.

– Panna Sophia Rose? – pyta jakaś młoda kobieta, kiedy odbieram telefon.

– Tak – odpowiadam. – W czym mogę pomóc?

– Dzwonię z Tower Clinic. Rozumiem, że miała pani odwiedzić dzisiaj panią Blackwell.

– Tak. Prawdę mówiąc, właśnie wychodzę. – Spoglądam w okno i widzę, że limuzyna już czeka na chodniku przed domem. Krople deszczu uderzają w czarny lśniący dach i spływają po przyciemnionych szybach. – Czy wszystko w porządku?

Chwila ciszy.

– Pani Blackwell opuściła klinikę kilka godzin temu. Pomyślałam, że panią zawiadomię. Żeby nie przyjeżdżała pani na darmo.

– Opuściła klinikę? Ale… dlaczego?

– Otrzymała dziś rano złą wiadomość. Dotyczącą opieki nad dzieckiem. I opuściła klinikę. – Znowu cisza. – Czasami uzależnienie jest po prostu zbyt silne. Mniej więcej połowa naszych pacjentów wraca do dawnego życia.

Kręcę głową.

– Ale tak dobrze jej szło. Naprawdę wątpię, że się poddała. Nawet z powodu złej wiadomości. Jest pani absolutnie pewna, że opuściła teren szpitala?

– Sprawdziliśmy jej pokój. A także jadalnię i pokoje rekreacyjne.

Chwytam torebkę.

– Czy ktokolwiek sprawdził ogrody?

– Wydało się mało prawdopodobne, żeby została na zewnątrz w taką pogodę.

Słyszę walący w szyby deszcz i myślę o Annabel. Wiem, że miała wiele nawrotów. Może jestem naiwna, ale mimo wszystko nie wierzę, że się teraz poddała. Coś mi mówi, że ciągle jest w szpitalu. Schowała się gdzieś. Nieszczęśliwa i samotna.

– Zaraz tam przyjadę – mówię do telefonu, chwytając płaszcz i otwierając frontowe drzwi.

– Soph, jedziesz do Annabel?! – woła Jen z salonu.

– Tak! – odkrzykuję. – Do zobaczenia.

– Zjesz najpierw śniadanie? Rodney smaży naleśniki.

– Nie mam czasu! – wołam i wybiegam w deszcz. – Może zjem w szpitalu. Wrócę później.

Rozdział 64

W szpitalu na wszelki wypadek sprawdzam najpierw pokój Annabel. Nie ma jej tam, więc wychodzę na zewnątrz i zaczynam szukać jej w przyszpitalnych ogrodach.

Deszcz leje ciągle jak z cebra, więc po chwili jestem przemoczona do suchej nitki, ale nie dbam o to. Teraz liczy się tylko Annabel.

Szukam najpierw po wschodniej stronie budynku, a potem ruszam na zachód. Wysokie do kostki botki chlupoczą w rozmiękłym błocie, kiedy krążę wśród sosen i dębów.

Tyle razy chodziłyśmy tędy razem, że znam to miejsce dobrze, ale odszukać tu kogoś, zwłaszcza w taką pogodę, to już zupełnie inna historia.

Teren wokół szpitala jest ogromny i porośnięty gęstymi zimozielonymi drzewami i krzewami, co oznacza, że niewiele widzę.

W końcu potykam się o wielki, spękany głaz pod rozłożystą sosną. Kamień jest osłonięty przed deszczem przez gęste gałęzie powyżej, więc przysiadam na nim i po raz pierwszy, odkąd tu przyjechałam, zdaję sobie sprawę, że jestem słaba z głodu. Słyszę własny, zdyszany z wysiłku oddech.

Ale po chwili, kiedy zaczynam się przyzwyczajać do szumu deszczu, wiatr przynosi jeszcze inny dźwięk. Jakby zduszony, rozpaczliwy szloch.

Prostuję się na kamieniu.

To Annabel. Jestem tego pewna.

Zrywam się na równe nogi i ruszam w stronę tego płaczu, rozbryzgując błoto. Co jakiś czas zatrzymuję się i nasłuchuję.

Mniej więcej po pięciu minutach znajduję ją, zwiniętą w kłębek pod wielkim dębem. Jest całkowicie przemoczona i zapłakana.

Kucam obok niej i kładę jej dłoń na plecach.

– Annabel, to ja. Sophia.

Szloch przycicha trochę i Annabel odwraca głowę.

– Sophia – mówi cicho. – Jak mnie tu znalazłaś?

– Szukałam.

– Jesteś przemoczona – mówi Annabel. – Proszę, idź do środka. W tej chwili nie będzie ze mnie żadnego pożytku.

– Bez ciebie nigdzie nie pójdę – mówię. – Powiesz mi, co się stało?

Annabel znowu zaczyna szlochać. Przez pięć minut zanosi się niepohamowanym płaczem, od którego cała się trzęsie. Czekam, aż wyrzuci z siebie to wszystko.

Potem pytam łagodnie:

– Więc co się stało?

– Mówią, że nie dostanę Daniela – łka Annabel. – Nawet jeśli będę miała dom i wsparcie. Mówią, że oddadzą go do adopcji. Zmienią nazwisko. Ja nie będę miała nawet

prawa wiedzieć, jak się będzie nazywał. – Znowu zaczyna płakać, przyciskając kolana do piersi.

– Ale kto to mówi? – pytam.

– Dzisiaj zadzwonił do mnie pracownik opieki społecznej.

– Czy Daniel już jest adoptowany?

– Jeszcze nie. Ale będzie.

Wstaję i pociągam Annabel do góry.

– Będzie nie znaczy jest. Siedząc tu na deszczu, nikomu w niczym nie pomożesz. Wrócimy teraz do szpitala i wykonamy kilka telefonów.

– Ale to beznadziejne – mówi Annabel i chwieje się trochę, próbując utrzymać równowagę na błotnistym gruncie.

– Annabel. Jesteś matką. Nie wolno ci tracić nadziei. Musisz ją w sobie odnaleźć. Nie możesz się poddawać. Nigdy. Daniel cię potrzebuje, więc musisz być silna. Chodź. Wracamy do środka.

Rozdział 65

Wracamy do pokoju i Annabel przebiera się w suche rzeczy. Ja zdejmuję przemoczony płaszcz i wieszam go na grzejniku. Dżinsy też mam mokre; kleją mi się do nóg, kiedy pomagam Annabel włożyć szlafrok.

– Ty też musisz się przebrać – mówi Annabel. – Mam tu jakąś piżamę. Proszę. – Podaje mi zieloną, szpitalną piżamę ściąganą długim sznurkiem.

Kiedy się w nią przebieram, czuję, że mam dreszcze i jestem dziwnie rozpalona. Och, nie. Nie mogę się rozchorować. Mam wieczorem przedstawienie. Jutro też. I pojutrze. Zostały jeszcze tylko dwa tygodnie.

– Masz numer tego pracownika opieki społecznej, który do ciebie dzwonił? – pytam, starając się nie zwracać uwagi na pulsujący ból w głowie.

– Tak – mówi Annabel i bierze szpitalny notesik z zapisanym numerem telefonu i nazwiskiem. – To kobieta, Mandy Reynolds. Powiedziała mi, żebym zadzwoniła, kiedy będę miała już jakieś mieszkanie. Bo może wtedy będzie mógł mnie odwiedzać, jeśli zgodzą się jego nowi rodzice.

– Czy mogę do niej zadzwonić? – pytam. – Ty też będziesz musiała z nią porozmawiać. Żeby udzielić nam pozwolenia, na omawianie twoich osobistych spraw.

– Oczywiście – mówi Annabel.

– Nie sądzę, żeby mogli oddać Daniela do adopcji, jeśli ty nadal będziesz chciała odzyskać prawo do opieki nad nim – mówię. – Jeśli zasady nie zmieniły się diametralnie od czasu, kiedy mieszkałam z tatą, sporo czasu będzie musiało upłynąć, zanim zapadnie wyrok, a potem i tak będziesz miała prawo się od niego odwołać.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak – mówię i wystukuję numer na swoim telefonie.

Po drugiej stronie odzywa się nosowy głos.

– Mandy Reynolds.

Chrząkam.

– Dzień dobry. Mówi Sophia Rose. Jestem przyjaciółką Annabel Blackwell. Ona jest tu teraz ze mną. Dała mi pozwolenie na rozmowę o jej sprawach – czy chce pani, żeby to potwierdziła?

– Jeśli jest obok, to nie ma problemu – mówi Mandy.

Coś mi tu nie gra. Mandy z całą pewnością powinna sprawdzić, czy Annabel rzeczywiście udzieliła mi takiego pozwolenia. W końcu mogę być kimkolwiek.

– Dzwoni pani w sprawie Daniela, jak przypuszczam? – mówi Mandy.

– Owszem. Annabel martwi się, że chce go pani oddać do adopcji.

– To kolejny krok, biorąc pod uwagę aktualne miejsce pobytu pani Blackwell i jej sytuację.

– Ale ona dostaje w tej chwili dużo wsparcia – mówię. – I ja, i jej brat będziemy opiekowali się nią i Danielem.

– Jej brat, sławny Marc Blackwell – mówi Mandy. – Czytałam o nim. Zdaje się, że sam ma problemy. Trudno byłoby polegać na jego stałej obecności.

– Nie może pani podejmować takich decyzji na podstawie tego, co piszą gazety – mówię. – Cały czas wymyślają różne rzeczy. Tak czy inaczej, o ile wiem, Daniel nie może być na razie adoptowany. Annabel musiałaby zrzec się prawa do opieki nad nim permanentnie albo prawo to musiałoby zostać jej odebrane. Co, jeśli się nie mylę, nie zaszło.

– Oddała go pod opiekę…

– To nie to samo, co permanentne zrzeczenie się praw rodzicielskich – oponuję. – To sytuacja tymczasowa.

– Nie wiedziałam… Z tego, co wiem, pani Blackwell zrzekła się praw. – Słyszę po drugiej stronie szelest papierów.

– Czy podpisała druk P12? – Mam nadzieję, że Annabel nie zrobiła tego nieświadomie.

– Hm – mruczy Mandy. – Nie widzę tu tego formularza, ale… – Cisza i znowu szelesty. – Z tego, co wiem… Tak mi powiedziano… Proszę chwileczkę zaczekać. – Słyszę stuk odkładanego telefonu.

Znowu szeleszczą jakieś papiery, a potem Mandy podnosi telefon.

– Najmocniej przepraszam. To nieporozumienie. Ma pani rację, nie mamy druku P12. Daniel nie może więc na razie być adoptowany. Najpierw musiałby trafić do rodziny zastępczej. Jeśli pani Blackwell udowodni, że potrafi zapewnić mu stabilny dom i otoczenie, możliwe, że syn do niej wróci.

Czuję, że zaczynam się uśmiechać.

– Zapewni mu stabilny dom. Zapewniam. I to już bardzo, bardzo niedługo. Dziękuję.

– Cóż, do widzenia.

I połączenie jest przerwane.

Odwracam się do Annabel. Chcę ją uściskać, ale coś dziwnego dzieje się z moimi kolanami. Mam wrażenie, że są miękkie jak galareta. I zaczyna mi się kręcić w głowie.

A chwilę później wszystko ogarnia ciemność.

Rozdział 66

Budzę się w pokoju gościnnym u taty. Na zewnątrz ciemnieje niebo. Boli mnie gardło i głowa.

Siadam, zastanawiając się jak, na Boga, się tu znalazłam, a kiedy odkrywam kołdrę, okazuje się, że jestem we własnej piżamie.

Kiedy próbuję wstać, pokój zaczyna się kołysać, a pulsujący ból w mojej głowie narasta. Jest mi bardzo ciepło, jakbym miała gorączkę, a w ustach czuję dziwny metaliczny posmak.

Drzwi się otwierają i staje w nich Jen z Sammym na rękach.

– Wydawało mi się, że słyszę, jak wstajesz – mówi. – Próbujesz wyjść z łóżka, Sophio Rose?

– Chciałam…

– Mowy nie ma. – Jen stanowczym ruchem kładzie mi rękę na ramieniu i popycha mnie z powrotem na poduszkę. – Musisz leżeć w łóżku. Masz gorączkę. Lekarz mówi, że to przepracowanie.

– Jak się tu dostałam? – pytam. – Byłam u Annabel.

– Zemdlałaś. Marc wezwał karetkę, ale powiedzieli, że to tylko gorączka, więc lekarz uznał, że najlepiej będzie ci w domu. I przywieźli cię tu, a my się tobą opiekujemy.

– Marc był w Tower Clinic? – pytam, pocierając oczy.

– Nie. Ale Annabel zadzwoniła do niego, kiedy zemdlałaś, a on wezwał karetkę. Szaleje z niepokoju o ciebie. Dzwoni co pół godziny.

– A jak to się stało, że mam na sobie swoją piżamę?

– Sama ją włożyłaś, kiedy cię tu przywieźli. Nie pamiętasz?

Kręcę głową.

– Chyba naprawdę mam gorączkę.

– Lekarze powiedzieli to samo. Ale to nic poważnego. Wystarczy odpoczynek i dobre odżywianie.

– Jacy lekarze?

– Cóż, zajmuje się tobą dwóch prywatnych lekarzy – mówi Jen. – Doktor Holmes, prywatny lekarz Marca. I doktor Freeman. Przyjaciel Leo Falkirka.

– Leo? – pytam, zdezorientowana.

Jen kiwa głową.

– Leo był tu, kiedy przywiozła cię karetka.

– Naprawdę?

– Tak. Przyjechał cię odwiedzić. A potem przyjechała karetka i wszyscy się przeraziliśmy. O mój Boże, Leo jest… nie da się opisać, jak wygląda na żywo. Sama prawie zemdlałam, kiedy stanął na progu. – Jen uśmiecha się na to wspomnienie.

– Tak mi przykro, że was wszystkich wystraszyłam.

– Nawet o tym nie myśl. – Jen kręci głową. – Odpoczywaj i staraj się wrócić do zdrowia.

– Gdzie jest teraz Marc? – pytam.

– Wy dwoje macie umowę, pamiętasz? Nie chciał złamać słowa. Myślę, że zrobiłby to, gdyby twój stan był poważniejszy, ale… na razie się trzyma. Widać, że to dla niego tortura, ten czas, kiedy nie mógł cię widywać. Chciał wypełnić cały ten pokój kwiatami, ale lekarz powiedział, że lepiej nie. Na wypadek, gdyby twój stan wywołała alergia na przedwczesne pylenie.

Śmieję się.

– Ja, alergia?

– Wiem. Tak czy inaczej, Leo zaordynował mnóstwo zdrowego jedzenia zamiast kwiatów, więc kuchnia jest wypchana po brzegi. Zupy. Organiczne warzywa. Świeże ciemne pieczywo. Świeżo wyciskany sok z pomarańczy. Całe mnóstwo takich odżywczych rzeczy. Marc był chyba pod wrażeniem.

– Marc pod wrażeniem Leo? – Unoszę jedną brew. – To byłaby duża zmiana.

– Marc rozumie chyba, że obu im zależy na tym, żebyś wyzdrowiała.

– Zaczekaj. – Próbuję znowu usiąść, ale jedno spojrzenie Jen odwodzi mnie od tego zamiaru. – Czy oni obaj tu byli?

– Zgadza się. – Jen przenosi Sammy'ego z jednego biodra na drugie. – Obaj. Marc szalał z niepokoju. Niewiele brakowało, a złamałby obietnicę, jak sądzę. Ale był silny. A Leo… cóż, mailował do różnych homeopatów i ludzi od akupunktury i próbował znaleźć coś, co może ci pomóc. Jest słodki. Naprawdę słodki.

– Tak, to… Jen? Nagle się tak rozmarzyłaś…

– Tak? Cóż… rozmawialiśmy z Leo całe wieki i naprawdę się polubiliśmy…

– Nie dziwi mnie to – mówię z uśmiechem. – Czy tata wie, że Marc wezwał dla mnie karetkę? I że wysłał mnie do domu?

– Tak – mówi Jen i przerywa. – To chyba pomogło twojemu tacie zobaczyć Marca w innym świetle. Zobaczyć, jak bardzo mu na tobie zależy.

Siadam nagle na łóżku.

– O Boże, która godzina? Mam dzisiaj spektakl.

– Wszystko w porządku, Sophio. Davina wie, że jesteś chora. Stać ich na to, żeby odpuścić parę przedstawień.

– Ale…

– Bez dyskusji. Masz leżeć w łóżku przez kilka dni, to zalecenie lekarza. Jeśli tego nie zrobisz, rozchorujesz się bardziej i pewnie w ogóle nie będziesz mogła już występować w tym musicalu.

– Nie znoszę zawodzić ludzi.

– Wiem. Ale w tej chwili niewiele możesz zrobić. Ludzie to zrozumieją. – Jen podnosi Sammy'ego trochę wyżej. – Zabiorę teraz Sammy'ego na mały spacer przed snem. Robi się niespokojny. Rodney tu jest. I twój tata też. Ucieszy się, kiedy powiem mu, że się obudziłaś.

Ziewam.

– Jen, która jest godzina?
– Szósta. Jesteś głodna? Na dole jest fura jedzenia.
– W porządku, wezmę sobie coś…
– Nic podobnego. – Jen kręci głową. – Poproszę Rodneya, żeby ci coś przyniósł.

Rozdział 67

Kilka kolejnych dni spędzam w łóżku, patrząc, jak za oknem budzi się wiosna. Dziwne uczucie, nie mieć do roboty nic poza odpoczywaniem. Chyba nigdy dotąd nic takiego mi się nie przydarzyło. Ale lekarze i wszyscy inni nalegają, więc staram się jak mogę – choć czasami mam straszną ochotę zejść na dół i pobawić się z Sammym albo coś ugotować.

Po południu drugiego dnia schodzę na dół na miękkich nogach i idę do kuchni.

Jen jest z Sammym na spacerze, tata jest w pracy, więc w domu zostaliśmy tylko Rodney i ja.

– Jak się czuje pacjentka? – pyta Rodney.

– Dobrze, tylko… szkoda, że nie mogę porozmawiać z Markiem. Powiedzieć mu, że czuję się lepiej.

– Jak wam idzie rozłąka? – pyta Rodney.

– Okropnie – mówię z uśmiechem i podchodzę do czajnika. – Ale to już niedługo. Herbaty?

– Ty, Sophio Rose, posiedzisz sobie tutaj, a ja zrobię herbatę.

– W porządku. – Wzdycham i niechętnie zajmuję miejsce przy stole.

– A więc – mówi Rodney, napełniając czajnik wodą. – Ile wam jeszcze zostało… jakiś tydzień?

– Coś koło tego.

– On bardzo za tobą tęskni – mówi Rodney.

– Mam nadzieję.

– Nigdy jeszcze nie widziałem Marca w takim stanie. – Rodney uśmiecha się do mnie. – Zmieniłaś go. Na lepsze. Ale to sprawia mu ból.

– Nie chcę, żeby tak było.

– Oczywiście, że nie.

Uśmiecham się.

– Chciałabym już z nim być.

– Niedługo będziesz – mówi Rodney. – Ostatni tydzień przeleci błyskawicznie.

– Mam nadzieję.

Czas nie przelatuje błyskawicznie, ale jednak powoli mija. Czy raczej wlecze się noga za nogą.

Po trzech dniach lekarze mówią, że wydobrzałam na tyle, by wrócić na deski teatru. Miło znowu stać na scenie z Leo. Jestem szczęśliwa, że znowu mogę występować, spektakle ciągle przyciągają tłumy. Ale ostatnie dni ciągną się trochę, zwłaszcza wieczory wloką się bez końca.

Myślę o Marcu bezustannie. Do rana nie mogę zasnąć, rozmyślam i żałuję, że nie możemy być razem.

Za dnia robię wszystko, żeby zająć się czymś innym.

Jeżdżę na Ebony po świeżo zazielenionych polach; spędzam też sporo czasu z Annabel. Oglądam z nią mieszkania i domy i pomagam jej myśleć o przyszłości.

Annabel naprawdę bardzo chce pracować i samodzielnie się utrzymywać, ale nigdy dotąd nie miała pracy, więc napisanie CV sprawia jej trudność. Kilka muzeów i galerii zaoferowało jej jednak bezpłatne zajęcia i Annabel zdecydowała się skorzystać z propozycji jednego z nich, Tate Modern. To już jakiś początek.

Widzę, jak z każdym dniem Annabel jest silniejsza i bardziej pogodna. Wiem, że będzie dobrą mamą. A Marc będzie jej w tym pomagał. No a ja z każdym dniem jestem bliżej chwili, w której znów będziemy razem.

Rozdział 68

Z jakiegoś powodu w przeddzień ostatniego przedstawienia pogoda wariuje i nagle robi się nieprawdopodobnie ciepło. Leo chce mnie zabrać do ogródka na dachu swojej ulubionej meksykańskiej restauracji.

– Będziesz zachwycona, Sophio – mówi. – W ogródku są osiołki ze słomy i wszędzie wiszą czerwone lampki. No i jest stamtąd najpiękniejszy widok na Londyn. Och, i czy mówiłem ci już, że podają tam obłędne margherity?

– Kilka razy.

– Och, daj spokój. Chyba już kończą ci się wymówki. Czy przyjaciel nie może zaprosić przyjaciółki na coś do jedzenia?

– Po tym co się stało… po tym pocałunku… Nie chcę obrazić Marca – mówię.

– Pogadaliśmy sobie z Markiem, kiedy byłaś chora. Powiedziałem mu, jakim byłem idiotą. I jak bardzo cenię sobie twoją przyjaźń. I myślę… może on nigdy nie będzie za mną przepadał, ale też nie chce, żebyś straciła przyjaciela. Widzi, że bardzo cię lubię. I nie chce, żebym zniknął z twojego życia.

– Tak powiedział?

– Mniej więcej. W każdym razie kiedy zobaczył, jak dobrze dogaduję się z twoją przyjaciółką Jen, przestał się obawiać, że zechcę wtargnąć na jego terytorium.

– Jen mówiła mi, że rozmawialiście.

– Tak? – Leo się uśmiecha. – Naprawdę ją polubiłem. Mógłbym nawet zostać w Londynie trochę dłużej, gdyby zechciała się ze mną umówić. Dla niej warto byłoby znosić to okropne angielskie jedzenie. A skoro już mowa o jedzeniu… idziesz na tę kolację czy nie?

– Naprawdę myślisz, że Marc nie ma nic przeciwko naszej przyjaźni?

– Tak. Naprawdę. To znaczy, sam tak powiedział.

– No dobrze. Chyba rzeczywiście skończyły mi się wymówki. I prawdę mówiąc, miło byłoby się dzisiaj trochę rozerwać. Czas płynie tak wolno. Nie mogę się już doczekać jutra. Jeszcze tylko jedno przedstawienie i znowu zobaczę Marca.

Pół godziny później jestem już na uroczo chaotycznym tarasie na dachu meksykańskiej restauracji, pełnym kapeluszy i kaktusów. Popijam zimną margheritę, oglądając wraz z Leo zachód słońca nad Londynem.

Nie można nie zauważyć, jak przystojny jest Leo. Wszystkie kobiety w restauracji wodzą za nim wzrokiem.

– Doskonała margherita, co? – pyta Leo, pociągając łyk zielonego płynu ze swojego kufla.

– Naprawdę dobra – zgadzam się i też upijam łyk.

– Pomagam ci spędzić miło czas?

– Boże, jestem okropna, prawda? – mówię. – Jak ty ze mną wytrzymujesz?

– Cóż. Fakt, że jesteś taka ładna, trochę pomaga.

Rumienię się.

– Jestem pewna, że znasz wiele dziewczyn ładniejszych ode mnie.

– Nie. Ty jesteś ładna na zewnątrz i od środka. A takich dziewczyn jest niewiele. Marc to szczęściarz.

– Byłam taka smętna przez ostatnie miesiące. Przepraszam.

– Nie było tak źle – mówi Leo, przyjmując miseczkę nachos od kelnerki. – Ale obiecaj mi, że po tym musicalu będziemy w kontakcie. Choćby tylko po to, żebym mógł widywać tę twoją śliczną przyjaciółkę.

– Dlaczego miałabym się z tobą nie kontaktować?

Leo uśmiecha się szeroko.

– W naszym życiu, życiu aktorów, wiele zależy od sytuacji. Pojawia się fantastyczna cudowna przyjaźń, a potem – puf! Kończą się zdjęcia do filmu, spektakl schodzi z afisza, ludzie się rozchodzą.

– Nie chcę, żeby z nami tak było – mówię. – I tak się nie stanie. Jesteś dobrym przyjacielem.

Leo kładzie łokcie na stole i podnosi do góry dwa palce.

– W porządku. Obiecuję, że będziemy w kontakcie.

Śmieję się i też podnoszę palce do góry.

– Ja też ci to obiecuję.

Rozdział 69

Tego wieczoru, po przedostatnim przedstawieniu, nie mogę zasnąć do piątej. Myśli o Marcu kłębią się w mojej głowie i nie potrafię ich powstrzymać. Ale wreszcie, wreszcie, nadchodzi ranek. Po trzech długich miesiącach czekania nadchodzi dzień, w którym będę mogła zobaczyć Marca.

Schodzę na dół i słyszę Jen w ogródku.

Wychodzę na zewnątrz – Jen siedzi przy małym stoliku pod parasolem i obiera dla Sammy'ego mały serek z czerwonej skórki.

– Witaj, Soph – mówi. – Ostatni dzień, co?

– Jeszcze czternaście godzin. – Siadam i patrzę, jak Sammy bawi się na trawie. Jest ciepły wiosenny dzień; żonkile ciągle kwitną żółto na grządkach. – Będę czuła dzisiaj każdą sekundę.

Jen się uśmiecha.

– Zawstydzilibyście nawet Romea i Julię. Co planujecie na ten wieczór? Marc odpali o północy fajerwerki nad Tamizą?

– Nie wiem – mówię ze śmiechem. – Nie wolno nam rozmawiać, pamiętasz? Ale mam nadzieję, że Marc przyjdzie do teatru, żeby spotkać się ze mną po przedstawieniu.

– Niepokoi cię to? Że nie wiesz, jak ani kiedy się spotkacie?

– Nie. To akurat wcale mnie nie niepokoi. Tylko te ostatnie godziny – to jest problem.

– Podśpiewywałaś sobie dzisiaj rano – mówi Jen. – Tak jak kiedyś. Czy moja dawna, szczęśliwa Sophia wróciła?

– Mam nadzieję.

Rodney wtyka głowę w drzwi.

– Sophia. Podać ci śniadanie?

Przez resztę dnia jeżdżę na Ebony, a potem wychodzę na spacer z Jen i Sammym. I dzień mija.

Po kolacji jak zwykle kłócę się z Rodneyem, kto posprząta, kiedy ktoś nagle puka do drzwi.

– Ja otworzę – mówię, wycieram ręce w ściereczkę i wychodzę z kuchni. – Pewnie tata zapomniał portfela czy coś w tym rodzaju.

Tata wychodzi dzisiaj z Denise. Znowu. Naprawdę dobrze się ze sobą czują. Dobrze, że tata ma w swoim życiu kogoś, kto o niego dba. Całkowicie to aprobuję. Choć przykro mi, że sprawy z Genovevą zakończyły się w taki sposób.

Na wsi krążą plotki, że Genoveva i jej doktor mają problemy i że ona mieszka teraz w hotelu. Ale ponieważ nie kontaktuje się z nami i nie odbiera telefonów taty, nie wiadomo,

czy to prawda.

Cieszę się, muszę to przyznać, że Genoveva nie wróciła. Pokazała swoje prawdziwe oblicze, a skoro nie dba o Sammy'ego na tyle, żeby choć go odwiedzić, to dobrze, że znikła. Ja zawsze przy nim będę, tak jak tata, Jen i Denise.

Jen kąpie Samy'ego na górze, więc wołam:

– Już idę! – Otwieram drzwi.

Na progu stoi Leo, w obcisłym białym podkoszulku i wystrzępionych dżinsach.

– Witaj, gwiazdo musicalu – mówi. – Ponieważ to nasze ostatnie przedstawienie, pomyślałem, że jeszcze raz cię podwiozę. – Zagląda do środka nad moim ramieniem. – Jest Jen?

Uśmiecham się.

– Tak, jest. Nie spodziewałeś się kolacji, prawda? Już zjedliśmy.

Leo kręci głową.

– Nie. Tylko twojego miłego towarzystwa. I może jeszcze Jen.

Uśmiecham się szerzej.

– Wejdź. Keith będzie tu za pół godziny. Więc ty i Jen będziecie mieli cały ten czas na to, żeby nacieszyć się swoim towarzystwem. Ja mam coś do zrobienia w ogrodzie…

Rozdział 70

Kiedy przyjeżdża Keith, muszę prawie odciągać Leo od Jen. Udaje mi się dopiero wtedy, kiedy Jen daje mu swój numer i zgadza się z nim umówić.

Kiedy wreszcie wsiadamy do limuzyny, Leo mówi tylko o Jen przez całą drogę do teatru, a ja z przyjemnością zgadzam się, że to absolutnie wspaniała dziewczyna.

Ostatni spektakl jest naprawdę udany. Ciągle muszę sobie przypominać, jaki to wyjątkowy dzień, ostatni dzień mojego pierwszego spektaklu na West Endzie. Ale ani na moment nie zapominam, że już za kilka godzin znowu zobaczę Marca.

Kiedy kurtyna opada przy wtórze burzliwych braw, idę za kulisy, gdzie czekają na mnie Jen i tata.

– Soph! – woła Jen. – Mamy dla ciebie niespodziankę.

– Jak to się stało, że jesteście tutaj? – pytam. – I dlaczego się tak uśmiechacie?

– Mamy list – mówi Jen. – Od Marca.

– Naprawdę?

– Tak. – Jen sięga do torebki i wyjmuje kopertę. Jest zwykła, brązowa, a na wierzchu jest napisane: „Dla Sophii, proszę otworzyć natychmiast po ostatnim spektaklu".

Marszczę brwi. Hm. To nie brzmi jak coś, co napisał Marc, ale… chyba lubi mnie zaskakiwać.

– Dziękuję – mówię i rozrywam kopertę. W środku jest biała kartka. Wiadomość została napisana na komputerze, grubą czarną czcionką.

Kiedy ją czytam, krew ścina mi się w żyłach.

„Nadszedł czas zemsty.
Mamy twojego brata, Samuela.
Będzie cierpiał, jeśli nie zrobisz tego, co ci rozkażemy.
Z NIKIM NIE ROZMAWIAJ.
Jedź prosto do domu Marca Blackwella w Richmond.
Tam się spotkamy.
PAIN"

– Skąd macie ten list? – pytam Jen, próbując opanować drżenie rąk.

– Przyszedł do domu już po twoim wyjeździe do teatru – mówi Jen. – Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście – mówię, starając się zapanować nad głosem. – W jak najlepszym. Marc chce się ze mną spotkać, to wszystko.

– Nie przyjedzie tu? – pyta Jen. – Niedługo północ.

– On… mam się z nim spotkać gdzie indziej. – Macham listem. – Niedługo wrócę.

Rozdział 71

Szeroka suknia Belle obija mi się o nogi, kiedy wychodzę z teatru.

Biegnę ulicą w tłumie ludzi, w stronę stacji metra na Tottenham Court Road.

W pociągu do Richomond wszyscy się na mnie gapią, ale nie dbam o to. Muszę dostać się do domu Marca. Muszę ocalić Sammy'ego.

Kiedy docieram do zachodniego Londynu, powietrze jest nieruchome, a niebo zasnuwają chmury. Nie widzę gwiazd ani księżyca.

Podchodzę pod bramę, niepewna, co robić dalej. Czy mam zadzwonić? Zawołać? Ale nagle dostrzegam coś, od czego krew ścina mi się w żyłach.

Na czarnych sztachetach ogrodzenia wiszą dwa przedmioty – lalka niemowlę, taka, która zamyka oczy, kiedy się położy. Jest rozebrana, więc jej ciałko to tylko kawałek wypchanej, białej bawełny z plastikowymi nóżkami i rączkami. Została przywiązana do płotu za kostkę, więc wisi do góry nogami.

Obok lalki wisi coś, co było kiedyś różą – teraz została z niej tylko kolczasta łodyga. Wszystkie płatki oderwano od kwiatu. Na płocie wiszą też kajdanki i nóż zabawka.

Patrzę na ciemny dom, ale nigdzie nie pali się światło. Nikogo tam nie ma. Może to blef. Koszmarny żart, który ma mnie przerazić, ale nic poza tym.

Już mam nacisnąć dzwonek, kiedy coś mocno uderza mnie w rękę.

Odwracam się, ale zanim jestem w stanie zorientować się, co się dzieje, ktoś chwyta mnie za włosy i ciska na ziemię. Uzbrojona w ostre pazury dłoń sięga do mojej twarzy, drapiąc i bijąc. Próbuję zasłonić się ramieniem, ale widzę, że to Cecile klęczy nade mną, z twarzą wykrzywioną z wściekłości.

– Ty dziwko – syczy. – Czas, żebyś zapłaciła za to, co zrobiłaś.

Próbuję zasłaniać się przed jej ciosami, ale nie mogę przecież uderzyć ciężarnej kobiety. Po prostu nie mogę.

– Cecile – mówię, chwytając ją za ręce i próbując odepchnąć. – To szaleństwo. Potrzebujesz pomocy.

– Nie potrzebuję pomocy! – wrzeszczy Cecile. – Dlaczego wszyscy to w kółko powtarzają?

Udaje mi się odepchnąć ją trochę i teraz, kiedy szok spowodowany atakiem zaczyna mijać, dostrzegam zmiany w wyglądzie Cecile – jej wychudzoną twarz i ciało pod obcisłym sweterkiem z czarnego kaszmiru.

Jeśli jest w ciąży, gdzie jest dziecko? Bo brzuch ma płaski jak zawsze.

Podnoszę się z trudem.

– Nie jesteś w ciąży.

Cecile także wstaje.

– Pozbyłam się tego, kiedy zaczęli proponować mi te wszystkie badania.

– Czy to ty napisałaś ten list? Gdzie jest Sammy?

– Ludzie z PAIN go mają. Jeśli chcesz go jeszcze zobaczyć, lepiej chodź ze mną.

Żołądek podchodzi mi do gardła, chwytają mnie torsje. Zasłaniam usta ręką.

– O mój Boże – mówię przez palce.

– Mówię poważnie.

To za dużo. Nie jestem w stanie się opanować, odwracam się i wymiotuję na chodnik.

Czuję się tak, jakby ktoś wcisnął mnie w wielkie żelazne imadło i wycisnął z mojej piersi całe powietrze.

– Proszę, nie róbcie mu krzywdy. Pójdę, gdzie tylko zechcesz.

– Tam jest samochód.

Rozdział 72

Cecile ciągnie mnie do czarnego samochodu, który czeka w żółtym świetle ulicznej latarni. Jest mocno zdezelowany. Otwieram tylne drzwiczki i wydaję zduszony okrzyk.

W środku siedzi najbardziej upiorny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam. Jest zupełnie łysy, ma wielkie, przesadnie umięśnione ciało i szerokie ramiona. Ma na sobie małe okrągłe okulary, za którymi jego oczy wyglądają jak oczy jakiegoś owada, i skórzaną marynarkę.

Wyciąga do mnie rękę.

– Warren. Szef PAIN. Miło mi w końcu cię poznać.

Cofam się przed jego dłonią.

Na przednim siedzeniu jest jakaś kobieta; widzę tylko tył jej głowy. Ma platynowe włosy, a kiedy dostrzegam jej twarz we wstecznym lusterku, widzę czarne jak węgiel oczy, długie rzęsy i usta czerwone jak krew.

– O Yasminie już zapewne słyszałaś – mówi Warren, wskazując ją ruchem głowy. – Moja partnerka. I dobra przyjaciółka Marca Blackwella.

Samochód ma zapach… sama nie wiem. Jakby niemytych ciał i jakiegoś środka chemicznego. Przytykam palec do nosa i cofam się o krok.

– Miło, że się tak dla nas przebrałaś – ciągnie Warren, wskazując moją suknię. – Bardzo ładna.

– Gdzie Sammy? – pytam.

– Pojedź z nami, to ci pokażemy.

– Proszę. Nic mu nie zrobiliście, prawda? Nic mu nie jest?

– Nic mu nie będzie – mówi Warren – jeśli zaraz wsiądziesz do samochodu.

Kiwam głową i wsiadam, starając trzymać się jak najdalej od Warrena. W odpowiedzi on przysuwa się do mnie.

– Nie ugryzę cię – dyszy, a do mnie dociera, że to taki sam typ jak Getty – podnieca go, kiedy kobiety się boją. – Przynajmniej na razie.

Siadam wyprostowana i przestaję się od niego odsuwać. Zamiast tego staram się wyglądać na tak odprężoną, jak to tylko możliwe. Co jest trudne, bo serce bije mi tak mocno, że mam wrażenie, jakby miało wyrwać mi się z piersi i odlecieć.

Cecile obchodzi samochód i zajmuje miejsce z przodu.

– Dobra robota, Cecile – mówi Yasmine. Ma niski, gardłowy głos. – Dobra robota.

– Dziękuję, Yasmino – mówi Cecile głosem słodkim jak ulepek. – Mówiłam ci, że to ja ją dostanę.

Samochód rusza.

Kiedy odjeżdżamy spod domu Marca, czuję się strasznie samotna i jest mi niedobrze.

Platynowa blondynka odwraca się do mnie, kiedy czekamy na skrzyżowaniu.

– Dobrze się z tobą zabawimy. – Jej ciemnoczerwone wargi poruszają się w lusterku. Jej skóra jest bardzo blada, co podkreśla jeszcze biały podkład. – Zasługujesz na trochę bólu, nie uważasz? Po tym, co zrobiłaś.

– A co zrobiłam?

– Gilesowi Getty. Był jednym z naszych najwierniejszych członków.

Kręcę głową.

– Getty mnie porwał. Ja nic mu nie zrobiłam. Zupełnie nic.

– Jest teraz w więzieniu, przez ciebie. A członkowie naszej organizacji są przesłuchiwani. Zostaliśmy zepchnięci do podziemia.

– Posłuchaj, po prostu powiedz mi, gdzie jest Sammy.

– Zamknij się. To nie ty nam będziesz zadawała pytania. Tylko my tobie.

Samochód jedzie dalej przez nocne miasto.

Rozdział 73

Wjeżdżamy do wschodniej części Londynu; patrzę, jak wszystkie te wspaniałe, piękne rezydencje ustępują wielopiętrowym blokom i ulicznym straganom.

Samochód zatrzymuje się przy siedmiopiętrowym budynku, który wygląda tak, jakby został zbombardowany. W oknach nie ma szyb – budowla wygląda jak betonowa, sczerniała ruina.

Yasmina wysiada i otwiera tylne drzwiczki. Teraz widzę ją całą i zauważam, że pod białym makijażem ma twarz pokrytą bliznami.

Czarne oczy i czerwone usta to jedyne plamy koloru w tej twarzy.

Ma na sobie czarne wąskie spodnie, buty na wysokich obcasach i skórzany sznurowany gorset założony na czarną koszulę. Gorset jest ściągnięty w talii tak mocno, że Yasmina wygląda jak osa.

– Wychodź – rzuca krótko, chwyta mnie za ramię i wyciąga na spękany cement. Wyciągam ręce przed siebie, padając na ziemię, ale zaraz podnoszę się i staję wyprostowana.

– Gdzie jest Sammy?

– Tutaj – mówi Yasmina, wskazując blok. – Idź za nami.

O Boże, mdli mnie. Pomyśleć, że Sammy jest gdzieś w tym budynku… Znowu chcę zwymiotować, ale tym razem udaje mi się powstrzymać. Ci ludzie to potwory. Potwory. Cecile też stała się potworem.

– Ktoś z nim jest? Czy jest sam?

– Koniec z pytaniami.

Idę za Yasminą, Cecile i Warrenem w stronę mrocznego wejścia do budynku.

Jak przez mgłę zauważam, że Warren niesie dużą teczkę.

Wchodzimy na kruszące się schody, na których kiedyś leżał może dywan, ale teraz to tylko goły beton na żelaznych belkach.

Mimo mroku nieco pomarańczowego światła ulicznych latarni wpada do środka przez duże otwory, które kiedyś były oknami.

Drugie piętro wydaje się puste, pomijając coś na kształt prowizorycznego baru w rogu, zrobionego z drewnianych desek, pełnego butelek whisky.

Już mam znowu zapytać, gdzie jest Sammy, kiedy dostrzegam kajdany przytwierdzone do ściany na górze.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Gdzie Sammy?! – krzyczę i nie potrafię już powstrzymać łez. – Proszę… czy on tu jest? Musicie mi powiedzieć, gdzie on jest.

Yasmina i Warren zaczynają się śmiać.

– Naprawdę myślisz, że go mamy? – mówi Yasmina. – Jak niby mielibyśmy go

porwać, przy całej tej ochronie dookoła waszego domu?

Ochroniarze. Oczywiście. Jestem idiotką.

Mimo mdłości i przerażenia odczuwam ulgę. Dzięki Bogu, Sammy'ego tu nie ma. Dzięki Bogu.

– Będziesz czyniła honory, Yasmino, czy ja mam to zrobić? – pyta Warren, podnosząc teczkę i zdejmuje marynarkę. Pod spodem ma biały podkoszulek z krótkimi rękawami. Pod pachami ciemnieją plamy potu. W jego skórze jest coś naprawdę odrażającego. Świeci się, jakby była wilgotna.

– Myślę, że Cecile powinna to zrobić, nie uważasz? – odpowiada Yasmina, chwytając mnie za nadgarstek. Walczę, bo wiem już, że nie mam nic do stracenia. Wyrywam jej się i biegnę do schodów, ale Warren dogania mnie i rzuca mi się na plecy. Padam na ziemię, przygnieciona jego ciężarem.

Au.

Słyszę odgłos pękania w okolicy nadgarstka i całą moją rękę przeszywa ból.

Warren podnosi się i chwyta mnie za kostki, a potem ciągnie za sobą po betonowej podłodze pokrytej kamieniami i odłamkami betonu. Słyszę, jak suknia Belle drze się na nich i pęka.

W następnej chwili zostaję postawiona na nogi, a moje ręce trafiają w zardzewiałe kajdany.

Teraz, kiedy ręce mam uniesione do góry ból w lewym ramieniu staje się nie do zniesienia. Szarpię łańcuchy, z oczu płyną mi łzy.

Yasmina podchodzi bliżej, jej wąskie obcasy stukają po podłodze. Patrzę jej prosto w oczy, zdeterminowana, by nie okazywać strachu.

– Nie pierwszy raz zdarza nam się pozbywać młodej dziewczyny – mówi, odbierając od Warrena teczkę. – Lubimy robić to na własny, szczególny sposób. A z szacunku dla Gilesa przynieśliśmy dzisiaj jedno z naszych ulubionych narzędzi tortur. Chcemy mieć pewność, że twoja śmierć będzie wyjątkowo nieprzyjemna i nie nadejdzie zbyt szybko.

Teczka musi być ciężka, bo ramiona Yasminy opadają, kiedy bierze ją do rąk.

Podchodzi bliżej – tak blisko, że widzę zygzakowaty wzór blizn pod jej makijażem. Potem otwiera teczkę.

Kiedy podnosi brązowe wieko, nie jestem w stanie stłumić krzyku przerażenia.

O Boże. Nie załamię się. Nie załamię się. Nie pokażę im, że się boję.

Warren i Yasmina wydają się zafascynowani zawartością teczki. Mają szeroko otwarte, błyszczące oczy, ich usta wykrzywia okrutny uśmiech.

Na wytartym filcu leży duże koło z giętego żelaza, wielkości mniej więcej obiadowego talerza. Jest sczerniałe i pokryte rdzą, a jego wewnętrzną powierzchnię pokrywają kolce. Mam wrażenie, że już gdzieś coś takiego widziałam. I zaraz przypominam sobie gdzie.

Wiele lat temu pojechaliśmy całą klasą na szkolną wycieczkę do pobliskiego zamku. Zwiedzaliśmy wtedy też lochy i widzieliśmy znajdujące się w nich narzędzia tortur. Dyby. Piły. I coś, co wyglądało jak to koło.

Jen i cała reszta klasy była zafascynowana, ale mnie zrobiło się niedobrze na myśl o rozciąganych, rozrywanych ciałach. W końcu udałam, że muszę iść do toalety, i wyszłam z lochów wcześniej.

Patrzę teraz na to żelazne koło i żołądek skręca mi się tak mocno, że na pewno zaraz zwymiotuję.

– Jest piękna, kiedy się boi, prawda? – pyta Yasmina, oddając teczkę Warrenowi.

– Prawda? – Warren chwyta koło obiema rękami. Jest wyraźnie bardzo ciężkie, bo musi cofnąć się trochę, żeby nie stracić równowagi.

– Nazywamy to urządzenie Swietłana – mówi Yasmina, przesuwając po kole szarymi paznokciami. – Pochodzi z Rosji. Narzędzie tortur KGB. Jeden z naszych największych skarbów. To bardzo sprytne urządzenie. Można je zamocować wszędzie: na nodze, klatce piersiowej, głowie… A potem zacisnąć tę śrubę z boku. – Uśmiecha się i jej oddech przyspiesza. – I zaciskamy. Zaciskamy. Aż zobaczymy krew. A potem zostawiamy pechowego gościa, żeby wykrwawił się na śmierć.

Yasmina i Warren wymieniają spojrzenia, od których włosy jeżą mi się na głowie.

Rozdział 74

Swietłana to jedyna dziewczyna, która nigdy mi się nie nudzi – mówi Warren i podchodzi bliżej.

Staram się trzymać prosto mimo bólu w nadgarstku i ramieniu.

Wiem, że Warren czeka na mój strach, a nie chcę dać mu tej satysfakcji. Jednocześnie myśl o dotyku jego obleśnych wilgotnych palców wywołuje u mnie mdłości i muszę się bardzo starać, żeby nie cofnąć się, kiedy się do mnie zbliża.

Warren otwiera kolczaste koło i przykłada do mojego nadgarstka. Czuję jego ohydny zapach – jakby gnijącego mięsa i środków dezynfekujących.

Strach chwyta mnie za gardło.

Staram się nie patrzeć, ale koło przyciąga mój wzrok. Mimo że jest stare i poczerniałe, zakończenia kolców zostały naostrzone, bo są srebrne i lśniące. Nie trzeba będzie wiele, żeby przebić skórę.

– Uśmiechnij się, kochanie – mówi Warren, zakładając mi koło w pasie. – Nigdy nie wiadomo. Może ci się to spodoba. – Ręce drżą mu z podniecenia, na czoło występują krople potu. – Najbardziej lubię ten moment, kiedy dociskamy tak mocno, że pękają kości. – Przez jego ramiona przebiega dreszcz.

Zaczynam tracić panowanie nad sobą, nie potrafię złapać oddechu. Wiem, że oczy mam szeroko otwarte ze strachu, kiedy Warren zapina koło luźno w mojej talii. Czuję, jak kolce przebijają materiał sukienki, napierając lekko na moje ciało.

O mój Boże, o mój Boże.

Jeszcze trochę, a zaczną wchodzić we mnie głębiej. Tak głęboko, że spowodują trwałe obrażenia. A potem śmiertelne rany.

Mrugam, żeby odpędzić łzy. Wiem, że to nic nie da. Oni tego właśnie chcą.

– Po tobie dorwiemy Marca – mówi Yasmina. – Oczywiście najpierw pozwolimy mu zadręczać się przez kilka tygodni. Nie będzie wiedział, co się stało z jego ukochaną.

Myśl o tym, że mogliby skrzywdzić Marca jest nie do zniesienia.

– Nie musicie mścić się na Marcu – mówię, zerkając na Cecile. – On nie jest zadowolony, że Getty trafił do więzienia. Getty… to jego przyjaciel.

Cecile odrywa wzrok od dziury po oknie.

– Marc bez przerwy mówi o tobie, Cecile – ciągnę, podchwytując jej spojrzenie. – Zawsze się zastanawiałam, czy w głębi ducha nie woli jednak ciebie ode mnie.

Cecile szeroko otwiera oczy.

– Mówi o mnie?

– Chyba wie, że popełnił błąd. Że ty byłabyś dla niego lepsza.

– Gra na zwłokę – mówi Warren. Całe jego ciało drży teraz z podekscytowania. – Mamy ją tu wreszcie. Więc chciałbym się z nią zabawić.

– Czekaj. – Cecile podchodzi do mnie. – Marc o mnie mówi?

– Cały czas. Może jednak powinniście być razem. Wystarczy, jeśli zemścicie się na mnie. Po co krzywdzić Marca? On… zawsze chciał się pogodzić z Gettym. Marc w tym wszystkim nie zawinił. To, co stało się z Gettym, to tylko moja wina.

Yasmina parska śmiechem, a potem wbija we mnie swoje czarne oczy.

– Jesteś naprawdę dobrą aktorką. Uwierzyłabym w każde słowo, gdybym nie wiedziała, jak jest naprawdę. Marc nienawidzi Getty'ego. Kazał wszystkim swoim ochroniarzom pilnować cię przed nim.

Kręcę głową.

– Nie. On żałuje, że Getty trafił do więzienia…

Yasmina kładzie swój szary paznokieć na moich ustach.

– Kłamiesz. Najpierw zabijemy ciebie, a potem Marca.

Cecile kręci głową.

– Yasmino, a jeśli ona mówi prawdę? Jeśli Marc jest niewinny i mogłabym być z nim… mogłabym znowu mieć pieniądze…

Yasmina przewraca oczami.

– Sophia kłamie. Marc ani trochę o ciebie nie dba. Ale jestem pewna, że kilka minut ze Swietłaną pozwoli nam usłyszeć prawdę. – Odwraca się do Warrena. – Podkręć ją trochę, ale tylko na tyle, żeby powiedziała Cecile prawdę. Nie posuwaj się za daleko. Nie chcemy, żeby zabawa za szybko się skończyła. To ma być długa, bolesna śmierć. Getty na to zasługuje.

Twarz Warrena przybiera upiorny wyraz.

– Pora na ubaw. – Przykręca śrubę na zamknięciu koła, które obejmuje mnie ciaśniej. Kolce przebijają materiał, a potem wchodzą w moje ciało jak pierścień igieł. Wstrzymuję oddech i czuję, że zaczyna mi się kręcić w głowie. Jest mi niedobrze. Słabo.

– Jeszcze trochę – mówi Yasmina. – Jak zobaczy krew, powie Cecile, jak jest.

Lśniąca głowa Warrena pochyla się nad śrubą.

O mój Boże, o mój Boże. Wypuszczam powietrze, starając się oddalić od kolców. Ale w miarę jak Warren dokręca śrubę, czuję kłujący ból w pasie. Zimny metal wchodzi w ciało.

Warren cofa się trochę, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. Dyszy ciężko z podniecenia.

Nie mam odwagi się poruszyć. Nie mam odwagi się odezwać. Nie mam odwagi spojrzeć w dół.

Strach obejmuje mnie obezwładniającą falą.

Wiem teraz ponad wszelką wątpliwość, że Warren jest zdolny mnie zabić. Ale nie powiem im tego, co chcą usłyszeć. Nie, jeśli jest choć cień szansy, by powstrzymać ich przed skrzywdzeniem Marca.

– Nie kłamię – mówię w końcu na jednym oddechu. Kolce wbijają mi się w ciało, więc szybko znowu wstrzymuję oddech. – On i Cecile powinni być razem. Tylko ja jestem winna.

Yasmina i Warren patrzą na siebie.

– Jeszcze – mówi Yasmina.

– Och, tak – odpowiada Warren. – Nie ma sprawy.

Zbieram całą odwagę, na jaką mnie stać.

– Róbcie, co chcecie – mówię. – Nic innego ode mnie nie usłyszycie. Taka jest prawda.

Warren cofa się o krok i przekrzywia głowę, wpatrując się w moją twarz.

– Zdaje się, że będziesz musiał bardziej się przyłożyć – mówi Yasmina.

Tym razem kolce wchodzą w ciało głębiej i z trudem powstrzymuję krzyk. Mam wrażenie, że ktoś przeciąga po mojej talii rozpalonym nożem.

Nie mogę się powstrzymać przed spojrzeniem w dół – widzę krew sączącą się przez materiał i okrąg czerwonych punktów.

– Masz nam coś do powiedzenia? – pyta Yasmina.

Kręcę głową.

– Ja jej wierzę, Yasmino – mówi Cecile.

– Albo jesteś z nami, albo przeciwko nam – mówi Yasmina. – Ukarzemy Marca za to, co zrobił Getty'emu. Lepiej zdecyduj, po czyjej jesteś stronie. I to szybko. Bo PAIN nie ma czasu dla tchórzy.

Cecile odwraca się od Yasminy i patrzy w nocne niebo przez otwór w ścianie.

– W porządku – mówi szeptem. – W porządku. Jestem z wami.

– Grzeczna dziewczynka – mówi Yasmina i daje znak Warrenowi. – Czas na nas.

– Ale…

– Nie, Warren. Jeszcze trochę i za szybko umrze. Ze względu na Getty'ego powinna umierać powoli. W bólu.

Warren zdaje się jej nie słyszeć. Oczy ma wbite w moją talię.

– Warren – rzuca ostro Yasmina.

Oczy Warren przytomnieją, ale ciągle są wpatrzone w krew na mojej sukni.

– Zrobiliśmy, co trzeba – mówi Yasmina. – Ona pożyje jeszcze kilka dni. W bezustannym bólu. Niedługo będzie błagała, żebyśmy pozwolili jej umrzeć.

Oczy Warrena błyszczą.

– Błagała…

Yasmina podchodzi bliżej do mnie.

– A w niedzielę przyjdziemy zabrać ciało.

Rozdział 75

Kiedy wychodzą, zaczynam krzyczeć. Najpierw słabo, potem tak głośno, jak tylko potrafię.

– Pomocy! Proszę, pomoooocy!

Ale nikt nie nadchodzi.

Kiedy nie mam już siły krzyczeć, dociera do mnie, że jestem tu zupełnie sama i ogarnia mnie panika. Przykuta do ściany, krwawiąca, bez wody i jedzenia, umrę w ciągu kilku dni.

Mam wrażenie, że na zewnątrz noc staje się coraz ciemniejsza. Ta czerń zdaje się mnie dusić; wpełza do gardła, tańczy na kolcach w moim ciele.

Mijają godziny, ale ja nie mogę sprawdzić, która godzina.

W pewnej chwili tracę chyba przytomność, bo kiedy otwieram suche powieki, widzę, że świta i jaśniejące powoli niebo daje mi dziwną nadzieję.

Ciało w pasie mam całkowicie odrętwiałe. Organizm musiał chyba wytworzyć jakiś naturalny środek przeciwbólowy.

Ale krew nadal płynie. Przy każdym oddechu kolce wchodzą mi w skórę, nie pozwalając ranom się zamknąć.

Znowu zawartość żołądka podchodzi mi do gardła, ale udaje mi się opanować mdłości. Mam tak sucho w ustach.

Patrzę, jak w oknie po drugiej stronie wschodzi słońce i widzę ciemne plamki przelatujących ptaków.

– Pomocy! – skrzeczę znowu. – Pomocy! Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

Ale nikt nie przychodzi. Tu, na górze, w tym opuszczonym bloku, nikt mnie nie usłyszy.

Po jakimś czasie czuję spaliny; zaczął się zwykły ruch uliczny. Słońce podnosi się wyżej na niebie, aż w końcu znika za budynkiem i więcej go nie widzę.

Krzyczę:

– Pomocy! Pomocy! – Aż zaczynam chrypnąć, ale nadal nikt się nie pojawia.

Myślę o Marcu i o swojej rodzinie. Tak bardzo ich wszystkich kocham. Chętnie poświęciłabym się dla każdego z nich. Ale przeraża mnie myśl o tym, jaki ból musi im sprawiać moje zniknięcie, jak muszą się o mnie bać. A myśl, że mogę nigdy do nich nie wrócić, nigdy już nie zobaczyć Marca… jest nie do zniesienia.

Szarpię kajdanami, ale funduję sobie tylko przeszywający ból w pasie i więcej krwi.

Jestem w pułapce. W pułapce, z której nie ma wyjścia. I nikt nie wie, gdzie mnie szukać.

Koło południa chyba znowu zasypiam, bo przez jedną cudowną chwilę wydaje mi się, że Marc szepcze mi do ucha, że wszystko będzie dobrze. Ale kiedy otwieram oczy, ciągle

jestem sama, przykuta do ściany. I z każdym oddechem bardziej kręci mi się w głowie.

Słońce zaczyna zachodzić. Myślę o Marcu. Czas, który z nim spędziłam, był taki piękny. Taki piękny.

Rozdział 76

Kiedy zapada zmierzch, patrzę w dół na narzędzie tortur, a potem do góry, na swoje ręce. Musi być coś, coś, co mogę zrobić, żeby się uwolnić.

Wydaję jeszcze kilka słabych krzyków, ale głos mam tak ochrypły, że sama prawie się nie słyszę, nie mówiąc już o zwróceniu na siebie czyjejkolwiek uwagi.

Mogę poruszać nogami, ale czuję przy tym obezwładniający ból w talii.

Wstrzymuję oddech i podnoszę kolano, tak szybko, jak tylko potrafię, w stronę kolczastego koła, w nadziei, że może uda mi się wytrącić zawias czy coś w tym rodzaju.

Kolce wchodzą mi w ciało głębiej niż kiedykolwiek przedtem; brakuje mi powietrza, a na spódnicę spływają strugi świeżej krwi.

Przez chwilę kręci mi się w głowie.

Kolano nawet nie dotknęło metalu. Nawet się do niego nie zbliżyło.

Zastanawiam się, czy spróbować jeszcze raz, kiedy słyszę echo kroków na betonowych schodach i mój oddech staje się jeszcze szybszy.

O mój Boże. Ktoś tu idzie. Ktoś idzie!

– Pomocy – skrzeczę. – Proszę mi pomóc.

U szczytu schodów pojawia się jakiś cień. Z każdą chwilą staje się większy i dłuższy.

Na jedną cudowną chwilę nadzieja uwalnia mnie od bólu i strachu. A potem widzę, kto to jest.

O Boże, o Boże.

To Warren, z twarzą lśniącą od potu.

W ręce trzyma łom. Jego niski głos odbija się echem od pustych ścian.

– Chyba już czas, żebyśmy się trochę zabawili, nie sądzisz?

– Miałeś mnie chyba zostawić, żebym umarła? – skrzeczę.

– Myślałem o tobie, jak krwawisz i błagasz o litość – mówi Warren. – Musiałem wrócić.

– A gdzie są inni?

Warren marszczy brwi.

– W tej chwili mają inne problemy.

– Nie będę krzyczała – mówię. – Ani błagała.

– Zobaczymy. Jestem dobry. Bardzo, bardzo dobry. Zaczekaj tylko, to sama się przekonasz.

Oczy zachodzą mi mgłą, kiedy do mnie podchodzi, ale mimo mroczków dostrzegam coś – kolejny cień na schodach.

Może Yasmina i Cecile jednak też przyjechały. Może są złe na Warrena, że przyszedł tu bez nich.

Cień rośnie. Powiększa się i wydłuża, w końcu widzę… widzę…

To niemożliwe.

Kręcę głową.

Marc.

To nie może być prawda. Chyba znowu zemdlałam. To tylko sen. Ale nagle słyszę jego głos, głęboki i stanowczy.

– Odsuń się od niej, Warren. Natychmiast.

Warren, zaskoczony, gwałtownie podnosi ramiona. Odwraca się i chwieje lekko na widok Marca, który wchodzi na schody.

Marc patrzy mi w oczy palącym wzrokiem.

– Sophio, on cię nie dotknie. Masz moje słowo. Najpierw go zabiję. – Odwraca się do Warrena. – Musiałeś wiedzieć, że ryzykujesz, przyjeżdżając tu znowu.

– Musiałem przyjechać. – Warren uderza łomem w otwartą dłoń i cofa się trochę. – Ona jest warta ryzyka.

– Nie zbliżysz się do niej.

– Spróbuję.

Marc podchodzi do niego szybko; jego pięść z szybkością błyskawicy ląduje na szczęce Warrena.

Warren chwieje się i cofa. Wydaje się ogłuszony, przykłada rękę do twarzy.

Potem rzuca się na Marca z uniesionym łomem.

Łom trafia w bark – widzę na twarzy Marca ból, ale poza tym pozostaje niewzruszony. Uderza Warrena w rękę i wytrąca mu łom, który spada na ziemię.

Następny cios Marca jest tak szybki, że nawet go nie zauważam. Widzę tylko, że Warren zatacza się w tył i chwyta rękami za pierś. Z bladą, przerażoną twarzą chwieje się w ziejącym otworze, który był kiedyś oknem.

Przez chwilę wydaje mi się, że odzyska równowagę. Ale jest odrobinę zbyt wolny i w końcu jego tłuste, ciężkie ciało przeważa i Warren wypada na zewnątrz, w dół.

Odwracam głowę na dźwięk upiornego odgłosu łamanych kości, kiedy uderza w ziemię pod oknem.

Potem zapada cisza.

– Sophia. – Marc jest już przy mnie. Nie wiem, jak dobiegł tak szybko.

– Czy on nie żyje? – pytam szeptem.

– Prawdopodobnie.

– To naprawdę ty? – mówię, kiedy Marc odkręca śrubę z narzędzia tortur. – Ja nie śnię, prawda?

– Gdyby to był sen – mówi Marc – pojawiłbym się tu szybciej. Muszę cię zabrać do szpitala. – Zdejmuje obręcz z mojej talii, a ja krzywię się z bólu.

Świeża krew tryska z ran, kiedy kolce wychodzą z ciała; Marc chwyta mnie w ramiona, bo ledwie trzymam się na nogach.

Rzuca obręcz na ziemię i podtrzymując mnie jedną ręką, sięga do góry, żeby uwolnić mnie z kajdan.

Z brzękiem metalu moja prawa ręka wysuwa się z kajdan i opada w dół. Jest całkowicie odrętwiała, biała i zupełnie bez krwi. W ogóle jej nie czuję.

– Jak mnie znalazłeś? – szepczę, kiedy Marc uwalnia drugą rękę.

– Cecile do mnie przyszła. Zdaje się, że odstawiłaś bardzo przekonujące przedstawienie, udając, że mogę być w niej zakochany. Po jej wizycie użyliśmy kamer CCTV, żeby śledzić jej ruchy. W ten sposób dotarliśmy do Yasminy. A potem Warrena.

– CCTV?

– Ochrona MET. Mają kamery w całym Londynie. Otrzymałem tymczasowy dostęp. To rzadki przywilej, za który będę im dozgonnie wdzięczny.

Krzywię się, kiedy Marc odkręca drugą część kajdan. Moja lewa ręka opada w dół i palący ból przeszywa dłoń i nadgarstek. Marc chwyta ją i przyciska mój zimny nadgarstek do swoich ust. Potem bierze mnie na ręce.

– Yasmina i Cecile zostały aresztowane. Ale Warren się nam wymknął. Namierzyliśmy go, kiedy tu szedł.

Widzę niebieskie policyjne światła błyskające na zewnątrz.

– Chodźmy stąd.

Rozdział 77

Marc wynosi mnie na powietrze. Zupełnie nie jestem przygotowana na zamieszanie, które wokół mnie wybucha.

Policjanci i ratownicy z karetki pędzą w naszą stronę. Po nierównym betonie toczy się wózek. Zanim mam czas zorientować się, co się dzieje, Marc kładzie mnie na wózku i pomaga ratownikom przypiąć pasami.

– Marc…

– Wszystko w porządku – szepcze Marc. – Jestem przy tobie. Teraz i zawsze.

Kiedy wjeżdżam do karetki, Marc stoi obok, ściskając moją zdrową rękę tak, jakby bał się, że mu się wymknę.

Jazda karetką przez Londyn mija jak we śnie, ale w drodze dostaję kroplówkę.

W szpitalu robią mi badania na różne rzeczy, ale w końcu lekarze diagnozują odwodnienie i utratę krwi.

Obrażenia nie są zbyt poważne. Płytko zostały naruszone jelita, ale powinny się szybko zagoić. Mam złamany nadgarstek, więc przez jakiś czas będzie w gipsie. Wszyscy bez końca powtarzają, że miałam dużo szczęścia.

Tak, odpowiadam.

Wiem.

Stoję przed domem Marca na Farmie, patrzę na dwóch mężczyzn, którzy taszczą w stronę wejścia wielką, znajomo wyglądającą kanapę i dziękuję Bogu za to, że mam tyle szczęścia.

Ludzie z PAIN zostali skazani na dożywocie za usiłowanie zabójstwa, z wyjątkiem Cecile, która dostała łagodniejszy wyrok ze względu na stan zdrowia, a w więzieniu otrzyma pomoc psychologiczną. Ale i ona spędzi w odosobnieniu długi czas.

Poza okręgiem blizn wokół talii moje obrażenia należą do przeszłości. A ja wprowadziłam się z razem z Markiem do jego domu na wsi.

Tak bardzo się kochamy, że to jakieś szaleństwo. A po tym, co się stało, cóż… powiedzmy, że oboje chcemy, by liczył się każdy dzień. Nigdy nie wiadomo, co czeka na nas za zakrętem.

Moja rodzina nie wie zbyt wiele o tym, co się stało w dniu ostatniego spektaklu. Wiedzą tylko, że zaginęłam i że Marc przewrócił całe miasto do góry nogami, żeby mnie odnaleźć. I że gdyby nie on, mogłoby się to dla mnie źle skończyć.

Nie muszę chyba dodawać, że tata zdaje sobie sprawę, iż mężczyzna, który potrafił wyśledzić mnie za pomocą kamer ochrony MET, będzie dobrze opiekował się jego córką. Teraz i zawsze.

– Cześć. – Macham do ludzi z kanapą. – Pokażę wam drogę.

Kanapa jest beżowa, ręcznie haftowana w maleńkie dzwoneczki i krzyżyki.

Moja mama wyhaftowała ten wzór przed śmiercią, a ja miałam tę kanapę u siebie w przybudówce przez długi czas, zanim wprowadzili się tam najemcy. Przechowywałam ją u Jen, kiedy pojechałam do Ivy College, ale kiedy opowiedziałam o niej Marcowi, on uznał, że powinniśmy zabrać ją na wieś, żebym mogła patrzeć na nią każdego dnia.

Marc chce, żebym to ja urządziła nasz nowy dom. Zabiera mnie do niezliczonych sklepów z wyposażeniem wnętrz, ale ponieważ nigdy nie znajduję tam nic, co naprawdę mi się podoba, większość rzeczy robię sama albo kupuję je w sklepach z używanymi meblami i naprawiam. W ten sposób dom nabiera bardziej osobistego charakteru.

Rezultat jest taki, że w domu panuje mieszanina różnych stylów, ale wnętrza są naprawdę ciepłe i przyjazne.

Kiedy patrzę na wnoszoną do domu kanapę, Marc staje obok mnie. Chwyta mnie za rękę, a ja czuję znajome łaskotanie w brzuchu.

– A więc przybyła – mówi.

– Tak. I obiecuję, że teraz przyjedzie już tylko kilka rzeczy. Już prawie gotowe.

– Możesz sprowadzić tu tyle rzeczy, ile tylko chcesz. – Marc całuje mnie w czoło i wciska kciuk do mojej dłoni. Potem odsuwa się, żeby wpuścić ludzi z kanapą do domu. – Uwielbiam patrzeć, jak urządzasz dom.

Wchodzimy do domu.

– Gdzie ją postawić, proszę pana? – pyta jeden z mężczyzn, wskazując kanapę.

Marc odwraca się do mnie i rzuca mi swój hipnotyzujący uśmiech.

– Może pani tego domu odpowie na pytanie?

W środku cała miękną.

– Tam, proszę, przy tej roślinie.

Dom, oczywiście, jest teraz pełen roślin. Ostrzegałam Marca, że jestem trochę szalona na punkcie roślin. Zawsze wypatruję smutne, na wpół uschłe roślinki na wyprzedażach w centrach ogrodniczych i po prostu muszę je ocalić i przywrócić do życia.

Marc to rozumie.

Marc daje napiwek tragarzom, którzy wskakują do swojej furgonetki i odjeżdżają, a my stoimy w pokoju i patrzymy na kanapę mojej mamy.

– Dziękuję – mówię, czując, jak wzbiera we mnie miłość. – Tak się cieszę, że znowu ją mam.

– Wygląda, jakby stała tu od zawsze – mówi Marc.

Ściskam jego dłoń.

– Jaka szkoda, że nie mogłeś poznać mamy. Byłaby tobą zachwycona.

– Ja też żałuję.

Siadam na kanapie i pociągam Marca za sobą.

– Wygodna, prawda?

Marc się śmieje.

– Bardzo. I cieszę się, że na niej usiadłaś. Bo myślę, że to doskonałe miejsce, żeby zapytać cię o coś, co od dawna chodzi mi po głowie.

– Och?

Marc wstaje z kanapy, a potem przyklęka na jedno kolano.
I wyciąga z kieszeni pudełeczko.

Rozdział 78

Zasłaniam usta ręką i czuję na policzkach te głupie łzy.

– O mój Boże. Marc? Czy to…

Marc kiwa głową.

– Sophio Rose, wyjdziesz za mnie?

Otwiera pudełeczko i widzę pierścionek – piękny stary brylant, który Marc pokazał mi już kilka miesięcy temu.

Usta drżą mi pod palcami. Czuję, że kiwam głową.

– Tak – mówię z trudem, podając mu wilgotną od łez dłoń. – Tak, oczywiście, że za ciebie wyjdę.

Usta Marca unoszą się w przepięknym uśmiechu. Wsuwa mi pierścionek na palec, całuje w rękę, a potem bierze w ramiona.

Płaczę i śmieję się jednocześnie, i przez chwilę nie jestem w stanie wykrztusić słowa. W końcu udaje mi się wymamrotać w jego ramię:

– Powinnam zadzwonić do Jen. Przekazać jej radosną wiadomość.

– Może zechcesz się z tym wstrzymać – mówi Marc – dopóki nie zobaczysz naszych gości.

– Gości? – Ocieram łzy. Jestem zapłakana i mam czerwone oczy.

Marc się uśmiecha.

– Myślę, że dobrze ich znasz.

Jakby na zawołanie, ktoś dzwoni do drzwi.

– Może pani domu powinna otworzyć – mówi Marc.

Rzucam mu z ukosa zaintrygowane spojrzenie i idę do drzwi. Otwieram je i uśmiecham się od ucha do ucha.

Na progu stoi Jen, tata, Sammy, Denise, Tom, Tanya i Annabel.

– O mój… Rany! – wołam. – Czy Marc… Wy wszyscy już wiecie, że…?

Nie kończę, bo wszyscy energicznie kiwają głowami.

– Wiemy – mówi Jen, obejmuje mnie ramionami i otacza chmurą swoich perfum. – Marc dopilnował tym razem, żeby wszyscy to zaakceptowali. Gratulacje.

– I wszyscy się zgodzili? – pytam.

– Co do jednego – mówi tata. – Macie moje szczere błogosławieństwo. Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego męża dla swojej córki.

– Dzięki, tato. – Rzucam mu się na szyję. Tata ściska mnie, a kiedy się od niego odsuwam, widzę, że ma łzy w oczach. – Wszystko w porządku, tato?

Tata kiwa głową, odwraca twarz i ociera oczy.

– Tak, tak, oczywiście. Tylko… moja mała dziewczynka wychodzi za mąż. Już jest dorosła…

– Wejdźcie do środka – mówię, wciągając ich do domu. – Tom, Tanya. Nie mogę uwierzyć, że minęło już tyle czasu. Najpierw ten musical, potem szpital, urządzanie domu i wszystko, więc…

– Wiemy – mówi Tanya, obejmując mnie ramionami. – Nie przejmuj się. My to rozumiemy.

Tom podjeżdża do mnie na swoim wózku, żeby poklepać mnie po ramieniu.

– Brakowało nam ciebie.

– Mnie też was brakowało – mówię. Ale tak się cieszę ze względu na was. Denise mówiła mi, że ciągle bardzo się kochacie.

Tanya oblewa się szkarłatnym rumieńcem.

Tom uśmiecha się od ucha do ucha.

– Bardzo się kochamy. I mamy nadzieję, że tak będzie do końca życia.

– Naprawdę? Czy to znaczy, że wy…

– Nie – przerywa Tanya. – Nie śpieszymy się. Skończymy college, a potem będziemy myśleli o innych sprawach.

– Obiecajcie, że zaprosicie mnie, kiedy już zaczniecie o nich myśleć – droczę się z uśmiechem.

– Oczywiście! – mówi Tom.

Tanya przewraca oczami.

– Wielkie dzięki. Ani się nie obejrzę, jak zacznie oglądać ślubne garnitury.

– A skoro już mowa o ślubach – mówię. – Jen, Tanyu, czy uczynicie mi ten zaszczyt i zostaniecie moimi druhnami?

Tanya uśmiecha się szeroko.

– Jasne, Soph!

– Tom, chciałabym, żebyś ty też został moja druhną – dodaję.

Tom się śmieje.

– Sophio, chyba jesteś dzisiaj trochę roztargniona. Może w uwagi na mój ekstrawagancki strój nie dla wszystkich jest to oczywiste, ale jestem mężczyzną.

– Wiem – mówię. – Ale myślę, że dla ciebie możemy zerwać z tradycją.

– Byłbym zachwycony – mówi Tom. – Ale mam inny pomysł. Może poprowadzę uroczystość? Robiłem to w ubiegłym roku dla kuzyna, więc znam procedurę. Byłbym zachwycony, gdybym mógł stanąć przed tobą i Markiem i pomóc wam wypowiedzieć słowa przysięgi.

Uśmiecham się.

– Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

– Kto by pomyślał? – mówi Tom. – Sophia Rose wychodzi za Marca Blackwella. I będą żyli długo i szczęśliwie.

W domu siadamy na kanapie mamy i fotelach z odzysku, którym zafundowałam nowe obicie. Marc i ja wciskamy się na jeden fotel – siadam mu na kolanach i splatamy dłonie.

Rodney przynosi na tacy podwieczorek – herbatę i świeżo upieczone ciasteczka maślane.

– Soph? – mówi Jen. – Zaprosisz na ślub Leo?

– Nie myślałam jeszcze, kogo zaproszę – przyznaję. – Ale… tak, oczywiście, że

zaproszę Leo. To przyjaciel. Dobry przyjaciel. A właśnie takich ludzi chcę na swoim ślubie. Dobrych przyjaciół. – Odwracam się do Marca. – Nie masz nic przeciw temu?

– Nie mam – mówi Marc i rzuca mi intensywne spojrzenie swoich niebieskich oczu.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Im więcej masz przyjaciół, tym więcej ludzi się o ciebie troszczy.

Odwracam się do Jen.

– Więc widzisz. Możesz przyjść ze swoją osobą towarzyszącą.

Uśmiechamy się do siebie, bo obie wiemy, że Leo jest już dla Jen kimś znacznie więcej niż „osobą towarzyszącą". Tych dwoje nie jest w stanie długo wytrzymać z dala od siebie. Leo kupił mieszkanie w Londynie, a Jen niemal codziennie tam nocuje.

Rozmawiamy i nadrabiamy zaległości, ale ja zauważam, że Annabel milczy – choć wydaje się przy tym szczęśliwa. Odkąd weszła do domu, z jej twarzy nie znika uśmiech.

W końcu nie jestem w stanie zapanować nad ciekawością.

– Annabel? – mówię. – W tym tygodniu miałaś dostać wiadomość od opieki społecznej. Zadzwonili do ciebie?

– Tak.

– I?

– To dobra wiadomość. Ale powiem ci innym razem. Dzisiaj jest twoja wielka chwila.

– Och, nie wygłupiaj się – mówię. – Powiedz mi wreszcie.

Annabel uśmiecha się szerzej i po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, mogę zobaczyć jej zęby – białe i równe jak u Marca.

– Daniel wraca do mnie.

Piszczę z radości i zasłaniam usta ręką.

– O mój Boże! Annabel, to wspaniale! Naprawdę wspaniale!

Podbiegam i ściskam ją mocno. Annabel zaczyna płakać, ja też czuję na policzkach gorące łzy.

– To wszystko dzięki tobie – mówi szeptem Annabel, łamiącym się ze wzruszenia głosem.

– Nie – oponuję. – Pokonałaś narkotyk, który wielu ludzi zabił. Udowodniłaś, że jesteś dość silna, by być matką. Tak bardzo się cieszę!

Rozdział 79

Kilka tygodni później kręci mi się w głowie od wszystkich ślubnych planów. Nie miałam pojęcia, że przy takiej okazji trzeba się tak dobrze zorganizować.

Tak się cieszę, że Jen jest moją przyjaciółką. Jest świetna we wszystkim, w czym ja jestem do niczego, i wie, co musi być na ślubie i przyjęciu weselnym, na przykład tort, fotograf i zaproszenia.

Staramy się, żeby wszystko było tak proste, jak to tylko możliwe, ale i tak trzeba załatwić mnóstwo spraw. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ślub to taka ciężka praca.

Jen cały czas męczyła mnie, żebym wybrała miejsce i podczas weekendu znalazłam wreszcie to idealne. Jedyne, prawdę mówiąc, jakie mogę sobie wyobrazić na nasze zaślubiny.

– Jesteś pewna? – pyta Jen, potykając się w swoim butach na wysokich obcasach na błotnistej ziemi. – Chcesz, żeby tutaj odbył się twój ślub? Twoja wielka chwila, jedyna w całym życiu, najpiękniejsza?

– Całkowicie – mówię, biorąc ją pod ramię. – Zaczekaj tylko, aż zobaczysz dokładnie to miejsce, w którym ma się odbyć ceremonia. Ty też będziesz zachwycona.

Prowadzę ją dalej leśną ścieżką wśród wielkich zielonych paproci, pod wysokimi drzewami.

Jen wzdycha.

– Ty i te twoje drzewa, Sophio Rose. Mogłabyś zorganizować tę ceremonię gdziekolwiek. Gdziekolwiek na świecie. Twój narzeczony jest miliarderem. A co ty wybierasz? Lasek przy Ivy College.

Uśmiecham się.

– Wiem. Czy to nie idealne miejsce? Chodź. – Wciągam Jen głębiej w las. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczysz to miejsce.

Jen podwija lniane spodnie, przewraca dobrodusznie oczami i idzie za mną.

Ścieżka wije się wokół wielkiego platana i kończy na cudownej okrągłej polance, pod zielonym baldachimem drzew.

– To tu – mówię i odsuwam się na bok, żeby Jen mogła się rozejrzeć. – Tu chcę wziąć ślub.

Moja mama nazywała takie miejsca „kręgami wróżek”. To naturalne koliste polanki leśne, porośnięte trawą i polnymi kwiatami.

Wśród gałęzi nad naszymi głowami skaczą i ćwierkają ptaszki; na nasz widok w górę pnia ucieka wiewiórka.

Obie stoimy przez chwilę pod zielonymi liśćmi, słuchamy śpiewu ptaków i wdychamy zapach zieleni i wilgotnej ziemi.

– Soph – wzdycha Jen z zachwytem. – To naprawdę idealne miejsce. Tu jest tak

pięknie.

– Pomyślałam, że moglibyśmy się pobrać w lesie – mówię. – A potem pójść na piknik na trawniku przy college'u. Są wakacje, więc nikogo tam nie ma. Goście mogliby przenocować w akademiku.

– Och, Soph, to brzmi cudownie – mówi Jen. – Naprawdę. Oczywiście trzeba będzie rozstawić namioty, na wypadek deszczu. I opracować jakiś plan awaryjny, bo jeśli na ścieżce będzie za dużo błota…

– Nie będzie deszczu – przerywam jej. – Wiem, że nie będzie.

Rozdział 80

Wieczorem, w przeddzień ślubu, nie chcę rozstawać się z Markiem aż do ostatniej chwili.

Zajmuję Pokój Ambasadorski w Ivy College, żebym nie musiała dojeżdżać na swój ślub, ale Marc zostaje u mnie aż do północy. W tym roku tyle czasu zabrała nam rozłąka, że wystarczy go na resztę życia.

Kiedy wchodzimy do pokoju, niemal odbiera mi mowę. Jest to ogromny apartament na parterze, z oknami wychodzącymi na las, łazienką „dla niej" i „dla niego" i wielką wanną z jacuzzi.

– Pięknie tu – mówię do Marca, który kładzie mój plecak na skórzanym stojaku na bagaże.

Na łóżku leży wielka biała torba. Przesuwam palcami po grubej folii.

Moja suknia ślubna została dostarczona.

– Nie zaglądaj do tego worka, dobrze? – droczę się z Markiem, podnoszę wieszak i idę do szafy. – Jestem przesądna, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś.

– Doskonale znam twoje przesądy. – Marc unosi jedną brew. – Gdyby zależało to ode mnie, spalibyśmy dzisiaj w jednym łóżku.

Ma na sobie luźne szare bojówki i prostą czarną bluzę z kapturem. Bardzo mi się podoba, że potrafi zmienić się z Jamesa Bonda w bohatera kina akcji po godzinach, i nadal wyglądać świetnie i hipnotyzująco.

Ja jestem w lekkiej letniej sukience z gniecionego lnu, haftowanej w motyle.

Mam bose nogi, bo zrzuciłam sandałki, kiedy tylko weszliśmy do pokoju. Uwielbiam chodzić latem boso.

Włosy mam splecione w luźny warkocz, ale jak zwykle kilka pasm wymyka się z niego i opada wokół twarzy.

– Po co kusić pecha? – mówię.

– Nie wierzę w pecha. Przynajmniej nie wtedy, kiedy ty jesteś ze mną.

Marc otwiera drzwi balkonowe i prowadzi mnie na wielki taras na poziomie gruntu.

Na widok tego, co czeka na zewnątrz na drewnianym stole, zasłaniam dłonią usta.

– Marc.

Na pociągniętym pokostem blacie, obok butelki czerwonego wina i dwóch błyszczących kieliszków, stoi przepiękny bukiet kwiatów.

– Twój bukiet ślubny – mówi Marc z uśmiechem. – Nie wierzysz, że pan młody nie może zobaczyć bukietu przed ślubem, bo to przynosi pecha, co?

Bukiet jest kulisty i składa się głównie z miękkich, połyskliwych liści bluszczu i najczerwieńszych róż, jakie kiedykolwiek widziałam. Bluszcz i róże są tak świeże i wyglądają tak naturalnie, jakby wyrosły dziko gdzieś w lesie.

– Nie – mówię, kręcąc głową. – To jedyny przesąd, o jakim nigdy nie słyszałam.

Rozdział 81

Pijemy wino i patrzymy, jak słońce zachodzi nad Ivy College.

Jest piękny, ciepły wieczór, a czerwieniejące niebo mówi mi to, co i tak już wiem – że jutro będzie cudowny, słoneczny dzień naszego ślubu.

Rozmawiamy, droczymy się i śmiejemy, wspominając, jak się poznaliśmy. Wracamy myślami do tych pierwszych dni, które teraz wydają się nierealne. Zupełnie, jakbyśmy byli teraz parą zupełnie innych ludzi.

– Powiedz mi jeszcze raz, co pomyślałeś o mnie na przesłuchaniu – proszę Marca z zalotnym uśmiechem.

– Wiesz, co pomyślałem. – Marc dolewa mi wina do kieliszka. – Pomyślałem, że jesteś zdumiewająca.

Uśmiecham się szeroko.

– Zabawne. Bo potraktowałeś mnie wyjątkowo zimno. Myślałam, że jesteś na mnie zły. Że moja gra ci się nie spodobała.

– Wtedy byłem jeszcze mistrzem w ukrywaniu swoich uczuć – mówi Marc. – Teraz nie jestem w tym już taki dobry. – Bierze mnie za ręce i zaczyna przesuwać kciukami tam i z powrotem po moich dłoniach, mocno i stanowczo. – A wiesz, co czuję w tej chwili? – Jego oczy przybierają ten pierwotny wyraz łowcy.

Śmieję się.

– To dość oczywiste.

– Będę delikatny. Obiecuję.

– Nie musisz być.

Odkąd Marc uratował mnie przed PAIN i zainstalował w swoim domu na wsi, uprawialiśmy cudowny, delikatny, pełen miłości seks, i to było bardzo piękne. Ale… ja lubię też to drugie oblicze Marca.

– Brakuje mi twojej mroczniejszej strony – mówię.

Marc rzuca mi ten swój uroczy, diabelski uśmiech.

– Mroczniejszej strony?

– Tak. Wiesz, o czym mówię.

– Myślałem, że po PAIN…

– To, co robili ludzie z PAIN, nie ma nic wspólnego z tym, co my robimy razem w sypialni. To, że nade mną dominujesz, to część tego, kim jesteś. Kim my jesteśmy. Właśnie dlatego tak dobrze do siebie pasujemy.

Marc marszczy brwi. Jego jak wyrzeźbiona w jasnym kamieniu twarz wygląda bardzo pięknie w promieniach zachodzącego słońca. Jak zawsze oszałamia mnie, jaki jest przystojny.

– Wejdź do środka – mówi Marc, obniżając głos. – Natychmiast.

Bierze mnie za rękę.

Wstaję i idę za nim. Marc zamyka drzwi balkonowe i zasuwa zasłony.

– Hm. – Bierze mnie na ręce i kładzie na łóżku. Lniana pościel jest chłodna i pachnie jabłkami. – Zostań tu na chwilę. Zaraz wracam.

Rozdział 82

Jakieś dziesięć minut później słyszę, że drzwi sypialni znowu się otwierają.

Marc wchodzi do pokoju.

Na widok tego, co trzyma w ręce, zaciskam uda.

– Skąd to masz? – pytam.

– Z rekwizytorni przy Queen's Theatre. – Marc ma w ręce trzcinę – bambusową trzcinę ze zgrubieniami na całej długości. – Żałuję tylko, że nie wziąłem ze sobą tej jedwabnej liny, którą dawno temu zamówiłem.

Marc czuje, że na niego patrzę i zgina trzcinę w dłoniach.

– Czy to wcześniejszy prezent ślubny? – mówię zdyszana i czuję, że się uśmiecham.

Marc podchodzi do łóżka. On też się uśmiecha.

– Nie. To nie prezent. Prezentem będzie to, co zaraz dostaniesz. Połóż się na plecach.

Opieram się na poduszce, nie spuszczając wzroku z Marca. Znowu ma na twarzy ten zabójczy wyraz. Ten, od którego miękną mi kolana. Ten, który każe mi błagać o więcej.

Marc podnosi trzcinę i ze świstem przecina nią powietrze. Potem uderza nią we własną dłoń.

Trzask!

Och. Jak to możliwe, że sam ten dźwięk wystarcza, żebym zrobiła się wilgotna? Ale tak właśnie jest.

– Na pewno nadal brakuje ci tej mojej strony? – pyta Marc. – Po tym wszystkim, co się stało?

– Na pewno – dyszę, patrząc, jak Marc obraca trzcinę w dłoniach.

Marc unosi brzeg mojej sukienki końcem trzciny.

– Zdejmuj to – rozkazuje.

Zdejmuję sukienkę i kładę się na łóżku tylko w bieliźnie – tej bajecznej, którą Marc kupił mi, kiedy wyjeżdżaliśmy na jego wyspę.

Marc mocno uderza trzciną o stolik nocny; trzask odbija się echem w powietrzu.

Boże, z każdą chwilą jestem bardziej wilgotna.

Marc krąży wokół łóżka, od czasu do czasu ze świstem machając trzciną w powietrzu. Wydaję cichy jęk na widok zarysu jego penisa pod spodniami. Jest wielki, twardy i chce uciec z zamknięcia.

Czuję koniuszek trzciny pod gumką majtek. Marc wsuwa trzcinę pod gumę, naciąga ją mocno i puszcza.

– Och – jęczę.

– To też.

Sięgam, żeby zdjąć majtki, ale Marc lekko uderza mnie trzciną po palcach.

Wydaję cichy okrzyk i cofam rękę.

– Tak, sir – podpowiada mi Marc.

– Tak, sir – powtarzam, przykładając bolącą rękę do ust.

– Zdejmij je.

Wysuwam się z majtek i patrzę na Marca, który nie przestaje chodzić wokół łóżka.

– Przewróć się na brzuch.

Robię to i słyszę, że Marc dalej chodzi. Słyszę jego głęboki oddech i próbuję się zorientować, gdzie teraz jest. Potem czuję koniec trzciny pod ramiączkiem stanika.

– To też.

Rozpinam stanik i zdejmuję go z ramion, a potem znowu opadam na kołdrę, z twarzą wtuloną w poduszkę. Słyszę własny oddech i czuję jego gorąco na twarzy.

Marc zatrzymuje się i zapada cisza.

– Marc? – szepczę w poduszkę. – Jesteś tu jeszcze?

Trzask! Marc znowu uderza w stolik.

– Nie pozwoliłem ci mówić.

O Boże, to brzmi dobrze.

Trzask!

Znowu. Teraz już bardzo go pragnę.

– Nie ruszaj się – warczy Marc i znowu zaczyna chodzić.

Czekam, z każdą chwilą bardziej wilgotna.

– Rozszerz nogi – rzuca Marc, wsuwając mi między nie trzcinę. – Już.

Jęczę i rozchylam nogi.

Trzask!

Tym razem Marc uderza mnie trzciną mocno w lewy pośladek, a ja podskakuję na łóżku, wydając kolejny cichy okrzyk.

Znowu słyszę świst, a potem trzask – trzcina spada na mój prawy pośladek.

Trzask! Teraz trzcina spada na oba pośladki, a ja krzywię się z bólu – ale to jest przyjemny ból. Chcę więcej. Czekałam, aż Marc znowu pokaże swoje drugie oblicze, i to jest cudowne.

– Przewróć się – rozkazuje Marc.

Robię to, rozcierając piekące pośladki. Mój stanik zostaje na łóżku, kiedy się odwracam, więc jestem teraz zupełnie naga.

Podnoszę na niego wzrok i widzę, że on też jest nagi.

– Jak zdołałeś tak szybko się rozebrać? – pytam na bezdechu, patrząc na jego muskularne, nagie ciało – napięte linie ramion, mięśnie brzucha, nieskazitelną jasną skórę i brązowe włosy na piersi.

Usta Marca wyginają się w niebezpiecznym uśmiechu.

– Nie wiesz, że nie wolno ci mówić, dopóki ci nie pozwolę?

– Chyba nie.

Marc podchodzi bliżej i przytrzymuje trzcinę nad moimi udami.

Podnosi ją do góry, ale zatrzymuje się kilka centymetrów nad moją skórą.

Krzywię się, czekając na cios, który nie spada. Jęczę i patrzę na trzcinę nad moimi nogami.

Marc unosi jedną brew.

– Chciałaś czegoś?

– Uderz mnie. Proszę.

Marc rzuca mi ten swój diabelski uśmiech i podnosi trzcinę. A potem opuszcza ją szybko – trzask! – na moje uda, a ja jęczę z przyjemności.

Podczas gdy uczucie pieczenia rozprzestrzenia się po moich nogach i pośladkach, Marc chwyta mnie za kostki i opiera je sobie na ramionach. Potem przesuwa trzciną w górę wewnętrznej części mojego uda, głaszcząc powoli, coraz wyżej i wyżej, aż dociera do krocza.

Jestem tak wilgotna, że kiedy zaczyna ją we mnie wsuwać i wysuwać, trzcina wchodzi jak w masło, a ja jęczę, czując twarde bambusowe zgrubienia.

Jestem bliska szaleństwa z przyjemności, jaką daje mi to wszystko, kiedy Marc wysuwa ze mnie trzcinę i opiera mi ją na brzuchu. Powoli kreśli krętą linię po mojej skórze, a ja drżę i wiję się, kiedy twardy koniuszek wędruje w górę mojego ciała.

Kiedy dociera do klatki, zaczyna toczyć trzcinę po moich piersiach, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Bambusowe zgrubienia wpijają mi się skórę.

O Boże. To cudowne, rozkoszne uczucie, ale ja potrzebuję czegoś więcej.

– Uderz mnie – błagam. – Proszę.

Rozdział 83

Wątpię, czy to wytrzymasz – mówi Marc i dalej przetacza trzcinę w przód i w tył.

Szybko kiwam głową.

– Wytrzymam. Wytrzymam.

– Nigdy nie wykroczę poza twoje granice. Wiesz o tym, prawda? – Marc unosi trzcinę wysoko nad moimi piersiami.

– Tak – mówię. – Ale moje granice zostały przesunięte, daleko i na dobre.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna.

Marc opuszcza trzcinę, raz, drugi, trzeci, na moje piersi, trzask, trzask, trzask.

– O Boże, o Boże – jęczę, czując piekące ciepło, rozlewające się po całej klatce piersiowej. – Więcej. Daj mi więcej. – Przewracam się na brzuch.

Trzask, trzask, trzask.

Marc uderza mnie mocno w tyłek.

Trzask, trzask, trzask.

Kiedy przestaje, jestem prawie nieprzytomna. Boże, to jest tak przyjemne. Tak niesamowicie przyjemne.

Już mam zacząć błagać go o więcej, kiedy czuję, że Marc rozchyla mi nogi i wspina się na mnie. Jego twardy członek napiera na moje krocze.

– Dłużej nie jestem w stanie cię dręczyć – mówi, zsuwając się niżej, gotowy we mnie wejść. – Nie potrafię się pani oprzeć, wie pani o tym, panno Rose? Kompletnie nie potrafię się pani oprzeć.

Słyszę, jak rozdziera opakowanie z prezerwatywą, i kręcę głową wciśniętą w poduszkę.

– Zróbmy to bez tego.

– Bez tego?

– Chcę cię czuć. Całego. Właśnie się pobieramy. Myślę, że teraz już możemy.

– Sophio, nie chcę, żeby stało się coś, czego nie planujesz. Mogą być konsekwencje. Dziecko. Jesteś gotowa na taką ewentualność?

– Jestem gotowa na wszystko, cokolwiek się stanie. A ty?

– Ja jestem absolutnie gotowy.

I wchodzi we mnie aż do końca – tak mocno i szybko, że zapiera mi dech w piersiach.

– Oooooch – jęczę, zaciskając się wokół niego. Czuję, że wchodzi tak głęboko, jak tylko może. Pośladki pieką mnie od naporu jego bioder, piersi mam rozgrzane od tarcia o materac.

To wszystko jest bardzo, bardzo przyjemne.

Marc rozchyla mi nogi szerzej, żeby wejść jeszcze głębiej, i przez chwilę nie jestem pewna, czy to wytrzymam – to, jak głęboko się we mnie wdziera. Ale kiedy zaczyna się

poruszać, zdaję sobie sprawę, że wytrzymam. Że jesteśmy dla siebie stworzeni, że nasze ciała pasują do siebie jak dwa kawałki jednej układanki, nawet jeśli czasami zbliżam się do granic swojej wytrzymałości.

Marc porusza się mocno i szybko, popychając mnie w górę łóżka, jak szmacianą lalkę. Potem, nie wychodząc ze mnie, przewraca mnie na plecy i znowu kładzie sobie moje stopy na ramionach.

Myślę, że zaraz skończę od samego jego palącego wzroku, ale powstrzymuję się jeszcze, choć wiem, że nie wytrzymam długo.

Widzę, że Marc też jest już na granicy. Zaciska zęby, jego powieki drżą lekko.

– O Boże, Sophio – jęczy; kąciki jego ust unoszą się jeszcze wyżej. Wchodzi we mnie jeszcze raz, z przeciągłym, głuchym jękiem.

To już koniec. Nie jestem w stanie wytrzymać dłużej. Porywa mnie wielka fala orgazmu; rozkoszne, pulsujące ciepło rozlewa się po całym moim ciele.

Obejmuję Marca nogami i przyciągam go mocniej, a potem chwytam za pośladki i wpycham w siebie jeszcze głębiej.

Marc jęczy, ja też.

Przesuwa dłońmi w górę i w dół moich nóg, i to rozkoszne tarcie przedłuża orgazm. Marc ma zamknięte oczy i jest zupełnie zatracony we mnie, tak jak ja w nim.

Po długiej cudownej chwili zsuwa moje stopy ze swoich ramion i przyciąga mnie do siebie.

– Czy nadal chcesz zostać jutro panią Blackwell? – pyta szeptem.

– Nigdy nie byłam niczego bardziej pewna – odpowiadam.

– Już prawie północ.

– Może to jednak nie przyniesie nam pecha, jeśli zostaniesz – mówię, bo tak bardzo chcę, żeby ta chwila jeszcze trwała.

Marc się uśmiecha.

– Rozmawialiśmy już o tym. Nie chciałaś ryzykować, pamiętasz? Nie chcę, żebyś zrobiła coś, czego rano możesz żałować.

– W takim razie lepiej już idź – mówię. – Zanim wybije dwunasta i zmienisz się w dynię.

– Wrócę po ciebie, Kopciuszku – mówi Marc. – Do zobaczenia rano.

Następnego dnia budzę się przy najpiękniejszym wschodzie słońca. Różowopomarańczowe światło zabarwia szare niebo całą gamą pastelowych barw.

Ciemnozielone lasy wokół Ivy College wydają mi się wspanialsze niż kiedykolwiek dotąd.

Wstaję z łóżka i myję zęby, a zaraz potem rozlega się pukanie do drzwi.

– Czy jest tu panna młoda?! – woła Jen.

Uśmiecham się i podchodzę do drzwi, żeby ją wpuścić.

– Rany – mówi Jen, kiedy je otwieram. – Niesamowity pokój.

– Wiem. Piękny, prawda?

Choć raz Jen nie jest perfekcyjnie ubrana i uczesana. Długie jasne włosy ma zebrane na

głowie w bezładny kok, a na sobie różowy dres i ciemne okulary, a kiedy je zdejmuje, widzę, że nie nałożyła też makijażu.

Odsuwam się, żeby ją wpuścić.

– Dzięki, że przyszłaś tak wcześnie. Wiem, że nie znosisz poranków. No i chyba z trudem przyszło ci opuścić łóżko, w którym leży Leo Falkirk…

– Wszystko to dla mojej najlepszej przyjaciółki. – Jen wnosi do pokoju swoją wielką metalową skrzynkę z kosmetykami. – Cóż, jesteś gotowa na moje czary?

Biorę głęboki oddech i wypuszczam powietrze.

– Tak, jestem gotowa. Zaczynajmy.

Rozdział 84

Kiedy jestem już uczesana i umalowana przez Jen, pojawia się Rodney z kawą i croissantami, „dzięki uprzejmości pana Blackwella”. I czymś jeszcze. Czymś lepszym niż śniadanie.

Tanyą.

– Dzień dobry wszystkim! – woła Tanya, wpadając do pokoju Ambasadora. – Nie spóźniłam się, co?

– Nie – mówię. – Jesteś punktualnie.

Chwilę później Jen zaczyna czesać i malować Tanyę, i wkrótce wszystkie piękniejemy i jesteśmy gotowe na wielki dzień.

Muszę odgonić parę razy Jen, która zbliża się do mnie z czerwoną szminką, żeby „wydobyć całe piękno tych wspaniałych ust”, ale w końcu mój makijaż jest naturalny i delikatny, tak jak lubię.

Stajemy w trójkę obok siebie przed długim do ziemi lustrem i uśmiechamy się jak idiotki. Wyglądamy uroczo – nie dlatego, że dodałyśmy sobie urody, ale dlatego, że obejmujemy się ramionami i śmiejemy, kiedy Tanya opowiada nam, jak Tom wybierał strój na ten ślub.

Najwyraźniej podjęcie decyzji zabrało mu całe tygodnie. Co wieczór przeczesywał Internet, szukając czegoś odpowiedniego.

– Jeśli chodzi o ciuchy, jest jak dziewczyna – mówi Tanya. – Ale i tak go kocham. Chyba jest trochę zazdrosny o moją sukienkę druhny.

Zielona jak paprocie sukienka jest uszyta z powiewnego jedwabiu i odcięta pod biustem. Tanya i Jen są ubrane jednakowo, w te proste jedwabne sukienki, zebrane we wszystkich stosownych miejscach. Wybrałam zieleń, która pasuje do typów urody ich obu.

– Ja też jestem zachwycona swoją – mówi Jen. – Ale nie tak jak twoją suknią ślubną, Soph. Jest tak bardzo w twoim stylu. Wyglądasz w niej jak jakaś piękna leśna nimfa.

Moja suknia jest naprawdę cudowna.

Marc zabrał mnie do najbardziej ekskluzywnych butików i przedstawił naprawdę sławnym projektantom. Ale w końcu zapragnęłam czegoś prostego, pasującego do mnie. Więc poprosiłam mamę Jen, żeby uszyła dla mnie tę suknię. Ona jest naprawdę dobrą krawcową i zna mnie na wylot.

Powiedziałam jej, o co mi chodzi, a ona rozumiała mnie tak dobrze, jakby potrafiła czytać w moich myślach. I sukienka, którą dla mnie uszyła, jest idealna, po prostu idealna.

Suknia jest długa, z miękkiego białego jedwabiu, ma proste wycięcie w serek przy szyi i małe srebrne listki bluszczu wyhaftowane na ramionach. Jest tak lekka i zwiewna, że

opływa moje ciało, kiedy się poruszam, i sprawia, że czuję się jak księżniczka wróżek.

Zastanawiałam się, czy nie iść do ślubu boso, ale wtedy Jen znalazła śliczne balerinki w kolorze kości słoniowej ze srebrnymi ozdobami w kształcie listków i dała mi je jako coś nowego. Wiedziałam, że będą doskonałe, kiedy tylko je zobaczyłam. Jen tak dobrze mnie zna.

Tak więc jestem już prawie gotowa. Jen zostawiła moje włosy mniej więcej takimi, jakie są – potraktowała je tylko jakimś specyfikiem, żeby się nie puszyły i wplotła w nie perły na srebrnej nitce, ale poza tym opadają mi lśniącymi, naturalnymi falami na ramiona, jak zawsze.

Och, i tata dał mi należącą kiedyś do mamy bransoletkę z błękitnym jaspisem, jako coś starego i coś niebieskiego. A Denise pożyczyła mi tiarę ze swojej wielkiej kolekcji kostiumów, jako coś pożyczonego. Jest piękna, srebrna i tak filigranowa, że wygląda jak koronka.

Więc jestem gotowa. Jestem gotowa wyjść za mąż.

Rozdział 85

Słońce świeci pięknie w górze, kiedy Jen i Tanya prowadzą mnie przez trawnik.

Trzymam je mocno za ręce i nie puszczam nawet, kiedy wchodzimy na leśną ścieżkę.

Jen przytrzymuje jedwabną spódnicę mojej sukienki w górze, żebym nie wlekła jej po mokrej od rosy ziemi. Jest jeszcze wcześnie – dziesiąta rano – i słońce nie zdążyło wysuszyć nocnej wilgoci.

Tanya niesie mój bukiet.

Wspaniałe złote słońce świeci na błękitnym niebie, a ja nie mogę powstrzymać uśmiechu, kiedy wchodzimy w mroczny las, mimo że żołądek mam ściśnięty ze zdenerwowania.

– Oddychaj głęboko, oddychaj głęboko – mówi Jen, ściskając mnie za rękę. – Jesteśmy już prawie na miejscu.

Idziemy leśną dróżką, wśród rozedrganych plam słońca przeświecającego przez korony drzewa. Gęste listowie zapewnia nam tu przyjemny chłód.

Idziemy ostrożnie po wyboistej ziemi, krok za krokiem. Raz, dwa, raz, dwa. Oddech, oddech, oddech.

Kiedy zbliżamy się do polanki, uśmiecham się jeszcze szerzej, bo widzę już tatę – czeka na mnie przy wejściu do kręgu wróżek, w nowiutkim smokingu i z promiennym uśmiechem na ustach.

– Wyglądasz pięknie, kochanie. Naprawdę pięknie. – Ociera oczy.

Jen podnosi moją rękę i delikatnie wkłada ją pod ramię taty.

Tanya ściska mnie uspokajająco za drugą rękę i wręcza bukiet.

– Gotowy, żeby mnie oddać? – pytam tatę.

– Gotowy – mówi tata.

Jen i Tanya stają za mną i podnoszą tren mojej sukni.

Ruszamy przed siebie, na polanę.

Rozdział 86

Wszystko, od baldachimu liści nad naszymi głowami po promienie słońca padające na naszych gości, jest absolutnie idealne.

Nie chciałam, żeby ceremonii towarzyszyła muzyka, tylko szum drzew i śpiew ptaków. I cisza, która ma swoje źródło w lesie.

Po drugiej stronie polany stoi drewniany ołtarz wykonany przez przyjaciela Marca, Petera. Jest rzeźbiony w liście bluszczu i róże, a za nim siedzi Tom w najbardziej zdumiewającym garniturze, w jakim go kiedykolwiek widziałam – brązowym, w różowe prążki i wzorem paisley na klapach.

Wokół polany stoją nasi goście i patrzą na nas z uśmiechami na twarzach.

A gościem, który uśmiecha się najszerzej, jest Annabel. Stoi tuż przy wejściu na polankę i wygląda zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy ją poznałam.

Ma na sobie prostą, jasnozieloną letnią sukienkę, białe stokrotki we włosach, a w ramionach – ślicznego małego chłopczyka. To Daniel, jej syn.

Daniel opiera głowę na jej ramieniu, ssie kciuk i wygląda na bardzo zadowolonego.

Danny Blackwell. Nareszcie znowu ze swoją mamą. Z przyjemnością zaznajamiałam się z nim w ciągu kilku ubiegłych tygodni. Jest nieśmiały i często wydaje się zamyślony, ale zawsze jest też skory do uśmiechu. Zabrałam go kilka razy do taty, żeby pobawił się z Sammym i teraz są parą wielkich przyjaciół.

Przed wejściem na polanę zatrzymuję się, żeby zmierzwić mu włosy.

– Podobają ci się te drzewa, Danny? – szepczę.

Daniel nieśmiało kiwa głową i się uśmiecha.

Obok Annabel stoi Denise i trzyma za rękę Sammy’ego.

Uśmiecham się do niej i przyklękam obok Sammy’ego.

– A tobie, maluchu? Podobają ci się drzewa?

Sammy kiwa głową i opiera się o ramię Denise. Nie trwało długo, a zakochał się z niej, tak jak jego tata.

Kiedy Genoveva dowiedziała się, że tata kogoś ma, zaczęła do niego wydzwaniać. Zdaje się, że jej lekarz wrócił do żony i teraz jest sama.

Tata powiedział jej, że nie chce już z nią być, ale oznajmił, że może co dwa tygodnie odwiedzać Sammy’ego. Czasami Genoveva pamięta o tych wizytach, a czasami nie.

– Będziemy się potem na nie wspinać? – pytam Sammy’ego.

– Tak! – woła Sammy, trochę za głośno.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

Wszystko jest takie doskonałe, ale oczywiście nie tak doskonałe jak Marc, który stoi już przy drewnianym ołtarzu.

Ma na sobie dopasowany, czarny jak atrament garnitur – tak czarny, że zdaje się

pochłaniać światło – i włosy zaczesane za uszy. Jego wspaniała wysoka sylwetka jest zupełnie nieruchoma, kiedy tam na mnie czeka. Stoi tyłem, ale wiem, że się uśmiecha.

Prostuję plecy, biorę głęboki oddech i znowu chwytam tatę pod ramię.

– Gotowa? – pyta tata.

Kiwam głową i tata prowadzi mnie przez polanę do Marca.

Kiedy pod naszymi stopami szeleszczą zeszłoroczne liście i małe gałązki, Marc się odwraca i nasze oczy się spotykają.

To najwspanialsza chwila. Jego oczy są takie ciemne. Tak intensywne. Nie stracił swojej mrocznej strony. Nie tak do końca. Ale zdecydowanie widzę w nim światło. Całe mnóstwo światła.

Jego oczy ciągle mnie rozkładają. Nagle chwieję się i tata musi złapać mnie mocniej, żebym nie straciła równowagi.

Marc unosi jedną brew i rzuca mi spojrzenie, które zdaje się pytać, czy wszystko w porządku.

Uśmiecham się i kiwam głową, a potem robię kilka kroków w jego stronę.

Tata delikatnie wkłada moją rękę w dłoń Marca, a my dwoje stoimy tak przez chwilę, patrząc sobie w oczy.

Nigdy nie czułam większej miłości niż w tej chwili, kiedy stoję przed Markiem, w otoczeniu rodziny i przyjaciół, gotowa związać z nim swoje życie na zawsze.

Tom odchrząka.

– No dobra, wy dwoje. Jest jasne dla wszystkich, że chcecie się pobrać. Więc czy jesteście gotowi pójść jeszcze krok dalej i to zrobić?

Polanę wypełnia tłumiony śmiech.

Kiwam głową.

– Tak.

– Nigdy nie byłem bardziej gotowy – mówi Marc.

Nasze przysięgi są proste.

Ślubujemy sobie kochać się do końca życia.

Tom podaje nam obrączki – dwa srebrne kółka grawerowane w róże i pnącza bluszczu.

Wsuwam obrączkę na palec Marca, lekko drżącymi rękami. W końcu jednak udaje mi się to i wyciągam do Marca swoją dłoń.

Kiedy wkłada mi obrączkę na palec, podnoszę wzrok i patrzę w jego błękitne oczy.

– Kocham cię – mruczę.

– Ja też cię kocham, Sophio Blackwell – mówi Marc. – Teraz i zawsze.

Rozdział 87

Po ceremonii w lesie Marc i ja jedziemy limuzyną do urzędu stanu cywilnego, żeby podpisać dokumenty. Trzęsę się przez całą drogę, łkam i śmieję się jednocześnie w ramionach Marca.

Nie mogę w to uwierzyć. Właśnie zostałam żoną Marca Blackwella. Na dobre i na złe. Na zawsze.

– Mam nadzieję, że to łzy szczęścia, pani Blackwell – szepcze Marc. – Bo teraz już za późno na odwrót. Jesteś moja. Na zawsze.

– Wiem – udaje mi się wykrztusić przez łzy. – Tak się cieszę.

Marc podnosi mój podbródek, żebym mogła spojrzeć w jego płonące niebieskie oczy.

– Nigdy nie pozwolę ci odejść – mówi. – Nigdy. Będę cię kochał i troszczył o ciebie do końca swoich dni.

Kiedy wracamy do Ivy College, nasi goście siedzą już w okręgu wokół wielkiego piknikowego koca na trawniku. Piją szampana i świeży sok pomarańczowy, roznoszony przez kelnerów.

Kiedy się zbliżamy, rozlegają się oklaski, a ja, w centrum uwagi tych wszystkich ludzi, których kocham, czuję się nagle dziwnie onieśmielona.

Wiem, że jestem aktorką, ale w prawdziwym życiu przywykłam do tego, że to ja troszczę się o innych. I dziwnie się czuję, kiedy wszyscy są skupieni na mnie.

– Cudownie widzieć was wszystkich tutaj – mówię, kiedy tata i Jen robią dla nas miejsce między sobą. – Bardzo wam dziękuję, że tu dzisiaj przyszliście.

Dostajemy szampana, pijemy, rozmawiamy i śmiejemy się w słońcu aż do chwili, kiedy kelnerzy serwują lunch z wielkich piknikowych koszy z wikliny.

Jen dopilnowała, żeby jedzenie było najwyższej jakości, oczywiście – sama wybrała delikatesy z Harrodsa, a także prawdziwe srebrne sztućce i talerze z porcelany.

Kosze są pełne pysznych ciast, kanapek, jajek po szkocku, sałatek, wędzonego łososia, świeżych truskawek i bitej śmietany.

Dzień mija, a ja dostrzegam, że Jen i Leo cały czas śmieją się i rozmawiają. Siedzą tak blisko siebie, że ich głowy niemal się stykają. Uśmiecham się. Leo jest idealny dla Jen. I wygląda na to, że Leo wie, iż Jen też jest dla niego idealna.

To naprawdę najpiękniejszy, najwspanialszy, najcudowniejszy i najszczęśliwszy dzień mojego życia. Są tu ze mną wszyscy, rodzina i przyjaciele, ale przede wszystkim Marc. Cóż… nigdy jeszcze tak się nie czułam.

Nie przygotowałam sobie przemówienia ani nic w tym rodzaju, ale kiedy słońce zaczyna zachodzić Jen podnosi swój kieliszek i mówi:

– Toast za pana i panią Blackwell.

Wszyscy wydają radosny okrzyk i podnoszą kieliszki.

– Och, zaczekajcie – mówię, wstając. – Jest coś, o czym zapomniałam. – Podnoszę bukiet róż i bluszczu. – Muszę go rzucić – oznajmiam, odwracając się do wszystkich tyłem.

Słyszę pomruki i śmiechy, kiedy kobiety za moimi plecami wstają

– Gotowe?! – wołam. – Raz, dwa, trzy!

Rzucam bukiet wysoko w powietrze, a kiedy się odwracam, widzę, że wylądował między Jen a Tanyą, które złapały go jednocześnie z obu stron. Odwracają się do siebie i śmieją z niedowierzaniem.

– Obie go złapałyśmy. – Jen się śmieje.

– Zdaje się, że będzie podwójne wesele – mówi Tanya.

– Jeśli chodzi mnie, nie ma sprawy.

Rozdział 88

Kiedy znowu siadamy na trawie, kelner podchodzi, żeby dolać mi szampana do kieliszka.

– Och nie, dziękuję – mówię, zasłaniając go dłonią. – Od tej chwili lepiej żebym poprzestała na soku pomarańczowym.

Czuję, jak Marc obejmuje mnie mocniej w pasie.

– Wszystko w porządku? Chcesz się przejść? Żeby się trochę przewietrzyć?

– Nie. Na razie wypiłam tylko kieliszek szampana. Tylko… mam pewne przeczucie.

– Przeczucie?

– Tak. Po ubiegłej nocy. To pierwszy raz, kiedy… no wiesz, bez zabezpieczenia.

Nagle czuję się tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na całym świecie.

– Sophia, jest zdecydowanie za wcześnie, żeby wiedzieć coś takiego.

– Tam, gdzie w grę wchodzi moje ciało, moje przeczucia zwykle się sprawdzają. A czuję to bardzo wyraźnie.

– Źle się czujesz? Wezwać lekarza?

Kręcę głową.

– Nie, nic w tym rodzaju. To nie jest fizyczne… to tylko… przeczucie.

Marc obejmuje mnie w pasie i nie spuszcza ze mnie wzroku. Przyciąga mnie do siebie.

– Miejmy nadzieję, że twoje przeczucie się sprawdzi.

– A jeśli tak?

– Wtedy, pani Blackwell, będzie pani wspaniałą matką. A ja – najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Przypisy

[1] Christmas cracker – bożonarodzeniowa zabawka w formie walca z niespodzianką w środku, która strzela przy otwarciu (przyp. tłum.).

[2] *Pain* (ang.) – ból (przyp. tłum.).